JAK ZOSTAĆ MEMEM, CZYLI O POLITYCZKACH KOALICJI RZĄDZĄCEJ

KASA I KREW. CELEBRYCI WALCZĄ, GAWIEDŹ KLASZCZE

STO LAT OD PRZEWROTU MAJOWEGO. JAK PIŁSUDSKI OCALIŁ POLSKĘ

SIECI

DZISIAJ W TYGODNIKU I TELEWIZJI wPOLSCE24 NOWE FAKTY W SPRAWIE ZBRODNI MAJORA SOP

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
20 (702) 2026
11–17 maja 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

PORUSZAJĄCY WYWIAD

ANDRZEJ POCZOBUT:

ZAWSZE PATRZYŁEM IM PROSTO W OCZY

WIĘZIEŃ ŁUKASZENKI MÓWI NAM O LATACH SPĘDZONYCH W KOLONII KARNEJ, PIERWSZYCH DNIACH WOLNOŚCI I O POLSKOŚCI, KTÓRA MUSI NAS ŁĄCZYĆ PONAD PODZIAŁAMI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
20
9 772544 269601
Numer w sprzedaży do 18 V 2026 r.

eprasa.pl 15f21a2a10

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl

Testament arcybiskupa Michalika

Odszedł ks. abp Józef Michalik, wieloletni przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, jeden z tych odważnych kapłanów, którzy nie bacząc na krytykę, trwali na straży jednoznaczności i wierności nauczaniu Chrystusa. „Człowiek niezłomnej wiary, dialogu, pojednania i równowagi duchowej" – wspomina jego następca ks. abp Stanisław Gądecki. Był „człowiekiem o szerokich horyzontach", „nie poddawał się przeciwnościom, widząc swoją misję w głoszeniu tego, co najważniejsze" – podkreśla obecny szef KEP, ks. abp Tadeusz Wojda.

Przewodniczący KEP w latach 2004–2014, a wcześniej przez 10 lat zastępca szefa Episkopatu, zmarł 3 maja 2026 r. Dzień śmierci symbolicznie wpisuje się w charakter jego posługi. Odszedł w uroczystość NMP Królowej Polski i w święto Konstytucji 3 maja. Jego biskupie nauczanie było bogate w maryjne przesłanie i pełne troski o ojczyznę. Upominał się o Polskę wolną, silną, suwerenną, mądrą, opartą na fundamencie wiary, świadomą własnej historii i tożsamości. „Można się różnić w drugorzędnych rzeczach, ale w sprawach wiary i moralności musimy być jedno" – mówił. „Nasz świat choruje na ideologię nienawiści, kłamstwa, manipulacji prawdą. Na groźną chorobę relatywizmu moralnego i etycznego" – ostrzegał w marcu 2022 r. „Alternatywa, przed którą stoimy, brzmi jednoznacznie w dzisiejszych czasach: albo nastąpi odświatowienie Kościoła, albo nastanie dechrystianizacja świata. To jest bardzo ważne, byśmy uświadomili sobie tę perspektywę" – tłumaczył.

Abp Michalik konsekwentnie upominał się o przebudzenie świadomości społecznej, choć otrzymywał za to potężne ciosy od wpływowych środowisk medialnych. „Polska, jeśli ma przetrwać, musi się nawrócić. Polska jest dziś chora, bo milcząc na zło, utraciła wolę życia. Jako naród dziś wymieramy. [...] Ojczyzna jest chora, bo chore są elity i chory jest cały naród" – alarmował już w 2015 r., a jego homilia brzmi, jakby została wygłoszona dziś. „Bezrobociem i likwidacją polskich stoczni, kopalń i cukrowni nikt się nie przejmuje, samobójczą dla narodu emigrację ludzi młodych, wykształconych uważamy za sukces wolności. Trwa zapaść służby zdrowia. Ciągle bezradni jesteśmy wobec korupcji i braku kultury społecznej i politycznej" – mówił, ostrzegając, że procesy inżynierii społecznej są bardzo zaawansowane, a stoją za nimi konkretni ludzie przygotowujący ustawy, programy edukacyjne, konwencje międzynarodowe. „Uchwalane są dziś jedna po drugiej ustawy sprzeczne z prawem natury, a naród udaje, że go to nie obchodzi. Atak na rodzinę trwa, zagrabia się prawa do wychowania poprzez seksualizację dzieci, poczynając od przedszkola, bo takie są wskazania laickich organizacji międzynarodowych. Ideolodzy genderyzmu bezkarnie propagują i narzucają hasła godzące w prawa natury, promując małżeństwa jednopłciowe, mimo że polska Konstytucja wyraźnie chroni małżeństwo jako związek mężczyzny i kobiety. Są wyraźne próby nękania i wzywania przed sądy biskupów i księży, którzy wbrew ideologiom libertynizmu ośmielają się bronić zdrowej moralności i przestrzegają przed relatywizmem moralnym" – alarmował.

Tego głosu będzie ogromnie brakowało. Coraz mniej między nami kapłanów, którzy mają jeszcze w pamięci grozę wojny, widzieli skutki totalitarnych ideologii, ale potrafią wyprowadzić z tych doświadczeń mądrą nadzieję, zakorzenioną w Chrystusie. Z tego samego ducha płynęło nauczanie ks. bp. Stanisława Stefanka, który obchodziłby właśnie 90. rocznicę urodzin, a odszedł w 2020 r. Zwracał uwagę na zagrożenia stojące przed Europą i Polską. „Co proponują nam dziś przywódcy? Albo Unia z socjalizmem, albo nowoczesny kapitalizm. UE w tej chwili została całkowicie zasiedlona przez socjalistów. To ten sam socjalizm, który popchnął wielki naród niemiecki, naród kultury i gospodarności, na drogę zbrodni. Do dzisiaj próbuje się wyrzucić z historii kilkadziesiąt lat, żeby nie nieść tego wstydu. Ten sam socjalizm niesie sztandar UE i lecą do niego Polacy. Bardzo sprawiedliwie nazwano ich „synami wyrodnymi". [...] Oni sprzedają matkę Polskę za nagrodę, którą zaborcy zawsze dają zdrajcom. Mechanizm jest ten sam" – mówił bp Stefanek w 2016 r.

Ta aktualność przesłania – przy całej grozie powtarzających się w historii błędów – niesie pewną nadzieję. Oddani ojczyźnie kapłani nawet po swoim odejściu zostawiają duchowy testament stanowiący wskazania i pokrzepienie na czas kryzysu. Może to moment, by przypomnieć sobie także nauczanie św. Jana Pawła II, prymasa Wyszyńskiego czy prymasa Hlonda.

Marzena Nykiel

Autopromocja

eprasa.pl 15f21a2a10

SIECI

spis treści

23 Ucieczka Tuska przed polskością
Marzena Nykiel

26 Von der Leyen do zmiany, Unia do poprawki
Z Beatą Szydło rozmawia Jerzy Szmit

29 Konstytucja 2030
Stanisław Janecki

NA POCZĄTEK

5 **HISTORIA ŻYWA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PRZEJADANIE ZAMIAST BUDOWANIA. CO PO TUSKU W SPÓŁKACH SKARBU PAŃSTWA**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **CZY KTOŚ DLA NAS ZROBI COŚ ZA NAS?**
Jan Pietrzak

12 **ŚMIERTELNE SKUTKI CZYSTEK**
Samuel Pereira

13 **TAKŻE W INTERESIE NIEMIEC**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA O. KAZIMIERZA FRANKIEWICZA**
Michał Korsun

16 **REPARACJE. BERLIN I TUSK MAJĄ PROBLEM**
Arkadiusz Mularczyk

17 **NA STŁUCZKI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **JESTEM POLAK ZNAD NIEMNA**
Z Andrzejem Poczobutem rozmawiają Jacek Karnowski i Marcin Wikło

KRAJ

23 **UCIECZKA TUSKA PRZED POLSKOŚCIĄ**
Marzena Nykiel

26 **VON DER LEYEN DO ZMIANY, UNIA DO POPRAWKI**
Z Beatą Szydło rozmawia Jerzy Szmit

29 **KONSTYTUCJA 2030**
Stanisław Janecki

32 **KOBIETY DO POLITYKI?**
Dorota Łosiewicz

35 **ZBRODNIA, KTÓREJ MOŻNA BYŁO UNIKNĄĆ?**
Samuel Pereira

38 **IGRZYSKA NIESPORTOWE**
Konrad Kołodziejski

ŚWIAT

41 **WOJNA, CZYLI GRA NIEPEWNOŚCIĄ**
Marek Budzisz

44 **BERLIN Z TRUMPEM I PRZECIW TRUMPOWI**
Jan Rokita

47 **DRAMAT CHRZEŚCIJAN W ZOBOJĘTNIAŁYM ŚWIECIE**
Z ks. Janem Żelaznym rozmawia Goran Andrijanić

50 **POKÓJ LEONOWY, CZYLI PAX LEONIANA**
Grzegorz Górny

HISTORIA

52 **ZAMACH I DEMOKRACJA**
Piotr Gursztyn

55 **PRZEWRÓT MAJOWY, CZYLI POWRÓT PIŁSUDSKIEGO**
Z prof. Józefem Brynkusem rozmawia Piotr Słabek

SIECI KULTURY

59 **DO TRZECH RAZY SZTUKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **OPOWIEŚĆ SPOZA CZASU**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: SERIALOWY PAN SAMOCHODZIK I JEGO ZAŁOGA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **ŹLE ŻYJESZ, ZAWYJESZ**
Robert Tekieli

70 **PRZYSZŁA KONSTYTUCJA**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **DROBNA ODWAGA**
Aleksander Nalaskowski

73 **ROMANTYZM À LA FIDŻI**
Ryszard Czarnecki

74 **GODNOŚĆ POZA PRACĄ?**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 15f21a2a10

BRONISŁAW WILDSTEIN

Historia żywa

W grudniu ub.r. wraz ze 150 innymi sygnatariuszami podpisałem list zorganizowany przez Fundację Kulskich. Dotyczył on wydanej po niemiecku książki Grzegorza Rossolińskiego-Liebe „Polscy burmistrzowie i Holocaust". Patron fundacji przedstawiony został w niej jako wspólnik okupantów czerpiący zyski z udziału w zagładzie Żydów. W rzeczywistości Julian Kulski, bohater polskich walk o niepodległość, z pochodzenia Żyd, co obciążało jego wybór dodatkowym ryzykiem, zgodził się zostać komisarycznym burmistrzem Warszawy za namową Polskiego Państwa Podziemnego. Działał w strukturach polskiego ruchu oporu, a życie zawdzięczają mu tysiące Żydów.

W swoim piśmie wskazywaliśmy, że praca Rossolińskiego-Liebe wbrew historycznej prawdzie jest próbą przerzucenia odpowiedzialności za Holokaust na polskich urzędników. Okazało się, że odpowiedzią na nie jest kontrlist podpisany dotąd przez blisko 400 akademików z całego świata.

„My, niżej podpisani, protestujemy przeciwko sponsorowanym przez państwo polskie zniesławiającym atakom na niemiecko-polskiego historyka Zagłady Grzegorza Rossolińskiego-Liebe oraz trwającej kampanii zastraszania naukowców i ingerencji w wolność akademicką w Polsce i w Niemczech. Po opublikowaniu swojej naukowej książki o polskich burmistrzach i Holokauście w Generalnym Gubernatorstwie, Grzegorz Rossoliński-Liebe stał się celem skoordynowanych ataków ze strony polskiego rządu, Instytutu Pamięci Narodowej, polskiej ambasady w Berlinie, Fundacji Kulskich, Polskiej Akademii Nauk i grupy prawicowych dziennikarzy [...] były premier Polski Mateusz Morawiecki, polscy prawicowi dziennikarze i inne osoby twierdziły, że książka ma na celu »obarczenie Polaków winą za Holokaust«. Opinię tę wyraził również ówczesny dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej Karol Nawrocki, który obecnie jest prezydentem Polski, w poście na X.

W listopadzie 2025 r. Instytut Pamięci Narodowej opublikował 47-stronicową »recenzję« książki, w której powtórzył twierdzenia prezydenta Nawrockiego i polskich środowisk prawicowych [...].

Książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe opiera się na wieloletnich, dogłębnych badaniach archiwalnych. Wyjaśnia ona, jak polscy burmistrzowie zachowywali się podczas niemieckiej okupacji Polski i dowodzi, że współpracowali oni z niemieckimi okupantami [...].

Nienawistne listy i groźby kierowane do naukowców – tylko dlatego, że przedstawiają oni interpretację historyczną, z którą inni się nie zgadzają – są niedopuszczalne. Takie kampanie przeciwko pracy naukowej stanowią poważne zagrożenie dla wolności akademickiej i wartości demokratycznych. Niezależnie od stanowiska w sprawie argumentów autora społeczność akademicka musi pozostać zjednoczona i przeciwstawić się takim politycznym atakom na naukę".

List jest niespójny, oburza się, że „prawica", atakuje książkę za „obarczenie Polaków winą za Holokaust", a jednocześnie potwierdza, że taka jest jej teza. Jest interesujący, gdyż demonstruje strategię rozbrajania przeciwników przez dominujące dziś na Zachodzie środowiska. Opatrzenie ich epitetem „prawicowy" zwalnia z obowiązku podejmowania rzeczowej polemiki. Wystarczy wówczas wziąć „recenzję" w cudzysłów, aby pozbawić znaczenia argumenty w niej zawarte. Trzeba zdezawuować swoich polemistów, aby nie podejmować realnej debaty i nie dochodzić prawdy. Trzeba powtarzać bez końca, że IPN jest niewiarygodny, gdyż finansuje go państwo, gdy nikomu do głowy nie przyjdzie zastosować tego chwytu wobec zachodnich ośrodków utrzymywanych... oczywiście przez państwa.

Przeglądam listę sygnatariuszy „obrony" Rossolińskiego-Liebe. Główną ich grupę, co nie dziwi, stanowią Niemcy. Wielu z nich jest jednak dość egzotycznych i jestem pewien, że nie tylko nie znają ponadtysiącstronicowej książki, wydanej dotąd wyłącznie po niemiecku, ale nie mają też pojęcia o warunkach polskiej okupacji. Z zapałem jednak sekundują niemieckiej polityce historycznej, której celem jest denacjonalizacja zbrodni wojennych. Zgodnie z dominującą na Zachodzie ideologią, odpowiedzialność za Holokaust obciąża całą zachodnią tradycję, zwłaszcza w jej katolickiej odsłonie. Polska jako jej wcielenie stanowi tego doskonały przykład.

Centra te, które dysponują gigantyczną przewagą opiniotwórczą i wykorzystują ją do zamykania ust swoim przeciwnikom, chętnie „demaskują" sieć prawicowych powiązań dybiących na wolność słowa i badań naukowych. Wprawdzie Rossoliński-Liebe jest potępiany za manipulacje, fałszerstwa i traktowanie historii jako polityczno-ideologicznego obucha, ale krytyka ta, jak choćby nasz list, określana jako „nienawistna", nie zasługuje na merytoryczną odpowiedź. Zatroskani o wolność nauki i słowa historyczni rewizjoniści odkryli jego zagrożenie we wspólnym froncie rządzonego przez Tuska państwa, prezydenta czy prawicowych dziennikarzy.

To, że nie mają pojęcia o historii Polski, wyostrza tylko ich osąd i zaangażowanie przeciw polskiemu faszyzmowi.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15f21a2a10

Sygnalista nadaje

Pan premier Donald Franciszek poleciał do Armenii. Fajnie, dzięki temu nie musiał użerać się z motłochem w czasie święta czegoś, czego i tak nikt nie przestrzega, czyli konstytucji. Ale wrócił. Kaśka Pełczyńska-Nałęcz zawiedziona powrotem. Wracając, pan premier powiedział, że nie chce podbierać Niemcom żołnierzy amerykańskich. Sehr gut! Wahre Freunde erkennt man in der Not. Poniali? Niech Berlin wie, że „Polak-Niemiec – zwei bratanken". I do szparagów, i do polskich obozów koncentracyjnych. A żeby podkreślić naszą tysiącletnią przyjaźń jeszcze lepiej by było, gdyby nasz premier zaproponował naszym niemieckim partnerom, że odda im tych żołnierzy amerykańskich, którzy u nas stacjonują. Po co nam żołnierze amerykańscy, skoro możemy mieć rosyjskich?

Jeszcze o podbieraniu. Tym razem posłów Polski 2050 przez Koalicję Obywatelską. „KO poluje na posłów Polski 2050. To bardzo niefajne" – zajęczała boleśnie Kaśka Pełczyńska-Nałęcz. I dodała, że ma nadzieję, że premier nie próbuje zniszczyć Polski 2050. He, he! Pamiętacie, czyją matką jest nadzieja?

À propos przywódców partii niezmiernie popularnej w wąskim kręgu swoich wielbicieli, czyli Polski 20 Łamanej na 50. Znów ukazały się publikacje o Collegium Tumanum. Znak tego, że ***Szymek Hołownia*** fika. Chyba chodzi o to, że Szymek chce zostać ministrem kultury. A nawet wicepremierem. Nie może być zgody na tak roszczeniową postawę. „Nie mogę już patrzeć, jak moi byli koledzy z Onetu i »Newsweeka« od miesięcy męczą się z próbami umoczenia mnie" – skomentował z ogromną empatią Szymek. Tak, to prawda – czasem aż oczy bolą patrzeć, jak się przemęczają dla dobra demokracji walczącej media prawdziwie demokratyczne. Ciągle pracują, wszystkiego przypilnują i jeszcze inni, niektórzy, wbijają im szpilki. To nie ludzie – to wilki!

Osoby endeckopozytywne z Ruchu Narodowego Krzyśka Bosaka mają zaskakujący zwyczaj. Gdy mówią o Sławku Mentzenie, to nazywają go „Cicciolina". Orientujecie się o co chodzi?

A jak Szymek będzie dalej fikał, to mu się cofnie immunitet. Jest już wniosek w tej sprawie. Oczywiście za Collegium Tumanum, a dokładniej za to, że pojechał na domówkę do Bielana. Tak żeby znowu nie próbował kombinować z kaczystami. Wniosek o odebranie immunitetu dotyczy też Michała Koboski. No, ale to już nie fair. Chłop siedzi cichutko, nie pyskuje, atakuje pisiorów. Co więc jest z nim nie tak?

Jeśli chodzi o wilki wbijające szpilki, to na szczęście jest ich bardzo mało. Zaledwie nieco więcej niż połowa społeczeństwa. A oto dowód: ostatnie badanie sondażowni OGP pytającej społeczeństwo Ten Kraju o to, jak ocenia pracę rządu pana premiera Donalda Franciszka Tuska. Aż 29,4 proc. pozytywnie ocenia obecny rząd. Negatywnie – tylko 51,1 proc. Zostaje jeszcze 19,5 proc. niezdecydowanych. Ale wiadomo, że to kryptopisowcy, więc trzeba ustalić, kto to i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

Wzruszająca uroczystość w Telewizji w Likwidacji. ***Władimir Wikientijewicz Czarzastyj***, marszał polskawa Siejma, był w gościach w pro-

eprasa.pl 15f21a2a10

gramie satyrycznym TVP. Programie, który bardzo śmieszy prawdziwych demokratów, a nieprawdziwych nie, bo zgodnie z trendem obowiązującym w polskim kabarecie jest młotem na opozycję, ale nie na władzę. Program poświęcono urodzinom marszała, atmosfera była zatem i ciepła, i podniosła. Twórcy programu odśpiewali na jego cześć polską wersję pieśni „Mnogaja lieta", czyli „Sto lat". To już 66. urodziny Władimira Wikientijewicza. Łatwo policzyć, że zostały jeszcze 34 lata do spełnienia życzenia. Jak ten czas szybko leci.

À propos marszała Czarzastego. Anka Maryśka Żukowska jest jak Bill Clinton (nie jak Monika Lewinsky – wyjaśniamy, żeby nie było pomyłek). Robi różne rzeczy, ale się nie cieszy. Chodzi o to, jak zagłosowała w sprawie wotum nieufności dla pani dwojga nazwisk, która jest następczynią Izy Leszczyny w Ministerstwie Zdrowia. „Zagłosowałam z dużym bólem serca i z dużym bólem sumienia" – odpowiedziała, dlaczego broniła pani Grendy-Jakośtamskiej. Jeśli chodzi o sumienie, to uważamy, że przedstawiciele lewicy laickiej nie powinni w ogóle mówić o takich kościółkowych tematach. Ale jeśli chodzi o ból serca, to widzimy tu duży problem. Będzie kłopot z umówieniem wizyty u kardiologa. Prosimy dzwonić po wakacjach. Może wtedy będzie wolny termin. Powodzenia!

I jeszcze jedno. Sympatyczny, ludzki rys osobowości, który też zdradziła Anka Maryśka Żukowska – marszałek Czarzasty boi się latać samolotem. Taki duży chłopak, a jednak ma stany lękowe. Wyszło to przy okazji jakiegoś ważnego spotkania w Kopenhadze (to stolica Legolandu). Wszyscy polecieli tam zwyczajnie, czyli samolotem na koszt państwa. A Włodek drogą lądową, kilkanaście godzin wcześniej. Teraz najważniejsze jest to, żeby pisiory nie poznały tej tajemnicy państwowej. Bo wiecie, co oni mu zrobią, gdy wrócą do władzy? Każą mu latać Ryanairem z Modlina! I to mimo że Polska podpisała konwencję zabraniającą stosowania tortur.

Dziewczyna z Ciechanowa, czyli ***Marta Cienkowska***, ma kolejną atrakcyjną ofertę. „Codziennie wyższe ceny". Tym razem za smartfony, laptopy, płyty CD i inny taki nieekologiczny plastikowy chłam, który zaśmieca naszą planetę. Marta wprowadza dodatkową opłatę. Tak trzeba. Rząd jest gotowy na to poświęcenie. Dzięki temu będą pieniądze dla wybitnych artystów. Takich jak Kapela Jaś czy Janda Krystyna. Starczy też dla Basi Kurdej-Szatan. Wy tych pieniędzy nie potrzebujecie, bo nie jesteście wybitnymi artystami.

Wojciech Cejrowski przeprasza za to, że dał nabrać się Trumpowi. To ważne świadectwo! Obiecuje, że od tej pory będzie popierał Kamalę Harris. Albo Joe Bidena, jeśli będzie startował w następnych wyborach. Popieramy pana Wojciecha. Nigdy nie jest za późno, aby przejść na demokratyczną stronę. Dał przecież dobry przykład pan Kaz Marcinkiewicz, a także Misio Kamiński, Paweł Kowal, Eliza Michalik i wielu innych wspaniałych dziś demokratów (a kiedyś faszystów).

Słynny tancerz ***Janusz Kowalski*** jest bardzo rozgoryczony, bo nie spodobały się jego występy w Biłgoraju. Więc wychodzi. Najpierw tanecznym krokiem wyszedł z PiS, a teraz nawet z UE. Chce zostać liderem ruchu polexit. Ma już hasło: „Weto albo polexit!". Brzmi bardzo fajnie, niemal tak samo jak „Nicea albo śmierć". Człowiek, który głosił „Niceę albo śmierć", zapuścił później brodę i obecnie hoduje pszczoły w Bieszczadach. Panie Januszu, zalecamy sprawdzić już teraz, czy nie jest pan uczulony na żądła pszczół. Żeby potem łatwiej było panu hodować pszczoły w tych Bieszczadach. Na razie Janusz cieszy się chwilą i widzi się w roli polskiego Nigela Farage'a. Jeśli chcecie sprawić mu przyjemność, to zwracajcie się do niego „Najdżel". Będzie mu miło, bo sami rozumiecie, jak to jest mieć na imię „Janusz".

Łaska wiary w praworządność (tak jak my ją rozumiemy) nie jest dana na zawsze. Demokratyczna dziennikarka Dominika Wielowieyska popadła w kryzys braku wiary. A dokładniej w defetyzm. Uważa, że główne prawdy demokracji, czyli rozliczenie PiS, mogą zawieść. Nawet tak ważne hasła jak przejęcie Trybunału Konstytucyjnego czy grzanie tematu Zondacrypto mogą nie uratować rządu pana premiera Donalda Franciszka! „Kwestia zdrowia i też cen energii to będą tak naprawdę prawdziwe elementy, które zdecydują, czy czynniki, które zdecydują, kto wygra wybory w przyszłym roku. I jeżeli rząd Donalda Tuska nie zagwarantuje stabilnych cen energii, tak żeby ludzie nie zostali uderzeni nagle podwyżkami, jeżeli nie zmniejszą się kolejki do lekarzy, jeżeli nie będzie lepszej organizacji ochrony zdrowia, chociażby system informatyczny, który po prostu pozwoli na planowanie wizyt, sprawne odwoływanie, zmniejszanie kolejek" – ogłosiła w Telewizji w Likwidacji (nieustającej). Ale jak to? Jakieś przyziemne sprawy jak ceny za prąd czy durne kolejki do lekarza będą ważniejsze od praworządności (tak jak my ją rozumiemy)? Niech się wypowiedzą autorytety. One z łatwością przekonają wszystkich, że wysokie ceny i brak dostępu do służby zdrowia to niska cena za to, że PiS nie rządzi.

Fot. Ludmyła Skwarczyńska, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 15f21a2a10

Przejadanie zamiast budowania. Co po Tusku w spółkach Skarbu Państwa

Kiedy kilka lat temu kierowałem największym polskim koncernem energetycznym, ORLEN był tarczą bezpieczeństwa energetycznego Polski. Budowaliśmy go jako narodowego czempiona – nie po to, by służył Brukseli czy Berlinowi, lecz aby dawał Polakom tanią energię, nowe miejsca pracy i niezależność

Dziś, po dwóch latach rządów Donalda Tuska, patrzę na wyniki spółek Skarbu Państwa i widzę smutny obraz: przejadanie majątku zamiast inwestowania w przyszłość. To nie jest gospodarka – to gospodarstwo domowe, w którym głowa rodziny sprzedaje srebra rodowe, by pojechać na ekskluzywny weekend z nowymi kolegami i mieć na bieżące wydatki.

Weźmy liczby, bo one nie kłamią. W 2023 r., przed pełnym przejęciem władzy przez koalicję 13 grudnia, ORLEN wypracował ponad 21 mld zł zysku netto. W 2024 r. – już tylko 1,4 mld. Spadek o ponad 93 proc. W ciągu czterech kwartałów cały holding spółek Skarbu Państwa zarobił na czysto zaledwie 10 mld – o 51 mld, czyli o 83 proc., mniej niż rok wcześniej. W czwartym kwartale 2024 r. zamiast oczekiwanych zysków – strata ponad 3 mld. PGE: minus 5,9 mld, Enea: minus 1,9 mld, ORLEN w samym kwartale: minus 1,6 mld. Energetyka tonie pod ciężarem Zielonego Ładu, który Tusk przyjmuje z entuzjazmem brukselskiego wasala. Bo Bruksela dyktuje, a Warszawa wykonuje. Polskie kopalnie i bloki węglowe idą na bok, by zrobić miejsce dla niemieckich turbin i paneli. Interes niemiecki, koszt polski.

A jak pompuje się bieżącą wartość ORLENU? Rekordowymi dywidendami. Za 2024 r. – 6 zł na akcję, prawie 7 mld zł w gotówce. Część z zysku, ale sporą część z kapitału zapasowego – z rezerw nagromadzonych w poprzednich latach. Za 2025 r. zarząd proponuje już 8 zł. To nie jest inwestycja w rozwój – to wyciąganie gotówki na bieżące potrzeby budżetu państwa. Dokładnie tak jak w zadłużonym gospodarstwie domowym – zamiast kupić nowe maszyny, wyremontować poddasze czy wykształcić dzieci, sprzedaje się traktor oraz pole i kupuje telewizor na raty. Dzisiaj jest kolorowo, jutro – pustki w szopie i długi u sąsiada.

Zaniechania inwestycyjne biją po oczach. Strategiczne projekty spowalniają lub tracą impet. Zamiast rozbudowywać rafinerie i petrochemię w Polsce, koncern musi odpisywać miliardy na projekty, których zaniechano – bo nowy zarząd woli „czyszczenie bilansów" niż kontynuację. Tymczasem w portach dzieje się coś niepokojącego. Bulk Cargo – operator w porcie Szczecin – trafia w większościowe ręce niemieckiego Rhenus. Nabrzeża, infrastruktura, przeładunki masowe – wszystko w niemieckich rękach. Przeładunek w zespole portów Szczecin–Świnoujście spadł o 41 proc. w ciągu roku. Marginalizacja polskiego okna na świat? Czyżby Berlin wolał, by towary szły przez Hamburg i Rostock? Tusk, wierny sojusznik Brukseli, nie protestuje. Bo interes niemiecki jest ważniejszy niż polski.

To nie jest przypadek. Zależność od Brukseli widać w każdej decyzji. Zielony Ład dusi polską energetykę, fundusze unijne są narzędziem nacisku, a polityka energetyczna Tuska idealnie wpisuje się w niemiecką strategię dominacji w regionie. My mamy płacić wyższe rachunki za prąd, oni – sprzedawać swoje OZE. My mamy rezygnować z reparacji i wielkich inwestycji, takich jak CPK czy udrożnienie Odry, oni – zyskiwać na osłabieniu konkurencji.

Porównajmy to do zwykłego polskiego domu. Ojciec rodziny dostaje spadek po dziadku – solidny warsztat, pole, oszczędności. Zamiast rozbudować warsztat, kupić traktor i przekazać dzieciom większy majątek – sprzedaje narzędzia, bierze kredyt na konsumpcję i mówi: „Patrzcie, jak dobrze nam się żyje". Za kilka lat dzieci zostaną z pustymi rękami i długami. Dokładnie tak Tusk traktuje spółki Skarbu Państwa. Przejada zasoby nagromadzone w poprzedniej dekadzie, pompuje krótkoterminowe wyniki dywidendami i wskazuje na „błędy poprzedników", by ukryć własne zaniechania.

Polska gospodarka nie może być na utrzymaniu Brukseli i Berlina. Spółki Skarbu Państwa to nie prywatna kasa na polityczne obietnice – to narodowy majątek, który ma służyć bezpieczeństwu i rozwojowi. Czas, by zamiast przejadania budować przyszłość. Bo jeśli dalej pójdziemy tą drogą, to za kilka lat ORLEN, PGE i porty będą już tylko wspomnieniem polskiej siły. A my – z pustym portfelem i obcym panem w domu.

Daniel Obajtek

Reklama | 05/1125/FZAL
Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 15f21a2a10

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl 15f21a2a10

Koniec latania

USA

Rośnie zamieszanie na światowym rynku przewozów lotniczych. Jego przyczyną jest gwałtowny wzrost kosztów paliwa wywołany wojną z Iranem. W zeszłym tygodniu upadły amerykańskie linie lotnicze Spirit. To wizerunkowy cios dla administracji Donalda Trumpa, który zapewniał, że wojna nie uderzy w interesy Amerykanów i bezskutecznie próbował ratować bankrutującego przewoźnika.

Spirit Airlines były jedną z największych amerykańskich linii niskokosztowych. Obsługiwały przede wszystkim popularne połączenia turystyczne wewnątrz Stanów Zjednoczonych. Ich model biznesowy bazował na niskich marżach i tanich biletach. Działanie na krawędzi opłacalności przez pewien czas przynosiło zyski, ale w ostatnich dwóch latach sytuacja przewoźnika zaczęła się pogarszać. Firma dwukrotnie znalazła się na krawędzi bankructwa, a podejmowane próby połączenia z konkurencyjnymi liniami, takimi jak Frontier i JetBlue, nie powiodły się.

Gwoździem do trumny okazał się wybuch wojny z Iranem, który doprowadził do gwałtownego wzrostu cen paliwa. Od początku marca do końca kwietnia Spirit Airlines musiały wydać o 100 mln dol. więcej niż dotąd na zakup paliwa, co wyzerowało konta firmy i ostatecznie doprowadziło ją do upadku.

Charakterystyczne żółte samoloty zostały uziemione na początku maja. Na bruku znalazło się ponad 10 tys. pracowników firmy, którzy w jednej chwili stracili nie tylko pracę i środki do życia, lecz także ubezpieczenia. W portach lotniczych utknęły zaś dziesiątki tysięcy pasażerów z biletami na odwołane loty.

Upadek linii Spirit odbił się głośnym echem w całych Stanach Zjednoczonych. Administracja Trumpa próbowała ratować firmę. Rozważano nacjonalizację przewoźnika (zakup 90 proc. udziałów przez państwo) i wykorzystanie floty samolotów m.in. do przewozów żołnierzy.

Transakcja została jednak zablokowana przez udziałowców firmy, którzy obawiali się zbyt niskiej wyceny aktywów przez państwo. Przeciwko takiej formie pomocy dla upadających linii zaprotestowali też republikańscy kongresmeni.

Utrzymujące się wysokie ceny paliw mogą doprowadzić do kolejnych perturbacji na rynku lotniczym. W Ameryce możliwa jest dalsza konsolidacja i monopolizacja rynku przez największe firmy. Były już zresztą przymiarki do połączenia linii United Airlines i American Airlines. W Europie trwa zaś niepokój związany z kurczącymi się zapasami benzyny lotniczej. Zdaniem niektórych analityków może jej zabraknąć do końca maja. Niemiecka grupa Lufthansa anulowała już blisko 20 tys. lotów. Podobną decyzję, choć na mniejszą skalę, podjął także KLM-Air France.

Konrad Kołodziejski

Długi marsz islamolewicy

Włochy

We Włoszech – podobnie jak we Francji i Wielkiej Brytanii – wykluwa się polityczny alians islamu i lewicy. Widać to zwłaszcza na poziomie lokalnym, gdzie do startu w wyborach samorządowych szykują się środowiska muzułmańskie, które znalazły sojusznika po lewej stronie sceny politycznej.

Poligonem doświadczalnym jest region Veneto, gdzie Partia Demokratyczna wystawiła na listach siedmiu kandydatów pochodzących z Bangladeszu. W tamtejszym mieście Mestre, liczącym 90 tys. mieszkańców, żyje obecnie 20 tys. imigrantów pochodzących z tego kraju, z czego 3,5 tys. posiada prawa wyborcze. Także w innych regionach Italii wyznawcy islamu startują z list lewicy.

To część strategii politycznej, którą ujawnił lider partii Muzułmanie dla Rzymu Abd al-Haqq. Niedawno opublikował w internecie manifest, w którym wezwał wyznawców Allaha we Włoszech do wystawiania własnych kandydatów w wyborach samorządowych. Stawiany przez niego cel to start 10 polityków islamskich w każdej z 2 tys. gmin w kraju w latach 2026–2027. Gdyby to się udało – napisał – „moglibyśmy zobaczyć, jak 20 tys. muzułmanów przekształca oblicze polityczne całych Włoch".

Już teraz mobilizacja przedstawicieli politycznego islamu może zmienić równowagę polityczną w państwie. Niedawne referendum w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości zostało przegrane przez rząd Meloni różnicą 2 mln głosów – właśnie tyle liczy mniejszość muzułmańska uprawniona do głosowania. A grupa ta stale się powiększa: w latach 2021–2024 włoskie obywatelstwo przyznano 114 953 osobom pochodzącym z krajów muzułmańskich. Przyrost demograficzny gra natomiast na ich korzyść. Już teraz stawiają żądania, np. Związek Włoskich Wspólnot Islamskich domaga się, by muzułmańskie święta Eid al-Fitr i Eid al-Adha były dniami wolnymi od pracy, podobnie jak piątki, które dla wyznawców są Allaha odpowiednikiem niedzieli. Obecnie te postulaty zapewne nie zostaną spełnione, ale kto wie, może za kilkanaście lat?

Grzegorz Górny

eprasa.pl 15f21a2a10

Plaga hipopotamów

Pablo Escobar, nieżyjący już boss narkotykowy i twórca kartelu z Medellín, najpotężniejszego niegdyś syndykatu przestępczego, miał ekscentryczne hobby – sprowadzał do swego prywatnego zoo hipopotamy. Po jego śmierci rząd Kolumbii przejął kontrolę nad posiadłością i wywiózł kilkadziesiąt hipopotamów. Pozostały jedynie cztery i to ich potomstwo stanowi dziś główny problem w dorzeczu rzeki Magdaleny.

Obecna szacunkowa populacja hipopotamów wynosi 170 sztuk, a w 2040 r. może być ich nawet 1,5 tys. Irene Vélez, dyrektor Kolumbijskiej Narodowej Agencji Ochrony Środowiska, ostrzegła, że jeśli władze nie podejmą próby wyeliminowania populacji tych zwierząt, lokalne ekosystemy zostaną zniszczone.

Aby walczyć z inwazyjnym gatunkiem, jakim w Kolumbii są hipopotamy, władze podjęły decyzję o odstrzale 70 sztuk tych zwierząt. Krok ten popierają również organizacje zrzeszające lokalnych rybaków, bo hipopotamy wytrzebiły ich łowiska. Ale decyzja ta wywołała protesty organizacji ekologicznych, które nazwały plany rządu „okrucieństwem". Senator Andrea Padilla, znana z tego, że w wyniku jej działań zakazano w Kolumbii walk byków, napisała w mediach społecznościowych, że „zabójstwa i masakry nigdy nie będą akceptowalne. Nigdy nie poprę rzezi zdrowych istot".

Kolumbijskiej obrończyni praw zwierząt nie przekonały argumenty o zagrożeniu, jakie również dla ludzi stwarzają ważące 4,5 t hipopotamy. Nieoczekiwanie jednak w sukurs kolumbijskim hipopotamom przyszedł Anant Ambani – syn najbogatszego człowieka w Azji, Mukesha Ambaniego, który zadeklarował chęć odkupienia zwierząt i wywiezienia ich do swojego prywatnego zoo w Indiach. Ani władze Kolumbii, ani tym bardziej obrońcy przyrody nie skomentowali tej oferty – może dlatego, że zoo Ambaniego, w którym znajduje się 2 tys. gatunków zwierząt, jest położone nieopodal będącej jego własnością największej w Indiach rafinerii ropy naftowej, która stanowi źródło finansowej potęgi rodu. Oferta nie jest zatem zbyt ekologiczna i może dlatego została zbyta milczeniem.

Marek Budzisz

Kolumbia

Mur przed przestępcami

RPA

Burmistrz Kapsztadu Geordin Hill-Lewis ogłosił plan budowy muru, który ma chronić kierowców przed napadami na owianej złą sławą autostradzie prowadzącej z centrum miasta do lotniska. Napady kosztowały już życie wielu osób, a niektóre odcinki trasy zyskały przydomek „Hell Run" („piekielny bieg").

Mur ma mieć co najmniej 3 m wysokości i oddzielić od autostrady gęsto zaludnione slumsy, w których odnotowuje się najwięcej przestępstw w kraju. Projekt zakłada też instalację kamer, poprawę oświetlenia oraz większą liczbę patroli policyjnych. Całość ma kosztować 108 mln randów (6,5 mln dol.).

N2 to jedna z najbardziej ruchliwych dróg dojazdowych do miasta, z której korzystają również turyści przylatujący do Kapsztadu. Dzielnica Nyanga, położona tuż obok lotniska, znajduje się na szczycie listy miejsc, w których najczęściej dochodzi do morderstw. Złodzieje z tego osiedla obierają sobie za cel kierowców poruszających się N2. Na monitoringu z lutego widać grupy uzbrojonych mężczyzn, którzy blokują ruch na trzypasmowej autostradzie. Emerytowana nauczycielka Karin van Aardt została napadnięta w grudniu, gdy zatrzymała się na czerwonym świetle. Sprawcy zadali jej kilkanaście ciosów nożem. Zmarła w szpitalu. W 2023 r. Kar Hao Teoh, brytyjski chirurg, zginął wkrótce po zjeździe z autostrady N2 na lotnisko. Został zastrzelony na oczach swojej rodziny.

Między listopadem 2024 a listopadem 2025 r. odnotowano ponad 2,2 tys. „incydentów", w tym napady, strzelaniny oraz rzucanie kamieniami w samochody, aby zmusić kierowców do zatrzymania się. Jednak planowany mur burmistrza nie wszystkim przypadł do gustu. Krytycy porównują go do muru berlińskiego, oddzielającego biednych od bogatych.

Kapsztad jest rządzony przez Sojusz Demokratyczny – partię, której członkowie są w większości biali. W tle więc pobrzmiewa sugestia, że skoro są biali, to dbają o białych. Opozycyjny radny z Kapsztadu Chad Davids z lewicowej Good Party uważa wręcz, że miasto jest „bogate na papierze, administracyjnie rozbite i moralnie niejasne w swoich priorytetach". Dodał, że w slumsach wzdłuż N2 brakuje prądu, bieżącej wody i sanitariatów. Władze miasta od lat obiecują mieszkańcom ubogich przedmieść, że ich przesiedlą do nowych bloków, ale te wciąż nie powstały.

Hill-Lewis upiera się, że budowa muru cieszy się szerokim poparciem. Przyznaje jednak, że problem jest szerszy i wynika z braków w finansowaniu policji na poziomie krajowym, systemowej politycznej korupcji oraz powszechnej biedy wśród czarnoskórej społeczności.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Czy ktoś za nas zrobi coś dla nas?

Jan Pietrzak

Kocham Polskę i Polaków, czego nie muszę udowadniać. Na wszelki wypadek zgłaszam jednak asekuracyjne oświadczenie ze względu na to, że mam kilka uwag dotyczących momentu historycznego, w którym właśnie się znaleźliśmy. Polską zarządzają wykreowani przez Niemców politycy, tak rozdygotani, nierozumni, a przede wszystkim nieznoszący polskiej tożsamości, że strach pomyśleć, jak zdemolują nasz kraj do końca kadencji. Gdyby ster władzy przejęli kompetentni, odpowiedzialni patrioci, byłaby szansa na powstrzymanie upadku Rzeczypospolitej i szybki powrót na ścieżkę rozwoju, którą prowadziła prawica.

Obecna słabość tradycyjnych okupantów jest widoczna gołym okiem. To szczególna okazja. Ich klapa jest naszą szansą. Choć wygrywają tu ustawione przetargi, nic porządnego tu nie zbudują, bo mają krótką perspektywę. Sypie im się Rzesza, potrzebne są szybkie pieniądze. Energetykę spieprzyli sobie sami, na maksa uzależniając się od Rosji. Branża samochodowa, przez lata ich najbardziej dochodowy interes, leży i kwiczy. Nie odbije się od dna za pomocą mechanizmu Mercosuru. To mrzonki. Najtańsi niewolnicy, znani pod ksywką „nielegalni imigranci", nie wystarczą do obniżenia kosztów produkcji. Na zbrojeniówce się nie odkują, bo wojna moskiewsko-kijowska niebawem się skończy. Nie zdążą nachapać się z SAFU. A Rosja długo się nie podniesie po czteroletniej operacji specjalnej, która niezależnie od formalnego wstrzymania walk już jest historyczną klęską.

Przyznacie państwo, że nieczęsto okoliczności zewnętrzne wyraźnie sprzyjają naszemu krajowi. Nie powinniśmy przegapić tego momentu, naiwnie czekając, aż ktoś za nas zrobi coś dla nas. Ten rodzaj naiwności jest zapisany w siedmiu (na razie) tomach „Dziejów Polski" prof. Andrzeja Nowaka. Jako społeczeństwo mamy na sumieniu sporo grzechów wobec naszego państwa. Na pierwszym miejscu stawiam tolerancję dla zdrajców. Z tym że łatwiej wyplenić naiwne gapiostwo niż zdradę. Wychodzi taniej. Przepędzenie piątej kolumny może być bardzo kosztowne. Podobno niebawem ukaże się jakiś tajny dokument zwany aneksem. Oj, będzie harmider!

A propos – kilku korespondentów zauważyło, że w ostatnich felietonach jakoby nadmiernie potępiam politykę niemiecką. Istotnie, zgadza się! Niemcy sterroryzowały Unię. Niemcy stały się hubem nienawiści wobec Polski. Okradają nas regularnie. Ingerują w nasze życie nieustannie. Chwała Bogu, że w europarlamencie jest kilkoro parlamentarzystów, którzy nie boją się o tym mówić zdecydowanie, jak Ewa Zajączkowska-Hernik.

Jakiś gamoń skarcił mnie, że jestem za poważny, za mało kabaretowy. Bo nasze spotkanie nie odbywa się w kabarecie! Załatwcie mi salę w Warszawie, po paru dniach prób będziecie mieli kabaret! Obawiam się jednak, że Niemcy do tego nie dopuszczą.

Śmiertelne skutki czystek

Samuel Pereira

Najgroźniejsze dla państwa nie są nawet pojedyncze błędy. Najgroźniejszy jest moment, w którym lojalność wobec politycznego układu zaczyna być ważniejsza niż profesjonalizm. Wtedy instytucje tracą instynkt samozachowawczy. Procedury istnieją już tylko na papierze, doświadczeni ludzie są odsuwani, a decyzje podejmują ci, którzy bardziej patrzą w stronę gabinetów ministrów niż na realne zagrożenia. Właśnie taki obraz wyłania się z tragedii w Ustce. Pokazujemy to w reportażu wPolsce24.

Nie żyje czteroletnia dziewczynka. Jej matka i bliscy zostali naznaczeni do końca życia. Sprawca odpowie przed sądem. Ale obok aktu oskarżenia wobec jednego człowieka pojawia się drugie, dużo szersze pytanie: czy państwo zrobiło wszystko, by zapobiec tej tragedii?

Z naszych ustaleń wynika, że sygnały alarmowe pojawiały się wcześniej. Była notatka służbowa. Były relacje współpracowników o podejrzanym zachowaniu funkcjonariusza. Były przepisy pozwalające skierować go na komisję lekarską. A mimo to człowiek, wobec którego pojawiały się poważne wątpliwości, nadal miał dostęp do broni i miał zostać wysłany na zagraniczną placówkę.

I właśnie tutaj zaczyna się prawdziwy dramat państwa. Bo w tym samym czasie w SOP trwało „sprzątanie". Zamiast skupienia na bezpieczeństwie państwa i jakości dowodzenia mieliśmy atmosferę politycznej wymiany kadr. Jednych odsuwano dlatego, że kojarzyli się z poprzednią ekipą, innych awansowano, bo byli „zaufani". W służbach mundurowych to szczególnie niebezpieczne. Tam cena braku profesjonalizmu może być liczona w ludzkim życiu.

Dlatego dziś nie wystarczy już powiedzieć, że „doszło do tragedii". Trzeba odpowiedzieć na pytania: kto wiedział o sygnałach alarmowych? Kto podjął decyzję, by nie kierować funkcjonariusza przed komisję lekarską? Dlaczego człowiek budzący poważne obawy nadal miał dostęp do broni? I wreszcie wyciągnąć personalne wnioski z faktu, iż polityczne czystki oraz amatorstwo nowych kadr sprawiły, że w SOP zabrakło ludzi gotowych wziąć odpowiedzialność i podjąć decyzję na czas.

eprasa.pl 15f21a2a10

Także w interesie Niemiec

Marta Kaczyńska-Zielińska

Prezydent Lech Kaczyński konsekwentnie postrzegał bezpieczeństwo Polski nie jako problem wyłącznie narodowy, lecz element szerszego układu geopolitycznego obejmującego całą Europę Środkowo-Wschodnią. Już na początku lat 90. wraz z Jarosławem Kaczyńskim uważał wejście Polski do NATO za fundament polskiej racji stanu. W czasie, gdy część europejskich elit uznawała, że po rozpadzie ZSRR i zakończeniu zimnej wojny zagrożenie militarne w Europie praktycznie zanikło, Lech Kaczyński przewidywał, że Rosja będzie dążyć do odbudowy swojej strefy wpływów. Z tego powodu uważał, że Polska powinna związać swoje bezpieczeństwo z obecnością USA na naszym kontynencie i wzmacniać strategiczne znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej.

Jednym z najważniejszych elementów tej koncepcji była budowa trwałej obecności wojskowej USA w Polsce i na wschodniej flance NATO. Lech Kaczyński uważał, że tylko fizyczna obecność wojsk amerykańskich tworzy rzeczywisty mechanizm odstraszania. Państwo, na którego terytorium stacjonują amerykańscy żołnierze, jest bowiem postrzegane jako objęte bezpośrednimi gwarancjami bezpieczeństwa Waszyngtonu.

Pomarańczowa rewolucja na Ukrainie w 2004 r. pokazała, że Rosja uruchamia swoje imperialne ambicje. Późniejszy atak na Gruzję w 2008 r. oraz agresja przeciwko Ukrainie potwierdziły trafność diagnoz Lecha Kaczyńskiego dotyczących zamiarów Kremla. Po aneksji Krymu w 2014 r. i pełnoekranowej agresji FR przeciwko Ukrainie Polska, państwa bałtyckie i Rumunia stały się kluczowymi elementami wschodniej flanki Sojuszu. Obecność wojsk USA w regionie ma charakter odstraszający. Powstają magazyny uzbrojenia, centra dowodzenia, lotniska, sieci transportowe i systemy obrony przeciwrakietowej, zdolne do szybkiego przyjęcia i rozmieszczenia sił sojuszniczych. Znaczenie tej obecności wykracza daleko poza bezpieczeństwo samej Polski, obejmując całą Europę.

W aktualnej niemieckiej strategii bezpieczeństwa coraz wyraźniej zakłada się możliwość rychłej konfrontacji z Rosją i konieczność wzmacniania potencjału obronnego. Berlin zamierza odgrywać coraz większą rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa Morza Bałtyckiego i północnej flanki NATO. Zwiększenie liczebności wojsk amerykańskich w Polsce oznacza przede wszystkim przesunięcie potencjalnej linii konfliktu dalej na wschód. W czasie zimnej wojny RFN znajdowała się na pierwszej linii potencjalnego starcia NATO z Układem Warszawskim. Dzięki rozszerzeniu sojuszu oraz obecności wojsk USA w Polsce strefa bezpieczeństwa została przesunięta setki kilometrów dalej od granic Niemiec. Im silniejsza jest obecność wojsk amerykańskich w Polsce, tym większa szansa, że ewentualne zagrożenie zostałoby zatrzymane jeszcze przed dotarciem do Europy Zachodniej.

Z punktu widzenia Berlina silna obecność USA w Polsce wzmacnia także wiarygodność art. 5 traktatu północnoatlantyckiego i utrudnia Rosji prowadzenie polityki destabilizacji hybrydowej. Moskwa musi brać pod uwagę, że jakikolwiek konflikt w regionie automatycznie angażowałby USA.

Korzyści wynikające z obecności wojsk amerykańskich mają również wymiar gospodarczy i technologiczny. Bazy wojskowe generują powstawanie miejsc pracy, rozwijają infrastrukturę transportową, logistyczną i teleinformatyczną, a także zwiększają atrakcyjność inwestycyjną. Stabilność bezpieczeństwa sprzyja napływowi kapitału zagranicznego i rozwojowi nowoczesnych technologii związanych z obronnością, cyberbezpieczeństwem oraz komunikacją. Państwa współpracujące z amerykańską armią uzyskują dostęp do nowoczesnych systemów dowodzenia, rozpoznania i logistyki, a regularne ćwiczenia podnoszą interoperacyjność armii.

Polska dzięki swojemu położeniu i rosnącej roli strategicznej może stać się jednym z głównych filarów bezpieczeństwa, a zarazem centrum logistycznym i technologicznym regionu. Zwiększenie obecności wojsk USA w naszym kraju to wzrost bezpieczeństwa militarnego i stabilizacja polityczna, gospodarcza i cywilizacyjna całej Europy, utrudnienie odbudowy rosyjskiej strefy wpływów i wzmocnienie więzi transatlantyckich.

REKLAMA

23/0426/F

eprasa.pl 15f21a2a10

Walizka o. Kazimierza Frankiewicza

franciszkanina, kapłana autostopowicza, absolwenta studiów leśnych w Poznaniu

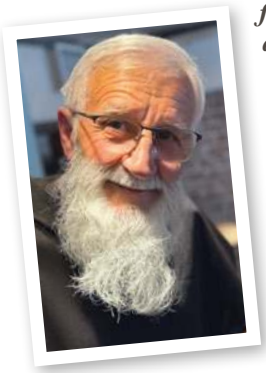

Zamiast wyjazdów wypoczynkowych odbywam pielgrzymki albo przejazdy autostopem związane z apostolstwem. Gdy papież Franciszek zachęcał kapłanów, by wychodzić do ludzi na peryferie, odkryłem, że to, co robię od wielu lat, mieści się w tej misji. Kiedyś podróż autostopem była bardziej popularna, ale to się zmieniło. Nie dlatego, że ludzie są egoistami – po prostu się boją. Muszę jednak przyznać, że habit pomaga w znalezieniu kierowcy chętnego do podwiezienia. Mało tego, wychodziłem na szosę coraz później i zacząłem podróżować nocami, np. łapałem stopa o godz. 22.00 pod Lublinem, by dojechać do Warszawy na godz. 2.00. Ale podróżowałem nie tylko po Polsce. Autostopem pojechałem do Medziugorie, gdzie spędziłem rok. Z podniesionym kciukiem dotarłem też do Rzymu i Asyżu. Z kolei jedna z najważniejszych dla mnie pielgrzymek – do chaldejskiego Ur w Iraku (gdzie urodził się Abraham) – miała służyć odnalezieniu mojego miejsca w Kościele i zakonie. To był moment, gdy byłem na zakręcie, nie godziłem się na to, co przeżywałem i szukałem rozwiązania. Z Bagdadu pojechałem do Jerozolimy, gdzie spędziłem tydzień. Chodząc do Bazyliki Grobu Świętego, dowiedziałem się, że możliwe jest podjęcie służby w tym miejscu nawet dla osób spoza Zakonu Braci Mniejszych. Informacja o codziennej modlitwie nocnej w tej świątyni zelektryzowała mnie i zachęciła do podjęcia powołania w tym miejscu. Po otrzymaniu zgody moich przełożonych rok później stawiłem się w bazylice, gdzie pracowałem przez 16 lat. I moim pragnieniem jest wrócić tam za jakiś czas.

Teraz, w maju, po pielgrzymce do Fatimy planuję zorganizować rekolekcje dla kapłanów autostopowiczów.

PARAMENTY LITURGICZNE

To moje najważniejsze wyposażenie. Dzięki temu jestem zabezpieczony w sytuacjach awaryjnych, kiedy nie mogę odprawić mszy świętej w przeznaczonych do tego miejscach.

eprasa.pl 15f21a2a10

ŚWIATŁO

Często wykorzystuję je na drodze, a także do zbierania w nocy grzybów. W Ziemi Świętej pod Jerozolimą w parku narodowym zebrałem dużo maślaków oraz rydze i prawdziwki. W tym roku znaleźliśmy gąski łuskowane.

MAPY I ATLASY

Jeden z nich dostałem w prezencie od penitenta z dedykacją: „Żeby mi było łatwiej dotrzeć do ludzkich serc".

PAMIĄTKI RELIGIJNE

Kierowcy zabierający mnie na drodze nie chcą pieniędzy, dlatego daję im w prezencie małe zestawy religijne, np. pamiątki z Ziemi Świętej, różańce pobłogosławione podczas objawienia Matki Boskiej w Medziugorie, broszurki...

SZNUR

Pasek franciszkański służy do przewiązania habitu. Trzy supły symbolizują trzy śluby zakonne: ubóstwa, posłuszeństwa oraz czystości. Wiele razy ratował mnie w nocy jako jedyny element, który dostrzegali kierowcy na tle ciemnego habitu.

PIELGRZYMKA LEŚNIKÓW

Na pielgrzymkę do Ziemi Świętej zgłosiło się 600 leśników! Na zdjęciu jestem z grupą kolegów z moich studiów leśnych.

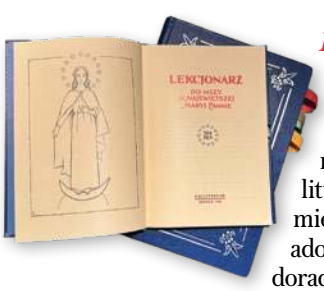

LEKCJONARZ

To oficjalna księga liturgiczna z uporządkowanym zestawem czytań biblijnych na poszczególne dni roku liturgicznego. Wiele lat temu, gdy mieliśmy problemy z założeniem adoracji w Jerozolimie, siostra doradziła mi, bym zwracał się do Matki Bożej. Zacząłem od dziesiątki różańca, potem zacząłem odprawiać do Niej mszę. Potem dołączyłem modlitwę o Duchu Świętym.

LEŚNICTWO

Od dzieciństwa byłem związany z przyrodą, w której tajniki wtajemniczał mnie Tata. Mieszkaliśmy blisko Warty, która – jeszcze nieskażona w latach 60. – była królestwem ryb i wodnego ptactwa. Miłość do natury nakłoniła mnie lata później do studiowania na Wydziale Leśnym Akademii Rolniczej w Poznaniu, a następnie do pracy w Wojewódzkim Zarządzie Polskiego Związku Łowieckiego w Koninie.

KLUCZ

Aby nie budzić znajomego księdza podczas przyjazdu w środku nocy, otrzymałem klucz do jego plebanii.

PISMO ŚWIĘTE

Gdy byłem w Ur, rozważałem fragment Pisma Świętego dotyczący tego wyjątkowego miejsca, związanego z Abrahamem.

STUŁA

Aby odprawić mszę, oczywiście potrzebna jest stuła. Zabieram całą ich kolekcję na różne dni i święta, w tym fioletową, żeby móc spowiadać w każdych okolicznościach.

BREWIARZ

Nieodzowny towarzysz kapłanów i osób zakonnych. Naszym obowiązkiem jest uświęcanie całego dnia modlitwą brewiarzową.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum o. Kazimierza Frankiewicza

eprasa.pl 15f21a2a10

Reparacje. Berlin i Tusk mają problem

W niemieckojęzycznej przestrzeni publicznej pojawiła się właśnie pierwsza zagraniczna recenzja trzytomowego raportu o stratach wojennych Polski. Jej autorem jest austriacki historyk i ekonomista Michael Pammer, a tekst opublikowano w niemieckojęzycznym czasopiśmie naukowym „Sehepunkte". I paradoksalnie najważniejsze nie jest to, że ktoś za granicą dostrzegł ogrom polskiej tragedii. Najważniejsze jest coś znacznie bardziej niewygodnego dla wielu polityków nad Wisłą: autor recenzji potwierdził, że metoda, którą przyjęliśmy przy wyliczaniu strat, była konserwatywna.

Przez lata słyszeliśmy przecież ten sam refren. „Absurdalne kwoty", „nierealne oczekiwania", „polityczna propaganda". Szczególnie chętnie powtarzali to politycy i publicyści związani z obozem Tuska, próbując przedstawić temat reparacji jako wyborczą emocję, a nie poważną debatę o historycznej odpowiedzialności. Tym samym czynili przysługę niemieckim decydentom politycznym – niezależnie od tego, który z kanclerzy był u steru władzy w Berlinie. Tymczasem zagraniczny recenzent zrobił coś, czego wielu krajowych krytyków nawet nie próbowało: przeczytał raport i przeanalizował metodologię.

Wnioski są dla sceptyków wyjątkowo niewygodne. Autor recenzji wprost wskazuje, że zastosowana metoda liczenia strat była konserwatywna, szczególnie w odniesieniu do ofiar ludzkich. Wartość życia milionów obywateli Polski liczono głównie metodą kapitału ludzkiego, czyli przez pryzmat utraconej pracy i dochodów. To podejście ekonomiczne, chłodne i bardzo zachowawcze. Sam recenzent podkreśla, że taka metoda z definicji daje wyniki niższe niż współcześnie stosowane sposoby wyceny życia ludzkiego.

A mimo tego konserwatywnego podejścia raport mówi o stratach przekraczających 1,3 bln euro. Co więcej, według recenzji Michaela Pammera zastosowanie innych metod wyceny mogłoby podnieść tę kwotę nawet do poziomu od 2,5 do 7 bln euro. To pokazuje skalę katastrofy, jaką Niemcy sprowadziły na Polskę podczas II wojny światowej.

Arkadiusz Mularczyk

Wciąż wszędzie mnie pełno

Z Lillą Wyjadłowską z 8. edycji „Sanatorium miłości" rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak przyjęła pani wybór królowej i króla ósmego turnusu „Sanatorium miłości"?

Lilla Wyjadłowska: To było duże zaskoczenie, zwłaszcza jeśli chodzi o królową [uśmiech], bo król od początku był moim faworytem.

Emisja programu sprawiła, że przestaliście być anonimowi. Jak radziła sobie pani z rosnącą popularnością?

Do wszystkiego, co działo się podczas nagrań [we wrześniu ub.r.] i później, gdy w telewizji pojawiały się kolejne odcinki, starałam się podchodzić z dystansem i uśmiechem. Tak jak często mówił Henio Rzepczyński – „lajtowo". Z tym że w Sosnowcu, w którym mieszkam od lat, byłam osobą rozpoznawalną już wcześniej. To wynika z mojego charakteru – wciąż wszędzie mnie pełno. Udzielałam się na wszystkich etapach edukacji moich dzieci. Poznawałam wielu ludzi i przez wielu byłam zapamiętywana, ale kiedy ruszyła edycja programu, zaczęły się do mnie odzywać nawet koleżanki sprzed 20 lat.

Stała się pani gwiazdą?

Gwiazdą to ja jestem od dawna [śmiech]. A na poważnie – znam swoją wartość, ale wiem też, jak wyglądam i potrafię to zaakceptować.

Jak zamierza pani wykorzystać czas, w którym rozpoznają panią nie tylko mieszkańcy Sosnowca?

Przyjaciele i znajomi – a naprawdę mam ich wielu na całym świecie – mówią mi: „Fajnie, że byłaś w tym programie, bo wielu osobom pokazałaś, że zwyczajne kobiety też mogą się odnaleźć w takim przedsięwzięciu".

A co z miłością, która jest podkreślana w tytule?

Powiem tak: cieszę się, że zdobyłam tylu nowych przyjaciół, bo z naszą grupą utrzymujemy bardzo fajne kontakty, ale wiem też – i to od lat – że jeśli chodzi o głębsze uczucia, będę miała ciężko, bo mężczyźni nie lubią dominujących kobiet. Mimo to nie tracę nadziei [uśmiech].

Fot. TVP

eprasa.pl 15f21a2a10

TRENDY I OWĘDY

Na stłuczki

Ryszard Makowski

Nasz aktualny rząd ma rzadki dar zubażania społeczeństwa w taki sposób, żeby to społeczeństwo było z tego zadowolone. Wprowadzono system kaucyjny. Zrobiono to tak, że nie wiadomo, kto zarabia na tym bajońskie sumy. Według BitHub.pl: „W Polsce [...] w systemie kaucyjnym może to być około 15 mld butelek i 5–6 mld puszek". Na stronie PolskieRadio24.pl znajdujemy szacunki, że przy zakładanym ustawowym poziomie zwrotu w wysokości 77 proc., 1 mld 58 mln zł z nieodebranych kaucji rozpływa się w systemie. Są to szacunki przybliżone, bo nie ma konkretnych danych dotyczących obrotu pieniędzmi w kaucyjnym bałaganie. Władza ma to kontrolować dopiero w 2027 r.

Nie przeszkadza to oczywiście w procederze wyciągania pieniędzy z kieszeni konsumenta na konkretne konta. By złagodzić niezadowolenie, w sukurs władzy ruszył świat celebrytów. Okazało się, że kaucyjne zbieranie śmieci nobilituje i jest źródłem zamożności. Tytuł w wyborczej.pl: „Licealista na butelkach zarobił 1,7 tys. zł. Malwina poszła to sprawdzić i spotkała innych. »Może będzie z tego sport narodowy«". Rekordzistą jest Denis z Krakowa. Zebrał 4683 opakowania. 2,3 tys. zł w kieszeni.

W Międzylesiu w latach 60. ub.w. odnosiliśmy do tzw. składu butelki znalezione po libacjach w pobliskim lesie. Płacili złotówkę od sztuki, a co dziesiątą brali na stłuczki, czyli pewnie dla siebie. I ten system kaucyjny był klarowny. Cywilizacja tak się rozwinęła, że zwrotów nie przyjmuje teraz pan kierownik z petem w kąciku ust, tylko nowoczesna maszyna. A ci, którzy biorą co piątą (?) na stłuczki, śmieją się z nas w eleganckich gabinetach.

ZDJĘCIE TYGODNIA Wielka susza. Płoną polskie lasy

Fot. Wojtek Jargiło/PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, IPN, PAP/PIOTR KOWALA, SHUTTERSTOCK/ANDREY BURMAKIN, TSVIPHOTO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 15f21a2a10

Jestem Polak znad Niemna

Cieszy, że wolny świat jakoś się o mnie upomniał, ale wiem też, że przede wszystkim to jest polska sprawa. Sprawa, która bez starań z Polski by umarła. Ale naprawdę wolałbym, by o mnie nie rozmawiano, żeby nie było całej tej historii. Wolałbym, żeby cmentarze AK-owców na Białorusi nie zostały zrównane z ziemią

Jacek Karnowski i Marcin Wikło rozmawiają z Andrzejem Poczobutem, dziennikarzem, działaczem Związku Polaków na Białorusi, więźniem politycznym Łukaszenki uwolnionym 28 kwietnia br.

Panie Andrzeju, witamy na polskiej ziemi. Bardzo się cieszymy, że tak się to skończyło. Jak się pan czuje?

Andrzej Poczobut: W porządku. Jestem bardzo wdzięczny lekarzom, mam tu bardzo dobre warunki i cieszę się, że stan mojego zdrowia zostanie dokładnie przebadany. Nigdy w życiu nie miałem takich badań, nie wiedziałem nawet, że są takie urządzenia, które teraz poznaję.

Jak wygląda wolność po pięciu latach, i to wolność w Polsce?

Jestem w szpitalu, więc pozostaję trochę uwiązany. Tej wolności tak naprawdę jeszcze nie odczułem. Wielkim przeżyciem było to, że zobaczyłem rodzinę, bo od bardzo dawna jej nie widziałem. Gdy mnie aresztowano, syn miał 11 lat i pewnie 1,4 m wzrostu, a teraz ma 1,9 m i jest wyższy ode mnie. To smutne, bo to duży kawałek życia, który został wyrwany. Na co dzień człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy, ale gdy zobaczyłem syna, dużego, już mężczyznę, boleśnie to odczułem.

Odbierając order Orła Białego na Zamku Królewskim, upomniał się pan o bohaterów, o AK-owców, o „Łupaszkę". Po wyjściu z więzienia mówi pan: „Nie patrzcie na mnie, patrzcie na nich". To tym bardziej wzruszające, że właściwie poszedł pan siedzieć za to, że pamiętał pan o chłopcach z AK, o chłopcach z lasu.

Związek Polaków na Białorusi od samego początku upominał się o pamięć o żołnierzach podziemia antykomunistycznego na Wołyniu. Wiele zdarzeń, miejsc udało się upamiętnić, zanim Łukaszenka doszedł do władzy, gdy Białoruś była jeszcze demokratyczna. Bardzo wielu kombatantów zaangażowało się w działalność Związku Polaków i było dla mnie zaszczytem, że ich poznałem. Poznałem ludzi, którzy walczyli z bronią w ręku, siedzieli w sowieckich obozach, a później całe życie, aż do upadku systemu,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15f21a2a10

żyli w warunkach totalnej inwigilacji. Gdy wzięli się za mnie w związku z upamiętnianiem AK, przypomniałem sobie śp. Witolda Wróblewskiego „Dzięcioła", żołnierza „Olecha", który od 1949 do 1964 r. siedział w więzieniu i który chyba w 2007 r. mówił mi: „Panie Andrzeju, oni mogą wrócić do tego tematu". Nie bardzo mu wierzyłem.

Do tematu ścigania AK-owców, do walki z pamięcią?

Tak. Pomyślałem: „No, jeśli człowiek całe życie żyje w warunkach inwigilacji, to na pewno ma już trochę paranoję". Okazało się, że to on miał rację.

Z pana też próbowali zrobić spiskowca, który chciał oderwać część Białorusi i przyłączyć ją do Polski.

Zawsze chciałem odwiedzić Turkmenistan. Byłem ciekawy, jak funkcjonuje społeczeństwo w warunkach totalitaryzmu. Ale skończyło się tak, że to Turkmenistan przyjechał do mnie. Niestety Białoruś dzieli dziś od państwa totalitarnego przysłowiowe pięć minut. W tej szczelinie, w tych pięciu minutach, znajduje się teraz Związek Polaków i kilka niezależnych inicjatyw. W takim państwie człowieka można oskarżyć o wszystko.

Mimo to chce pan wracać na Białoruś. Bo przecież mógł pan wyjść wcześniej, ale dwa czy trzy razy odrzucił pan takie oferty, bo nie było gwarancji, że znów pana wpuszczą. Teraz dostał pan taką gwarancję. Naprawdę chce pan wracać?

Wielu ludzi mnie pyta, dlaczego nie chciałem wyjść bez gwarancji powrotu na Białoruś. Ale jak mogłem wyjechać, skoro w tym samym czasie zaczęli ścigać uczniów szkół średnich, którzy uczestniczyli w całkowicie legalnych objazdach miejsc pamięci narodowej? Na przesłuchania wzywają dzieci, wzywają rodziców, szarpią. Miałbym zostawić tych ludzi? Ja, który to wymyśliłem, który to organizowałem? Jeśli szedłeś do przodu, a za tobą poszli ludzie, to ty za nich odpowiadasz.

Na Zamku Królewskim powiedział pan też: „Jest coś, co nas wszystkich łączy, i to jest polskość – i to jest piękne". Bardzo się ucieszyliśmy, że te słowa padły z pańskich ust właśnie w dniu święta 3 maja, kiedy często myślimy o tym, że spory wewnętrzne walnie przyczyniły się do upadku I Rzeczypospolitej. Państwa, które obejmowało ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, czyli także obecną Białoruś.

Jestem Polakiem, który mieszka poza granicami państwa, i nasze stanowisko jest jasne: niezależnie od tego, kto do nas przyjeżdża, jaka opcja polityczna, dla nas ta osoba reprezentuje państwo polskie. Nieważne, czy jest z rządu, czy z opozycji. Owszem, w Związku Polaków działają ludzie o różnych poglądach, są też – nie będę ukrywał – różne emocje, ale w sumie mamy jasną, wypracowaną od 20 lat linię: każdemu, kto reprezentuje Polskę, należy się odpowiedni szacunek. To pozwala mniejszości polskiej na Białorusi być ponad podziałami w Polsce. Ludzie mają różne poglądy także w odniesieniu do sytuacji wewnątrzbiałoruskiej. Ale zawsze pamiętamy: to nie polityka nas łączy, lecz przywiązanie do polskich tradycji, działalność na rzecz języka polskiego, kultury polskiej, ochrony miejsc pamięci narodowej.

> W celi przejściowej siedziałem z człowiekiem, który jechał do więzienia w Głębokiem. Mówię mu, że współczuję i że ja jadę do Nowopołocka nr 1. A on wtedy: „O, panie, ty mi nie współczuj, to ja ci współczuję"

Pańskie uwolnienie stało się możliwe, bo prezydent Karol Nawrocki upomniał się o pana w czasie rozmowy z Donaldem Trumpem. Doszło do tego, że o Andrzeju Poczobucie rozmawiali w Białym Domu prezydenci Polski i Stanów Zjednoczonych. Czy to rodzaj wyróżnienia?

Cieszy, że wolny świat jakoś się o mnie upomniał, ale wiem też, że przede wszystkim to jest polska sprawa. Sprawa, która bez starań z Polski by umarła. Ale naprawdę wolałbym, by o mnie nie rozmawiano, żeby nie było tej całej historii. Wolałbym, aby cmentarze AK-owców na Białorusi nie zostały zrównane z ziemią. To jest paskudztwo.

Chodzi o cmentarz w Surkontach, gdzie 21 sierpnia 1944 r. oddział AK stoczył regularną pięciogodzinną bitwę z siłami NKWD?

Tak. Tam przez 50 lat chłopcy leżeli bez krzyży. Chcieli ich zabić jeszcze raz, tym razem w ludzkiej pamięci. Ale to się nie udało, bo nawet w czasach stalinowskich ludzie pamiętali, że na tym polu leżą polscy żołnierze, że tu spoczywa mjr „Kotwicz". I gdy nadeszła pierestrojka, powstał tam piękny cmentarz. Jedyne takie upamiętnienie na Białorusi. I napisano, że polegli w walce z NKWD. Związek Polaków opiekował się tym miejscem przez 30 lat. Byłem tam dziesiątki razy, dbaliśmy o to miejsce.

Dziś tego cmentarza już nie ma.

25 sierpnia 2022 r. Łukaszenka zrównał ten cmentarz z ziemią. Na szczęście – pytałem o to w trakcie mojej sprawy sądowej – nie przeprowadzono ekshumacji, czyli chłopcy nadal tam leżą. Wtedy jedyny raz dziękowałem Panu Bogu, że siedzę w więzieniu. To sprawiało, że było mi mniej wstyd za tę hańbę, za to, że dopuściliśmy do tego, że te groby zostały zniszczone. I mówię też jasno: to miejsce nie jest zapomniane. Zrównali je z ziemią, ale Polacy pamiętają o tym miejscu i będą pamiętać.

Odebrano panu wolność na pięć lat. Były sądy, etapy, areszty, ale najdłużej siedział pan w kolonii karnej. Co to jest? Jakiś współczesny gułag? Łagier?

Oficjalnie to się nazywa Zakład Poprawczy nr 1 w Nowopołocku. System jest taki jak w gułagu, choć warunki bytowe są inne. Na co dzień

eprasa.pl 15f21a2a10

więźniowie przebywają w budynku, który z zewnątrz przypomina dawny akademik. W niewielkim pokoju siedzą cztery osoby, są dwie dwupiętrowe prycze. Teren dookoła tego murowanego baraku jest ogrodzony, więźniowie po pracy mogą po nim chodzić. Ale ja nie siedziałem w takich warunkach.

Dlaczego?

Traktowano mnie jak więźnia, który narusza zasady regulaminu z punktu widzenia administracji więziennej. Chodziło przede wszystkim o to, że nie uznaję swojej winy. A jeżeli nie uznaję winy, to nie ma mowy o resocjalizacji. A jeżeli nie ma resocjalizacji, to jestem trzymany w celi. Obowiązywało mnie wiele ograniczeń, których nie ma na terenie obozu.

Siedział pan sam?

Najpierw siedziałem z innymi więźniami. Ich liczba się zmieniała, najwięcej było nas czterech. Ale administracja cały czas szukała, gdzie można mnie nacisnąć, gdzie mnie zaboli. Zwrócili uwagę, że potrafię znaleźć coś ciekawego w każdym człowieku, potrafię rozmawiać. Trudno się dziwić, bo w celi jedyną atrakcją jest drugi człowiek, od którego możesz się dowiedzieć czegoś ciekawego. Jak to zauważyli, to zabrali współwięźniów i przez ponad rok siedziałem sam.

Siedział pan też w karcerze?

Tam warunki są najgorsze. Śpisz na deskach, nie masz poduszki, żadnych rzeczy ze sobą oprócz szczoteczki do zębów, mydła i papieru toaletowego. Żeby zasnąć, kładziesz sobie pod głowę rolkę papieru. No i jest zimno. Mało przyjemne miejsce.

A jedzenie?

Jak mnie zamykali, ważyłem 93 kg. Miesiąc przed zwolnieniem zszedłem do 74 kg. Tam panował głód. Z tym że w tym samym łagrze znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że jedzenie jest dobre, fajne, i tacy, którzy stwierdzą, że jedzenia brakuje. Różnica bierze się stąd, że jedni dostają paczki i mają możliwość zrobienia zakupów.

Pan miał taką możliwość?

Ta możliwość była ograniczona.

Jak was karmiono?

Jedzenie było dosyć dobrze przygotowane. Kłopot w tym, że wydawano je zgodnie normami, które określiło MSW. Stoi waga i wszystko ważą.

Jak wyglądały konkretne posiłki?

Śniadanie to kasza na wodzie, bez omasty, kawałek białego chleba i szklanka herbaty. Na obiad zupa, przygotowana normalnie, powiedzmy barszcz. Do niej makaron, ale paskudniejszy, taka klucha, rozgotowany. Większy kawałek czarnego chleba i np. jakiś kotlet, który oni sami zrobili. Ten kotlet rozpada się dlatego, że jest w nim więcej chleba niż mięsa. Jeżeli kotlet był przygotowany na zewnątrz – co się zdarzało – było w nim więcej mięsa. A wieczorem ziemniaki na wodzie i mięso kurczaka, ale niedużo. Ziemniaków też niedużo. Do tego herbata, kawałek białego chleba i mały kawałek czarnego chleba. Ot, tyle.

Po wyjściu powiedział pan, że pod koniec więzienia miał pan tak zniszczone ubranie, że bał się pan je prać, bo istniało ryzyko, że po prostu się rozleci.

Prałem, ale zawsze się tego bałem, bo ubranie już bardzo źle wyglądało. Chodzi o to, że ubranie, które dają w łagrze, jest zrobione ze sztucznego materiału, jest w nim dużo plastiku. Jest nieprzyjemne dla skóry. Gdy jest zimno, to jest w nim jeszcze zimniej, a jak jest gorąco, to jest w nim jeszcze bardziej gorąco. Poprosiłem więc żonę, żeby zamówiła dla mnie ubranie z normalnego materiału i żona mi je wysłała. Służyło mi przez trzy lata. Potem wszędzie miało już łaty, ciągle je cerowałem, przy praniu starałem się mniej trzeć. Bo kiedy tarłem, robiły się dziury.

Czy myślał pan o śmierci? O tym, że może nie przeżyć tego obozu? Że mogą pana po prostu zabić, choćby nasyłając jakiego więźnia?

Myślałem o tym, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i każdy może umrzeć. Dwóch moich kolegów zmarło w więzieniach. Ale bardzo szybko się zorientowałem, że zostanę aresztowany.

Czy podczas tych pięciu lat były jakieś kryzysy, załamania?

Ja nie miałem. Ale w łagrze jest też psycholog. Jego praca ze mną polegała na tym, że zaglądał do celi przez judasza i pytał: „Jak sprawy?". Mówię: „Fajnie, wspaniale, cudownie". Kiedy usłyszał to po raz pierwszy – a siedziałem wtedy w karcerze – to pewnie pomyślał: „to chory człowiek". Później zrozumiał, że takie ogólnie mam podejście. Myślę, że byłem dobrze przygotowany do więzienia. I psychicznie, i fizycznie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15f21a2a10

Prof. Anna Pawełczyńska mówiła, że w obozach koncentracyjnych najlepiej radzili sobie ludzie, którzy wiedzieli, że siedzą za sprawę. Ci, którzy trafili tam przez przypadek, z łapanki, poddawali się najszybciej.

A Warłam Szałamow, poeta, pisarz, więzień łagrów, pisał, że więzienia i łagry najlepiej znosili ludzie wierzący. Najgorzej ludzie z aparatu komunistycznego, którzy jeszcze niedawno byli po stronie prześladujących. Jednak wiara sprawia, że człowiek nie jest sam i widzi w tym wszystkim sens. Jeżeli się myśli, że człowiek żyje po to, by dobrze jeść albo się bawić, to oczywiście nie odnajdzie się sensu w więzieniu.

Obóz w Nowopołocku cieszy się na Białorusi wyjątkowo złą sławą. Wiedział pan o tym, gdy pana tam wieźli?

W celi przejściowej siedziałem z człowiekiem, który dostał 13 lat i jechał do więzienia w Głębokiem. Mówię mu, że współczuję i że ja jadę do Nowopołocka nr 1. A on wtedy: „O, panie, ty mi nie współczuj, to ja ci współczuję". I mówi, że w całym systemie karnym to jest miejsce bardzo znane. Ale miałem szczęście, bo właśnie wtedy jeden z więźniów politycznych, który wyszedł z Nowopołocka, udzielił dużego wywiadu i opisał, co się tam działo, te straszne rzeczy. Oficjalna gazeta „Sowiecka Białoruś" zaprzeczyła, napisała, że tam jest cudownie. A później funkcjonariusze biegali po obozie i zabierali więźniom tę gazetę.

Bo to było zbyt oczywiste kłamstwo?

Tak. Później funkcjonariusz pobił więźnia, który współpracował z administracją. Pobił go i wtrącił do karceru. To pewnie by przeszło bez echa, ale on wyszedł z więzienia i poszedł do prokuratury. I funkcjonariusza skazano. Te dwie sprawy spowodowały, że zmieniono kierownika więzienia i zrobiło się znacznie lżej. Starzy więźniowie mówili, że teraz jest luz w porównaniu z tym, co było.

Czy docierały do pana jakieś informacje ze świata?

Przyjeżdżała do mnie adwokat i mogła opowiadać, dochodziły listy, oprócz tego mieliśmy informacje od nowych osób w celi, od nowych osób w obozie. Są też kontakty telefoniczne, raz na jakiś czas można zadzwonić do domu.

A jest telewizja?

W obozie tak. Zbierają więźniów i włączają programy informacyjne, a także sowieckie filmy o wojnie. Czasem to wszystko wygląda po prostu nierealnie. Przyjechałem do obozu 21 czerwca 2023 r. Dzień później jest rocznica rozpoczęcia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. O godz. 6.00 cały obóz stoi w szeregach i włączają przemówienie Mołotowa z 1941 r., że rozpoczęła się wielka wojna itd. Później jeszcze jakaś pieśń z głośników. A w rocznicę sowieckich zwycięstw włączali sowieckie doniesienie informacyjne o zdobyciu kolejnych miast. Wtedy myślałem o naszych chłopcach w łagrach. Myślałem, jak to możliwe, że oni tego słuchali, a teraz ja tego słucham.

> Śniadanie to kasza na wodzie, kawałek białego chleba i szklanka herbaty. Na obiad zupa, przygotowana normalnie, powiedzmy barszcz. Do niej makaron, ale rozgotowany. Większy kawałek czarnego chleba i np. jakiś kotlet, który się rozpada, bo jest w nim dużo więcej chleba niż mięsa

Jak was, więźniów politycznych, traktowali współwięźniowie i strażnicy? Bo jednak polityczny to nie jest ktoś, kto zabił albo ukradł, lecz człowiek, który siedzi za przekonania.

Ze strony administracji więźniowie polityczni mają znacznie większe ograniczenia niż więźniowie kryminalni. To jest dokładna kopia sytuacji z łagrów. Czyli jak ktoś jest „polityczny", to ma cały szereg ograniczeń.

W pańskim przypadku ta białoruska resocjalizacja rzeczywiście się nie udała. Jeśli pan wróci, to znowu pana wsadzą?

Zawsze deklarowałem gotowość do odsiedzenia wyroku w całości, bylebym nie musiał uznać swojej winy. I jest faktem, że mnie wypuszczono, mimo że oni doskonale wiedzą, że w niczym nie zmieniłem oceny sytuacji. W żadnej kwestii nic się nie zmieniło przez pobyt w więzieniu. W więzieniu też niczego nowego się nie dowiedziałem. Oczywiście co innego wiedzieć teoretycznie, co innego przeżyć samemu. To jest mało przyjemne. Uważam, że Łukaszenka jest w stanie zaakceptować działalność Związku Polaków. Najważniejsze jest przecież to, że Związek przez cały ten czas działał i działa.

Obiektywnie Łukaszenka nie miał podstaw do uderzenia w organizację, która unikała dużej polityki, a zajmowała się sprawami pamięci i dziedzictwa narodowego. To był cyniczny wybór kozła ofiarnego, tak jak pan już powiedział.

Dokładnie. Należy też rozumieć, że Związek Polaków działa na Białorusi i jest jedyną organizacją, która zachowała wewnętrzną niezależność i nadal istnieje. To, że tak się stało, jest zasługą drugiego szeregu działaczy Związku. Trzeba wskazać Marka Zaniewskiego, który jest tu, w Polsce. Jego działania były bardzo ważne i gdyby go zabrakło, to by się nie udało. Tak samo bardzo ważne jest to, że wraz z Andżeliką Borys odmówiliśmy wyjazdu. Gdybyśmy zgodzili się wyjechać, jak nam proponowano na początku, to dziś nic by nie istniało, nie byłoby organizacji.

Wasze więzienie było tarczą, która umożliwiła ocalenie Związku Polaków.

Dokładnie. Trzeba zrozumieć, że ci ludzie byli zastraszani, wzywani na przesłuchania. Niektórzy zachowali się po prostu bohatersko. Widziałem to, gdy czytałem 86 tomów akt sprawy karnej, gdy sformułowano już wszystkie zarzuty. M.in. wiceprezes ZPB Irena Waluś,

eprasa.pl 15f21a2a10

która w kwietniu 2021 r. w czasie aresztowań i rewizji zeznała: „Kierownictwo organizacji zostało aresztowane. Ja jestem wiceprezesem tej organizacji, ja teraz kieruję Związkiem Polaków". Rozumiecie? Jak będzie można to zostawić? I Renata Dziemiańczuk, wtedy wiceprezes, dokładnie taka sama bohaterska postawa. Również Andżelika Orechwo. Mógłbym wymieniać wiele nazwisk.

W 2020 r. wydawało się, że reżim się chwieje. Czy ta rewolucja, te protesty mogły się skończyć inaczej?

Jeżeli spojrzymy na sytuację geopolityczną, to nie. O wszystkim przesądziła Rosja. Gdy na granicy z Białorusią pojawiła się tzw. rezerwa putinowska, czyli jednostki MSW, które były gotowe wkroczyć na teren Białorusi, nomenklatura dostała jasny sygnał. To sprawiło, że elita się skonsolidowała, nie pękła.

Czy będzie panu trudno wrócić do normalnego życia, do codzienności? Wiele osób po takim zamknięciu, po doświadczeniu przemocy, ma problemy z odbudową życia.

Nie boję się, tam też się nie bałem. To znaczy bałem się, ale potrafiłem to opanować. Dowiedziałem się, czym jest strach przed chłodem, przed zimnem, kiedy się boisz zimna, kiedy siedzisz w swojej celi, w której jest zimno i istnieje groźba, że przeprowadzą mnie do celi, gdzie jest jeszcze bardziej zimno. Oczywiście nie okazywałem tego strachu, ale był we mnie.

To zimno boli?

Oczywiście. To nie jest tak, że jesteś tam 15 minut i koniec. Jesteś dobę, dwie doby, 10 dni. Na początku robiłem pompki i inne ćwiczenia. I myślałem, że to nie problem. Tylko że jak zrobiłem te pompki, rozgrzałem się, to później znowu robiło się zimno. A nie miałem już siły. W pewnym momencie siedzę i nie mogę robić żadnych ćwiczeń, bo jestem tak wymęczony, a jest potwornie zimno. To był bardzo trudny moment. Nauczyłem się w końcu dzielić siły tak, żeby wystarczyło mi na całą dobę. Ale na początku tego nie umiałem. Jak była lżejsza kara, to miałem w nocy koc, poduszkę, materac. I wtedy przynajmniej w nocy odpoczywasz. W nocy pod kocem nie jest ci zimno. Ale jeżeli jesteś w karcerze, to jest ci zimno także w nocy.

Nie można nawet spać?

Rozwiązałem to tak: szybko robiłem pompki i dopóki byłem rozgrzany, kładłem się na deski i próbowałem zasnąć, dopóki nie zrobiło mi się zimno. Jak się udało, to pospałem godzinę. Później się budziłem, cały się trząsłem i znowu robiłem pompki. Dziś mam przez to zaburzenia snu, jeszcze nie doszedłem do siebie w tej kwestii. Skutki więzienia na pewno będą trwały długo, to będzie długa droga. Ale ogólnie uważam, że dobrze funkcjonuję.

> Chcę spróbować wjechać na Białoruś. Bardzo wzruszające jest to, że tak wielu ludzi namawia mnie, żebym nie jechał. Ale jak mogę nie pojechać? Nie można porzucić tych ludzi. Jestem Polak znad Niemna

Jak płynął panu czas? Jak go pan dzielił? Co pan robił z myślami?

Nie odliczałem dni, tylko miesiące. Układałem sobie idealny dzień. Wstajesz rano, włączają hymn Białorusi, areszt się budzi. Później wynosisz materac, wracasz, myjesz się, później „ćwiczenia resortowe". Polega to na tym, że włączają muzykę i cały areszt ma się gimnastykować. Jeżeli tego nie robisz, dostajesz 10 dni karceru. Ale mnie te ćwiczenia się podobały, co było wyjątkiem wśród więźniów.

Co jest dalej?

Później jest śniadanie i po śniadaniu do godz. 8.00 jest czas, który musisz zagospodarować. Starałem się planować, co będę wtedy robił. Potem jest apel, przychodzi naczelnik więzienia, który obchodzi po kolei cele i sprawdza stan osobowy, czy wszyscy są na miejscu, czy są jakieś pytania. To były najgorsze momenty, kiedy było najbardziej zimno. Cały areszt stoi twarzą do ściany, kamery to pokazują, oni to obserwują. I idzie naczelnik, słyszę, jak się zbliżają. Jest, jak mówię, potwornie zimno, a okno otwarte. Wtedy zakrywałem to okno ręcznikiem i oni – w zależności od tego, jaki akurat był klimat polityczny – albo kazali ten ręcznik zdjąć, albo nie. Na apel zawsze jednak musiałem go zdejmować. Jeżeli wiatr był wschodni – znowu symbolicznie – to w celi momentalnie robiło się tak jak na ulicy. Stoję trzęsący się w lekkim ubraniu. Myślę tylko, żeby zebrać wszystkie siły, żeby się nie trząść i patrzeć spokojnie, kiedy oni wejdą. I wchodzą, odwracasz się i składasz raport, że taki a taki więzień itd. I zawsze patrzyłem im prosto w oczy.

Znak wewnętrznej wolności?

Wybrałem taką taktykę, że patrzę im prosto w oczy. Demonstrowałem, że nie pękam. A oni ubrani, najedzeni.

Człowiek jest bezbronny wobec przemocy instytucjonalnej. Mogą z nim zrobić wszystko. Absolutnie. Jest kruszynką w zderzeniu ze stalą.

Nagle się okazuje, że nie masz żadnych praw. Kiedy zrozumiałem, że nie mam żadnych praw, to napisałem skargę z obozu. A potem się okazało, że ta skarga w ogóle z obozu nie wyszła. Kiedy to wszystko zrozumiałem, po prostu zamknąłem się w sobie, uznałem, że zachowuję się tak i tak. I nie reaguję na ich zaczepki. Po prostu nie reaguję. Będę to zbywał. I tkwiłem w takim wewnętrznym oporze.

Jakie pan ma plany? Co dalej?

To zależy od wyników badań lekarskich, które przechodzę. Czy lekarze powiedzą, że wszystko jest w porządku, czy trzeba przejść jakąś kurację, spędzić jeszcze trochę czasu w szpitalu. Od tego zależy wszystko. Chcę spróbować wjechać na Białoruś. Takie jest moje podejście. Bardzo wzruszające jest to, że tak wielu ludzi namawia mnie, żebym nie jechał. Nawet tu, w szpitalu, na ulicy po uroczystości. Ale jak mogę nie pojechać? Nie można porzucić tych ludzi. Jestem stamtąd. Jestem Polak znad Niemna.

eprasa.pl 15f21a2a10

Ucieczka Tuska przed polskością

Premierem jakiego kraju jest Donald Tusk? To pytanie staje się coraz boleśniej zasadne. W decyzjach szefa rządu próżno upatrywać odpowiedzialności za stabilność i bezpieczeństwo państwa czy doszukiwać się właściwego rozumienia polskiego interesu narodowego. Nie ma w nich też śladu identyfikacji z tym, co dla Polaków najświętsze, nie widać chęci budowania patriotycznej wspólnoty. Przeciwnie. Panicznie przed nią ucieka. W święto Konstytucji 3 maja po raz kolejny pokazał, że jest człowiekiem spoza nas. Co więcej, okazuje się, że zobowiązuje do takiej postawy swoich koalicjantów

Fot. Leszek Szymański/PAP

MARZENA NYKIEL

Duma, radość, poczucie wspólnoty, pamięć o bohaterach i odpowiedzialność za przyszłość ojczyzny. Wszystko to wybrzmiewa szczególnie uroczyście podczas narodowych rocznic. Kilka razy w roku przybywają na nie Polacy z całego kraju i z zagranicy. Niektórzy od miesięcy planują urlopy w taki sposób, by móc stać się częścią biało-czerwonej wspólnoty. Zupełnie odwrotnie niż premier Tusk.

On niemal za każdym razem planuje swoje obowiązki tak, by móc uciec z Warszawy. Nie inaczej było w 235. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Z samego rana czmychnął do Armenii, choć szczyt rozpoczynał

eprasa.pl 15f21a2a10

się dopiero nazajutrz. Swój wcześniejszy wyjazd tłumaczył udziałem w wieczornej kolacji, ale te wyjaśnienia nie wytrzymują konfrontacji z faktami. Swiatłana Cichanouska, liderka białoruskiej opozycji, zdołała dotrzeć przed wieczorem do Erywania i uczestniczyć w państwowych uroczystościach w Warszawie. Była na Zamku Królewskim podczas uhonorowania Andrzeja Poczobuta Orderem Orła Białego, wzięła udział w uroczystościach na Pl. Zamkowym, a następnie w spotkaniu z parą prezydencką w pałacu. Donald Tusk najzwyczajniej uciekł.

Afront jest tym większy, że ani on, ani marszałkowie Sejmu i Senatu nie przybyli na uroczyste odznaczenie Andrzeja Poczobuta, który kilka dni wcześniej po wieloletnich staraniach opuścił kolonię karną na Białorusi. Wstyd i arogancja. Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę kulisy całej sprawy. Wygląda na to, że zbojkotowanie uroczystości było zaplanowane z premedytacją. Ujawniła to Anna Maria Żukowska z Lewicy, próbująca tłumaczyć Włodzimierza Czarzastego, który 3 maja wystąpił jedynie w programie TVP w likwidacji. „Nikt z koalicji nie uczestniczył w tych obchodach. Taka była decyzja i ustalenia koalicyjne. Nie wiem dokładnie, na czym się opierało, ale takie było postanowienie. Nie było też wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza" – oświadczyła posłanka Lewicy. Czyżby w ten sposób realizowano decyzję Donalda Tuska?

Na uroczystości oddelegowano rezerwowy garnitur: wicepremiera Gawkowskiego, ministra Siemoniaka i dwóch wicemarszałków – Zgorzelskiego i Żywnę. Dwaj pierwsi nie potrafili ukryć irytacji podczas wystąpienia prezydenta.

ŚWIĄTECZNE SZCZUCIE

Premier nie poprzestał jednak na nieobecności. Już podczas porannego briefingu zaatakował prezydenta, wywołując falę żałosnego hejtu, toczoną cały dzień przez polityków koalicji. Padły też deklaracje. Podczas gdy Karol Nawrocki apelował o odpowiedzialne kierowanie losem Polski w krytycznym dla kraju momencie, przywołując preambułę historycznej ustawy zasadniczej: „Wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów...", premier Tusk zrobił wszystko, by sądzić, że działa dokładnie wbrew tym słowom. Zbojkotował uroczystości, odciął się od narodowej wspólnoty, a w „prezencie" dał Polakom skrajnie nieopłacalny niemiecki kredyt SAFE, który na dekady zablokuje polską suwerenność i możliwości rozwojowe. Nagrał też okolicznościowe przesłanie, pełne irytujących manipulacji. „Dzisiaj wszyscy w Polsce musimy pamiętać o tym, jak ważna jest jedność, jak ważne są rządy prawa, jak ważne jest poszanowanie konstytucji. Niektórzy uważają, że wystarczy obchodzić święto konstytucji, a na co dzień tę konstytucję obchodzą. Niektórych konstytucja w ogóle nie obchodzi. A przesłanie dzisiejszego święta jest bardzo proste: tylko narody, które szanują własne obyczaje, własne prawa, własne konstytucje, mają szansę na zwycięstwo. Ja w nasze zwycięstwo głęboko wierzę" – pouczał.

Trudno słuchać tego ze spokojem. Akurat koalicji 13 grudnia konstytucja zupełnie nie przeszkadza w rządzeniu, gdy siłowo przejmują instytucje i zmieniają ustawy uchwałami. Najgorsze, że nie ma tu żadnej przestrzeni do realnej dyskusji. PR, kłamstwo i manipulacja są głównymi narzędziami tego rządu. Nie biorą pod uwagę żadnych uwag, apeli czy sprzeciwu, unikają konfrontacji, także bezpośredniego spotkania z ludźmi, którzy przy każdej okazji dają wyraz niezadowolenia. Pewnie stąd kolejna nieobecność na uroczystościach.

NIEKOŃCZĄCA SIĘ UCIECZKA

Nie była to pierwsza ucieczka Donalda Tuska przed narodowym świętowaniem. Jego nieobecność stała się już regułą. Zignorował Święto Niepodległości w 2025 r., pierwsze pod przewodnictwem prezydenta Karola Nawrockiego. Nie było go także rok wcześniej – 11 listopada 2024 r. – jeszcze za prezydentury Andrzeja Dudy. Tłumaczył się wówczas „planowym zabiegiem medycznym", co dla polityka tej rangi jest wymówką wręcz dyskwalifikującą. Bo jakie trzeba mieć priorytety, by pełniąc funkcję premiera, zaplanować tego rodzaju czynności na Święto Niepodległości?

Również 1 sierpnia 2025 r., gdy cała Polska składała hołd bohaterom powstania warszawskiego, premier polskiego rządu nie pojawił się na żadnych uroczystościach, nie złożył kwiatów, nie upamiętnił wielkiego zrywu niepodległościowego. Donalda Tuska nie było ani na mszy św. na Pl. Krasińskich, ani na Powązkach, przed pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego, ani w żadnym innym miejscu pamięci. Nie stanął obok ostatnich bohaterów tamtych dni, którzy mimo sędziwego wieku wciąż niosą pamięć o powstaniu oraz świadectwo niemieckiej okupacji i niemieckich zbrodni. Ale czego się spodziewać po człowieku, którego jedną z pierwszych inicjatyw po przejęciu władzy było zrzeczenie się reparacji wojennych od Niemiec?

Tusk był nieobecny także 2 i 3 maja 2025 r., również z powodów zdrowotnych. Należałoby w zasadzie postawić pytanie, czy kondycja Donalda Tuska pozwala mu odpowiedzialnie odgrywać rolę premiera. Zabrakło go także na święcie Konstytucji 3 maja rok wcześniej. Nie pojechał też na obchody 80. rocznicy bitwy pod Monte Cassino, a ówczesne wystąpienia reprezentujących Polskę osób zakończyły się skandalem.

„POLSKOŚĆ TO NIENORMALNOŚĆ"

Ta ciągła nieobecność podczas niezwykle ważnych dla Polaków uroczystości patriotycznych układa się w pewną stałą sekwencję. Co za tym stoi? Bezradna niezręczność w zderzeniu z narodową dumą, niewyleczone kompleksy czy ostentacyjne lekceważenie? I jak tu nie przypomnieć udręczonego brzemienia, z jakim kojarzył się Tuskowi patriotyzm, gdy w 1987 r. pisał felieton dla „Znaku":

„Polskość jako zadany temat... Wydawałoby się: tylko usiąść i pisać. A tu pustka, tylko gdzieś w oddali przetaczają się husarie i ułani, powstańcy i marszałkowie, majaczą Dzikie Pola i Jasna Góra, dziejowe misje, polskie miesiące, zwycięstwa klęski. Zwycięstwa?

Jak wyzwolić się z tych stereotypów, które towarzyszą nam niemal od urodzenia, wzmacniane literaturą, historią, powszechnymi resentymentami? Co pozostanie z polskości, gdy odejmiemy

eprasa.pl 15f21a2a10

od niej cały ten wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń? Polskość to nienormalność – takie skojarzenie narzuca mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu. Polskość wywołuje u mnie niezmiennie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnej ochoty dźwigać, a zrzucić nie potrafię...".

Spowity kajdanami polskości, zbuntowany wobec historii własnego narodu, pogrążony w kompleksie własnej „nienormalności" Donald Tusk cierpi już od dekad. W chwili, gdy kreślił tę niezwykle ważną z dzisiejszej perspektywy refleksję, był wykształconym 30-latkiem. Ba, był nawet absolwentem historii, mającym w swoim dorobku pracę magisterską dotyczącą kształtowania się legendy Józefa Piłsudskiego w przedwojennych czasopismach. Tak podaje w biogramach. Jak było w rzeczywistości, do końca nie wiadomo, bo Uniwersytet Gdański blokuje dostęp do wybitnego dzieła swojego absolwenta.

ROZBRAT Z „TEATREM ROJEŃ"

Dziś, gdy Donald Tusk ma już demiurgiczny wpływ na rzeczywistość, podejmuje decyzje tak szkodliwe, że można w nich upatrywać niezdrowego odwetu. W tekście dla „Znaku" można dostrzec chęć wyrwania się z kajdan polskiego kodu kulturowego, który odbiera mu wolność i normalność.

„Tam, gdzie inni mówią człowiek, ja mówię Polak; gdzie inni mówią kultura, cywilizacja i pieniądz, ja krzyczę Bóg, Honor i Ojczyzna (wszystko koniecznie dużą literą); kiedy inni budują, kochają się i umierają, my walczymy, powstajemy i giniemy. I tylko w krótkich chwilach przerwy rozważamy nasz narodowy etos odrobinę krytyczniej, czytamy Brzozowskiego i Gombrowicza, stajemy się normalniejsi".

Czy w obliczu tego wyznania można wyobrazić sobie lepszego patrona całkowitej destrukcji polskiego systemu edukacji? Donald Tusk chce oszczędzić narodowego balastu kolejnym pokoleniom. Chce zdjąć im z barków sienkiewiczowskie brednie o wielkości i dążeniach polskiej duszy, o chwale polskiego oręża. Nie chce mamić Słowackim, Norwidem czy Mickiewiczem, Legionami i Piłsudskim. Nie chce, by musiały się dręczyć rozbiorami i powstańczymi zrywami. Chce, by patrzyły w radosną przyszłość i cieszyły się codziennością. Pewnie dlatego oddał Barbarze Nowackiej pełnię władzy w zakresie niszczenia polskiej szkoły. Któż rozprawi się z nią lepiej niż lewicowa aktywistka?

> Tusk wypisał się z polskości. Podejmowane przez niego decyzje godzą w nasz interes narodowy. Państwo jest zdestabilizowane, służba zdrowia w zapaści, praworządność w strzępach, a szokujące tempo przyrostu deficytu i długu publicznego sprawia, że pozostajemy najszybciej zadłużającym się krajem UE

Wymazywanie zbiorowej pamięci płynnie przeszło w etap zaawansowany. Wspominany przez Tuska „wzniosło-ponuro-śmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń", przekazywany z pokolenia na pokolenie przez system edukacji ma zostać raz na zawsze spalony jak pudło niechcianych zdjęć. Mamy więc usuwanie lekcji religii, likwidację wychowania do życia w rodzinie, marginalizowanie historii, polskiej literatury, namnażanie wiedzy bezużytecznej kosztem formacji krytycznego myślenia, podporządkowywanie programów nauczania wymogom unijnym. Wszystko to sprawi, że skrojona na brukselską modłę szkoła już za chwilę będzie bardziej ogłupiać, niż kształcić.

SIŁA FRUSTRACJI

Trudno oprzeć się wrażeniu, że „poczucie buntu" Donalda Tuska wobec polskości nie tylko nie minęło, lecz przez lata obrosło w patologiczną frustrację. Podejmowane przez niego decyzje godzą w polski interes. I nie chodzi tu wcale o bojkotowanie uroczystości. Nikt przesadnie nie tęskni za tą nerwową obecnością. Idzie o to, że jest ona wyrazem postawy, która staje się dla kraju bardzo niebezpieczna. Donald Tusk wypisał się z polskości. Podejmowane przez niego decyzje godzą w nasz interes narodowy. Państwo jest zdestabilizowane, służba zdrowia w zapaści, praworządność w strzępach, a szokujące tempo przyrostu deficytu i długu publicznego sprawia, że jesteśmy najszybciej zadłużającym się krajem UE.

Mimo to Donald Tusk wbrew prezydenckiemu wetu i opiniom ekspertów pakuje państwo w kolejny gigantyczny kredyt, pożyczając 44 mld euro na zbrojenia. To nie jest tylko zwykła małość i chęć postawienia na swoim. To niebezpieczne realizowanie zewnętrznych zadań, które usidlą Polskę na dekady, odbierając możliwości rozwojowe i godząc w fundamentalne bezpieczeństwo. Przyjmując te warunki, rząd nie tylko prowadzi kraj do bankructwa, lecz także jawnie łamie konstytucję. Wszystko po to, by Berlin i Bruksela zrealizowały chytry plan naprawy słabych finansów Unii i wzmocnienia niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Polska zostanie wepchnięta w mechanizm warunkowości, który pomoże dopiąć inny plan – federalizacji UE pod wodzą Niemiec.

Uderzająca jest przy tym bierność rządu Tuska w obliczu kolejnych zabójczych dla Polski rozwiązań, jak choćby umowa z Mercosur, niszcząca rodzime rolnictwo, czy Zielony Ład topiący gospodarkę. Wszystko to potwierdza, że jesteśmy u kresu tej mrocznej rozgrywki. Najwyższa pora to przerwać, póki nie zapadły jeszcze ostateczne decyzje. Mamy wystarczająco wiele historycznych analogii, by przewidzieć skutki.

eprasa.pl 15f21a2a10

Von der Leyen do zmiany, Unia do poprawki

Zbliża się połowa kadencji Parlamentu Europejskiego. To jest moment, kiedy następują roszady na różnych stanowiskach. Może również dojść do zmiany Komisji Europejskiej. W kuluarach mówi się, „żeby wreszcie von der Leyen odeszła". Jak będzie – zobaczymy. Ona pilnuje swojego i niemieckiego interesu, co daje jej duże wsparcie w podejmowanych działaniach

Z Beatą Szydło, posłanką do Parlamentu Europejskiego od 2019 r., premierem w latach 2015–2017, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Jerzy Szmit

Dużo czasu spędza pani w Brukseli czy w Strasburgu. Czy chciałaby pani w przyszłości zamieszkać tam na stałe?

Beata Szydło: W Brukseli i Starasburgu jestem wyłącznie w pracy. Na pewno nigdy nie zdecydowałabym się na wyjazd z Polski. Kocham nasz kraj, to jest moja ojczyzna, tu jest mój dom. Ponadto pod względem szeroko rozumianego komfortu życia, jakości usług i bezpieczeństwa Polska pozytywnie wyróżnia się na tle innych państw.

Czy Ursula von der Leyen jest już kanclerzem Unii Europejskiej, skoro może samodzielnie decydować w tak ważnych sprawach jak umowa z Mercosur i pomijać Parlament Europejski?

Ona podporządkowała sobie wszystkich pozostałych komisarzy i nie myśli w kategoriach budowania siły Unii Europejskiej przy zagwarantowaniu bezpieczeństwa interesów poszczególnych państw członkowskich. Umowa z Mercosur jest najbardziej jaskrawym przykładem, że von der Leyen ignoruje traktaty, europarlament i komisarzy. Wykracza poza wszelkie normy i granice prawa europejskiego, decydując jednoosobowo. Na razie ma na to przyzwolenie. Chociaż słychać, że nawet w jej grupie politycznej – EPP – wyczerpuje się cierpliwość do takiego postępowania. Dwukrotnie składano wnioski o jej odwołanie.

Czy tak już zostanie?

Zbliża się połowa kadencji Parlamentu Europejskiego. To jest moment, kiedy następują roszady na różnych stanowiskach.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15f21a2a10

Może również dojść do zmiany Komisji Europejskiej. W kuluarach mówi się, „żeby wreszcie von der Leyen odeszła". Jak będzie – zobaczymy. Ona pilnuje swojego i niemieckiego interesu, co daje jej duże wsparcie w podejmowanych działaniach.

Czy prymat Niemiec jest tak bardzo widoczny?

Dzisiaj realizowany jest niemiecki projekt podporządkowania sobie Europy i Niemcy od dłuższego czasu dyktują warunki w Unii. Kiedy jako premier uczestniczyłam w posiedzeniach Rady Europejskiej, głos Niemiec zawsze był wiodący. Wtedy był to głos Angeli Merkel, który po prostu przekazywano Radzie do zaakceptowania. Wówczas Donald Tusk był szefem Rady Europejskiej i Merkel zawsze mogła na niego liczyć. Przecież to Niemcy dyktowały absurdy Zielonego Ładu, polityki migracyjnej, energetycznej. Miało to służyć ich interesom, a zamieniło się w europejskie kryzysy. Pracuję w Parlamencie Europejskim nad rozporządzeniami dotyczącymi funduszu dekarbonizacji i transformacji energetycznej. Jest regułą, że poprawki forsowane przez grupę polityczną EPP, w której pozostają politycy PO i PSL, zawsze koniec końców są w interesie przemysłu niemieckiego.

Dużo mówi się o odrodzeniu konserwatywnej prawicy. Czy pani też to widzi w praktyce politycznej instytucji europejskich?

Na pewno głos środowisk konserwatywnych w Parlamencie Europejskim jest w tej chwili bardziej słyszalny niż w poprzedniej kadencji. Natomiast w Unii Europejskiej ciągle bezwzględnie rządzi sojusz lewicowo-liberalny, co pokazuje przykład Włoch, należących do czwórki najsilniejszych krajów UE. Gdy po wygranych wyborach premier Giorgia Meloni chciała prowadzić bardziej konserwatywną politykę, po prostu ją zaszantażowano, że nie dostanie środków pomocowych. A Włochy są bardzo zadłużone. Znamy to z Polski, gdy rząd Prawa i Sprawiedliwości był szantażowany i wstrzymywano nam środki finansowe. To samo było w przypadku rządu Viktora Orbána. Kluczowe będą przyszłoroczne wybory we Francji i w Polsce. Jeżeli uda się wygrać ugrupowaniom konserwatywnym w tych i innych krajach, to w Unii może się sporo zmienić. Dlatego musimy stale walczyć o nasze wartości i zdrowy rozsądek.

W kwietniu Parlament Europejski uchylił immunitety czterem polskim posłom. Czy odbyła się przy tym uczciwa debata?

Na sali plenarnej nie było dyskusji, bo taki jest regulamin. Sprawy były rozpatrywane w komisji, która wydawała opinię. Nie jestem członkiem tej komisji, ale słyszałam, że nie było tam żadnej możliwości przedstawienia rzeczowych argumentów. To jest wyłącznie polityczny akt niechęci do naszej formacji. Z jednej strony uchylane są immunitety naszym kolegom pod śmiesznymi zarzutami, z drugiej – utrzymywane są immunitety europosłów z grup lewicowych, wobec których istnieją dowody na naruszenia prawa, a nawet udział w procederach korupcyjnych, rażąco sprzecznych z wartościami Unii.

W okresie rządów Prawa i Sprawiedliwości Polskę atakowano za brak tzw. praworządności. Po dojściu do władzy przez Platformę Obywatelską w Polsce prawo jest ostentacyjnie i systemowo łamane, prześladuje się opozycję i nie ma na to reakcji.

Fot. Fred Marvaux/EP

Gabinet Prawa i Sprawiedliwości szkalowano wyłącznie dlatego, że był rządem konserwatywnym i wskazywał na błędy popełnione przez Unię. Od początku zaczęły się wobec nas różnego rodzaju szykany. Np. przeprowadzaliśmy reformy w wymiarze sprawiedliwości. W dużym stopniu bazowały na rozwiązaniach działających w innych państwach Unii, w których są akceptowane. Natomiast gdy zaczęliśmy wprowadzać takie rozwiązania w Polsce, natychmiast zaczęły się ataki. Przypomnijmy, że ostatnie wybory w naszym kraju wygrało Prawo i Sprawiedliwość, ale naciski ze strony brukselskich elit były ogromne. Stworzono egzotyczną koalicję, całkowicie uległą wobec Brukseli i jej interesów. Do Warszawy został odesłany Donald Tusk, aby odsunąć PiS od władzy. Podobne scenariusze presji, nacisków, bezpośredniego wpływania i szantażu zrealizowano w Rumunii i ostatnio na Węgrzech. Cel zawsze jest ten sam: doprowadzić do władzy w krajach członkowskich marionetki, które będą realizować polecenia płynące z Brukseli.

Czy w Unii Europejskiej normą stanie się ostentacyjne wpływanie na wybory?

Pracuję w Komisji Specjalnej ds. Europejskiej Tarczy Demokracji. Komisja Europejska wymyśliła Tarczę Demokracji pod pozorem obrony Unii przed obcą ingerencją w procesy demokratyczne państw członkowskich. Oficjalnie chodzi o wpływy rosyjskie, ale naprawdę celem jest, aby to Komisja Europejska miała narzędzie wpływania na to, co dzieje się w państwach członkowskich. Ostatecznym celem jest stworzenie centrum, które miałoby koordynować kwestie wyborcze w poszczególnych państwach europejskich. Oni oczywiście chcą „doradzać i pomagać", żeby unikać obcych wpływów. Ale tak naprawdę wiadomo, że chodzi o przejmowanie kontroli nad wyborami w poszczególnych krajach. Tym bardziej że Komisją Europejską zarządza pani von der Leyen i stojące za nią grupy interesów. Dlatego tak potrzebna jest mobilizacja, nie tylko jeżeli chodzi o wybory, lecz także o polityków, dziennikarzy oraz wszystkie naturalne i autentyczne organizacje społeczne, aby mówić o zagrożeniach, jakie mogą dotyczyć naszej wolności i demokracji w Europie.

eprasa.pl 15f21a2a10

Czy można to zatrzymać: absurdy wynikające z ideologii klimatycznej, energetycznej, Zielonego Ładu, migracyjnej?

Można to zatrzymać, a nawet cofnąć, bo wszyscy ponosimy koszty właśnie tych projektów. Doprowadziły one do braku konkurencyjności przemysłu europejskiego ze wszystkimi tego konsekwencjami. Mówił o tym Przemysław Czarnek. Trzeba zrewidować ETS i odejść od ETS2, które obciążają zarówno gospodarkę europejską, jak i bezpośrednio ludzi. Wszystko można odwrócić, tylko musi być do tego wola. Były zapowiedzi, że pod wpływem gniewu Europejczyków Komisja jest gotowa do pewnych rewizji. Pamiętam, że zorganizowano szczyt Rady Europejskiej, po którym zapowiedziano rewizję absurdalnych polityk. Tusk ogłosił to jako swój osobisty sukces. To było jego kolejne kłamstwo. W lipcu Komisja Europejska ma przedstawić propozycję rewizji i z tego, co już wiemy, nie będzie żadnej rewizji, tylko więcej pustych, pięknych słów i tuszowania trudnej rzeczywistości. Eurokraci zdają sobie sprawę, że na co dzień obywatele albo się tym wszystkim nie interesują, albo tego nie rozumieją. A w przestrzeń płyną piękne słowa o zrozumieniu, nadziei, Europie i o tym, że zrobimy wszystko, aby było dobrze.

Gdzie zapadają kluczowe decyzje?

Na posiedzeniach Rady Europejskiej. Tam przyjeżdżają premierzy i przedstawiciele wszystkich państw członkowskich. Wtedy trzeba bardzo jasno i głośno sprzeciwiać się złym politykom i żądać po prostu zmiany tych rozwiązań. Te kryzysy, związane z wielokrotnie wspominanym Zielonym Ładem czy transformacją energetyczną, wynikają z decyzji podjętych na poziomie unijnym. Dlatego tak ważne jest, aby Parlament Europejski i przede wszystkim rządy poszczególnych państw uznały, że to błędna droga i potrafiły się temu przeciwstawić.

Ukraina dzięki swojej determinacji i pomocy zagranicznej broni się skutecznie, ale nie potrafi wyprzeć Rosji ze swego terytorium. Czy w strukturach Unii Europejskiej układa się plany zakończenia tej wojny, czy jedynym pomysłem jest finansowanie państwa ukraińskiego?

Dyskusja o wojnie na Ukrainie przycichła i stała się już mniej emocjonalna. W tej chwili mam wrażenie, że przy okazji tej tragedii niektórzy próbują myśleć wyłącznie w kategoriach własnego interesu. Np. program SAFE. Został stworzony, żeby ratować niemiecki przemysł obronny. Wiele państw członkowskich nie zdecydowało się w nim uczestniczyć, również Niemcy. Te kraje, które podpiszą umowę, będą *de facto* finansowały niemiecką gospodarkę,

Czy przewiduje się dla Ukrainy nadzwyczajną, uproszczoną drogę do członkostwa, bez oglądania się na interes takich państw jak np. Polska?

Takie głosy się pojawiają, ale ja sobie tego nie wyobrażam. Oczywiście twardo wspieramy Ukrainę i rozumiemy, że jej zwycięstwo leży także w naszym interesie. Gdyby Ukraina przegrała, zagrożenie ze strony Rosji ogromnie by wzrosło. Natomiast wszystko musi być na odpowiednich zasadach i w równowadze. Tym bardziej że ostatnie wypowiedzi wielu polityków ukraińskich w stosunku do Polski czy Unii Europejskiej wskazują, że tam nie ma refleksji. Tłumaczymy Kijowowi, że współpraca musi bazować na dobrych relacjach z dwóch stron. Nie może być tylko czerpaniem z naszych zasobów. Nie wyobrażam sobie, że Ukraina wejdzie do Unii Europejskiej bez spełnienia warunków, które obowiązują pozostałe kraje europejskie oraz bez ochrony interesu Polski. Powinniśmy uczestniczyć w tych negocjacjach. Powinniśmy też wspierać Ukrainę, aby weszła do Unii w rozsądnej perspektywie. Ale trzeba jasno powiedzieć: priorytetem dla nas powinny być interesy Polski.

W Polsce rosną nastroje niechętne Unii Europejskiej. Według badań już 25 proc. Polaków jest za opuszczeniem UE, wyższy poziom niechęci jest tylko we Francji (27 proc.). Donald Tusk straszy nas polexitem, ale może warto o tym dyskutować?

To, że rośnie niechęć do Unii Europejskiej, jest efektem jej działań. Kryzysy – przede wszystkim migracyjny i energetyczny – spowodowały, że ludzie zrozumieli, że decyzje, które zapadają w Brukseli, dotykają bezpośrednio każdego mieszkańca Europy, również Polaka. Stąd poczucie, że chyba nie o takiej Unii Europejskiej marzyliśmy. Jednocześnie członkostwo Polski w UE niewątpliwie jest poza dyskusją. Chodzi o kwestie bezpieczeństwa, gospodarki i o to, że możemy normalnie funkcjonować w Europie. Powtarzam: sedno problemu leży w kryzysach powstających na poziomie unijnych instytucji, a nie w poszczególnych państwach członkowskich. Biurokracja europejska zaczęła odchodzić od tego, co było fundamentem wspólnoty. Zaczęła wchodzić w kompetencje suwerennych państw członkowskich i to się skończyło wściekłością ludzi w wielu krajach. Ludzie tracą swoje miejsca pracy i źródła dochodu, a koszty życia stale rosną. Obywatele czują się coraz mniej bezpiecznie.

To, że rośnie niechęć do Unii Europejskiej, jest efektem jej działań. Kryzysy – przede wszystkim migracyjny i energetyczny – spowodowały, że ludzie zrozumieli, iż decyzje, które zapadają w Brukseli, dotykają bezpośrednio każdego mieszkańca Europy, również Polaka

Co powinniśmy robić?

Musimy walczyć, aby Unia Europejska wróciła na właściwe tory. To jest najważniejsze. Dyskusja, co dalej z Unią, toczy się cały czas. Natomiast przykład Wielkiej Brytanii pokazuje, że wyjście ze wspólnoty stanowi ryzyko. Trzeba głębokiej refleksji, bo jeżeli instytucje europejskie będą działać tak jak obecnie, niechęć do Unii będzie coraz większa.

eprasa.pl 15f21a2a10

Konstytucja 2030

Nowa ustawa zasadnicza musi definitywnie zamknąć okres PRL oraz zagwarantować prawa wolnej Polski i wolnych Polaków

STANISŁAW JANECKI

W Święto Narodowe Trzeciego Maja podczas uroczystości na Zamku Królewskim prezydent Karol Nawrocki powołał członków Rady Nowej Konstytucji przy Prezydencie RP. Akty powołania odebrali: prof. Anna Łabno, sędzia, była minister sprawiedliwości Barbara Piwnik, była prezes TK Julia Przyłębska, byli marszałkowie Sejmu Marek Jurek i Józef Zych, konstytucjonalista prof. Ryszard Piotrowski i filozof prof. Ryszard Legutko. W skład Rady powołani zostali również: Piotr Andrzejewski, prof. Zdzisław Krasnodębski i prof. Jacek Majchrowski, których na zamku zabrakło.

„Zaczynamy pracę nad konstytucją nowej generacji roku 2030. Bardzo dziękuję profesjonalistom, dziękuję ludziom odważnym. [...] Dzięki wam, dzięki temu, że jesteście różni, pałac prezydencki stanie się miejscem debaty – debaty w odpowiedzialności politycznej i społecznej, debaty w odpowiedzialności za ciągłość państwa. [...] Wierzę, że wszyscy, którzy mają w sercu troskę o przyszłość Rzeczypospolitej, naszych kolejnych pokoleń, wszyscy przedstawiciele polskiego Sejmu usiądą w pałacu prezydenckim razem z naszym korpusem do pracy nad nową konstytucją" – powiedział 3 maja prezydent Nawrocki na Pl. Zamkowym. Zapowiedział też, że kolejnym etapem

eprasa.pl 15f21a2a10

prac nad nową konstytucją będzie wybór ekspertów i konstytucjonalistów, choć w powołanym gronie są już tacy. Dodał, że wysłał też zaproszenia do ugrupowań sejmowych, co spotkało się z ostrą, negatywną reakcją polityków Koalicji Obywatelskiej i Lewicy, a Polskie Stronnictwo Ludowe wolałoby nowelizację konstytucji z 1997 r.

O co chodzi? Bo przecież nie jest prawdą to, co sugerują obecnie rządzący, że konstytucja RP z 1997 r. stanowi szczytowy wykwit demokracji i przykład dobrego prawodawstwa, którego nie trzeba zmieniać. Prawie wszystko, co dotyczy ustawy zasadniczej z 1997 r., jest mniej lub bardziej załgane i zinstrumentalizowane na potrzeby bieżącej, totalnej wojny z Prawem i Sprawiedliwością. Dlatego nieprzypadkowo słowa Karola Nawrockiego, a wcześniej prezydenta Andrzeja Dudy oraz prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego o potrzebie podjęcia prac nad nową konstytucją potraktowano jak zamach na świętość. Tyle że obowiązująca ustawa zasadnicza nie jest żadną świętością. Nawet naprawdę „święta" – opisując ją w tych kategoriach – Konstytucja 3 maja zakładała, że będzie poddana rewizji po 25 latach.

Konstytucja z 1997 r. stała się anachroniczna, także pod kątem rozwiązań ustrojowych, a ma już 29 lat. Poza tym już w momencie powstania była niedostosowana do rzeczywistości, tym bardziej że została pomyślana jako broń przeciwko prezydentowi Lechowi Wałęsie, choć przyjęto ją, gdy nie był on już głową państwa. Dlatego wprowadziła klinczowanie obu rodzajów władzy wykonawczej: rządu i prezydenta. I nie doprecyzowała tak wielu artykułów, że ich interpretacja przez różne organy może się toczyć bez końca.

TUSK I RZĄDZĄCY PRZECIW

Z właściwym sobie lekceważeniem i pogardą dla działań prezydenta Karola Nawrockiego odniósł się premier Donald Tusk. „Niektórzy uważają, że wystarczy obchodzić święto konstytucji, a na co dzień konstytucję obchodzą. Niektórych konstytucja w ogóle nie obchodzi. A przesłanie dzisiejszego święta jest przecież bardzo proste: tylko narody, które szanują własne obyczaje, własne prawa, własne konstytucje mają szansę na zwycięstwo" – wzmógł się Tusk 3 maja 2026 r., stojąc przy gablocie z oryginałem Konstytucji 3 maja. A 1 maja napisał: „Pan Karol Nawrocki ogłosił, że będzie pracował nad nową konstytucją. Proponuję zacząć od przestrzegania aktualnej". I napisał to ktoś, kto nie ma sobie równych w łamaniu konstytucji praktycznie każdego dnia.

Prezydent Nawrocki zapewnił, że na razie nie rozstrzyga, czy nowa konstytucja powinna ustanowić system prezydencki, czy premierowski. Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz przekazał, że Rada będzie się składała z trzech członów: politycznego, eksperckiego i społecznego. Dodał, że istotą praworządności i transparentnego procesu tworzenia ustawy zasadniczej jest to, by ścierały się różne poglądy oraz opinie. Na początku potrzebna jest burza mózgów, wypracowanie wspólnego projektu, który będzie potem formalnie procedowany zgodnie z zasadami przez polski parlament.

Po zaprzysiężeniu na urząd głowy państwa w przemówieniu przed Zgromadzeniem Narodowym (ZN) Karol Nawrocki zobowiązał się do przygotowania projektu nowej konstytucji i uznał to za jeden z głównych celów swojej prezydentury.

Do inauguracji prac nad nową konstytucją odniósł się wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz: „Wiem, że dzisiaj będą różne propozycje zmian konstytucji, referendów, szukania innej drogi. Trzeba sobie odpowiedzieć przy tym na pytanie, czy konstytucja jest źle napisana, czy ci, którzy ją stosować mają [...] zawsze dopełniają tego obowiązku. Czy ci, którzy są do tego najbardziej powołani, bo wskazani przez naród, wypełniają jej wszystkie zapisy? Czy konstytucja musi być zmieniana, czy ludzie muszą być na tyle odpowiedzialni [...] żeby tę konstytucję wypełnić?". Wicepremier Kosiniak-Kamysz napisał jeszcze na platformie X, a wicepremier Radosław Sikorski podał dalej: „W Konstytucji kwestie ustrojowe są jasno określone – wymagają jedynie przestrzegania. Jeśli ustawa zasadnicza wymaga doprecyzowania, to w kierunku wzmocnienia naszego bezpieczeństwa. Dlatego wpiszmy członkostwo w Unii Europejskiej do Konstytucji! Utrwalmy naszą obecność we Wspólnocie, będącą dla nas jednym z fundamentów bezpieczeństwa i rozwoju. Tak jak zrobiło to wiele innych państw – np. Francja, Finlandia czy Litwa. To gwarancja, że nikt nieodpowiedzialny nie wyrwie nas ze strefy bezpieczeństwa!".

Do powołania Rady Nowej Konstytucji odniósł się też wicepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski: „Bezpieczeństwo Polsce można zapewnić, przestrzegając konstytucji, a prezydent Karol Nawrocki ma z tym ewidentny problem. Zamiast zatem pisać nową ustawę zasadniczą, skupcie się w KPRP, aby nie łamać obecnej konstytucji". A minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak podkreślił na platformie X, że „niezależnie od oceny obecnej konstytucji inicjowanie przez prezydenta debaty o nowej ustawie zasadniczej od ataku na większość parlamentarną nie świadczy o zamiarze realnej dyskusji o ustrojowym kształcie Polski". Zaznaczył przy tym, że „bez większości konstytucyjnej, czyli zgody w Sejmie i Senacie, po prostu nie będzie nowej konstytucji. Choćby powołano jeszcze kilka rad konstytucji nawet »nowej generacji«". Zdaniem ministra Siemoniaka, „sytuacja dużego zagrożenia Polski powinna skłaniać raczej do jednoczenia się władzy wokół spraw bezpieczeństwa Polski, a nie otwierania kolejnego wieloletniego ostrego sporu o nową konstytucję, który Polskę będzie osłabiać". Siemoniak stwierdził, że „moment konstytucyjny to przede wszystkim mocna większość za zmianą konstytucji. Takiej zgody ani w Narodzie, ani z pewnością w Parlamencie nie ma".

Zdaniem wicepremiera Radosława Sikorskiego przyjęcie nowej konstytucji się nie uda: „Do zmiany konstytucji potrzebna jest w Sejmie większość dwóch trzecich, a więc poparcie spoza swojego obozu politycznego, zapewne także w kolejnych kadencjach. Jeśli prezydent Karol Nawrocki chce więcej władzy dla siebie kosztem rządu i parlamentu to – złośliwie wetując i demolując procedury państwowe – obrał oryginalny sposób perswazji. Nie wróżę sukcesu".

Autopromocja

eprasa.pl 15f21a2a10

Sprawę skomentował także szef MSWiA Marcin Kierwiński: „Prezydent Nawrocki rozpoczął debatę o zmianie konstytucji, powołując do swojej rady »odkrycie kulinarne prezesa«, panią Przyłębską... To idealny sposób na zakończenie debaty jeszcze przed jej rozpoczęciem".

Czyli rządzący ani myślą pracować nad nową konstytucją, a już w ogóle nie wyobrażają sobie, by zastąpić obecną. Stać ich tylko na kpiny i „nie, bo nie".

KREATORZY NOWYCH CZASÓW

Konstytucja przyjęta przez ZN 2 kwietnia 1997 r., zatwierdzona w referendum 25 maja 1997 r. i obowiązująca od 17 października tamtego roku stanowiła produkt postkomunistycznej rzeczywistości. Nieprzypadkowo przewodniczącymi Komisji Konstytucyjnej ZN byli Aleksander Kwaśniewski (do wyboru na prezydenta), a po nim Włodzimierz Cimoszewicz (do wyboru na premiera), czyli „demokraci ostatniej godziny". Konstytucję przyjęły Sejm i Senat, wybrane 19 września 1993 r. Wtedy postkomunistyczne partie Sojusz Lewicy Demokratycznej i Polskie Stronnictwo Ludowe zdobyły 303 mandaty w Sejmie i 73 w Senacie. W Sejmie ta postkomunistyczna większość nie miała dwóch trzecich (307 głosów) potrzebnych do uchwalania zmian w konstytucji, ale brakowało jej bardzo niewiele i mogła liczyć na pomoc Unii Demokratycznej (74 mandaty), przekształconej w 1994 r. w Unię Wolności (po połączeniu z Kongresem Liberalno-Demokratycznym), niezawodnej we wspieraniu postkomuny. SLD i PSL mogły wtedy liczyć także na pomoc Unii Pracy (41 mandatów), której w konstytucji przeszkadzała preambuła odwołująca się do Boga. W Senacie SLD i PSL dysponowała konstytucyjną większością bez pomocy kogokolwiek. I nic dziwnego, że ostatecznie 451 członków ZN głosowało za konstytucją (większość dwóch trzecich wynosiła 332 głosy, a na sali było 497 posłów i senatorów).

Frekwencja w referendum konstytucyjnym wyniosła „tylko" 42,86 proc., mimo to miało ono moc wiążącą. Ale tylko dlatego, że w ustawie z 1992 r. specjalnie przyjęto, iż referendum konstytucyjne będzie ważne niezależnie od frekwencji, byle by opowiedziała się za nią zwykła większość głosujących. I zwykła większość, czyli 53,45 proc. biorących udział (6 396 641, czyli o 4 mln mniej niż w 2025 r. wybrało prezydenta Karola Nawrockiego) zatwierdziła konstytucję. Inne referenda nie mogły korzystać z takich nadzwyczajnie złagodzonych warunków ważności, co tym bardziej pokazuje względność ogólnonarodowej legitymacji obowiązującej obecnie ustawy zasadniczej. I to jest jednym z powodów, żeby zacząć intensywnie nad nią pracować.

Także dlatego, że konstytucja z 1997 r. od początku była skrojona na miarę świeżo nawróconych na demokrację postkomunistów. Była też szyta pod wspierających ich „demokratów" z Unii Wolności, których Adam Michnik pchał do wielkiej koalicji z postkomunistami w imię zasypania historycznych podziałów.

Tylko ktoś wyjątkowo naiwny może twierdzić, że beneficjenci okrągłego stołu i polityki wybaczania, która pozwoliła postkomunistom przejąć władzę zaledwie cztery lata po wyborach czerwcowych w 1989 r., stworzą konstytucję na miarę prawdziwie wolnej Polski.

POSTKOMUNISTYCZNA HYBRYDA

Konstytucja z 1997 r. była ustawą zasadniczą na miarę III RP jako dziedziczki i w znacznym stopniu kontynuatorki PRL. Szytą na miarę utrzymania przez postkomunistów uprzywilejowanego stanu posiadania w gospodarce i finansach oraz przewag w wielu innych dziedzinach, np. w mediach. Ta konstytucja zabezpieczała także interesy postkomuny na przyszłość, m.in. wikłając poszczególne władze w nierozwiązywalne spory, bo to chroniło zdobycze „demokratów ostatniej godziny" oraz dokooptowanej do nich części postsolidarnościowych elit. Kwaśniewski, Cimoszewicz i spółka byli po prostu przewidujący i zabezpieczyli swoich kompanów, gdyby w przyszłości stracili oni władzę, co się zresztą stało.

Kiedy dzisiaj różni „demokraci" machają konstytucją z 1997 r. niczym maczugą, zakładają, że społeczeństwo kompletnie zgłupiało i nic nie pamięta, a szczególnie zapomniało okoliczności powstania i przyjęcia obowiązującej obecnie ustawy zasadniczej, co znacząco wpłynęło na jej treść.

Konstytucja z 1997 r. nie jest żadnym wzorcem z Sèvres, tylko w dużym stopniu rozwiązaniem przejściowym dopasowanym do Polski, w której partie postkomunistyczne są głównym graczem na scenie politycznej, a głową państwa jest prezydent postkomunista.

Politykom III RP zajęło ponad siedem lat przygotowanie i wdrożenie podstaw ustroju państwa, a pięć lat trwało przygotowanie nowej konstytucji. Od przełomu, za jaki – mimo wielu zastrzeżeń – można uznać wybory kontraktowe z 4 czerwca 1989 r., do pierwszych wolnych wyborów (27 października 1991 r.) minęło prawie 2,5 roku. Jeśli nałożyć na to podobny proces w II RP, wtedy zmiany ustrojowe przeprowadzono znacznie szybciej i znacznie głębiej. Wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się zaledwie 2,5 miesiąca po odzyskaniu niepodległości (26 stycznia 1919 r.). Nowa konstytucja została natomiast przyjęta już 2 lata i 4 miesiące po odzyskaniu niepodległości. A elity II RP musiały przezwyciężyć nieporównanie większe trudności niż elity III RP.

Prezydent Karol Nawrocki wyznaczył perspektywę przyjęcia nowej konstytucji na 2030 r., co oznacza, że powinna powstać w ciągu czterech lat. I musi wyraźnie zamknąć okres PRL oraz postkomunistycznej hybrydy, która zdecydowała o kształcie konstytucji z 1997 r. Musi to być konstytucja wolnej Polski i wolnych Polaków.

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 15f21a2a10

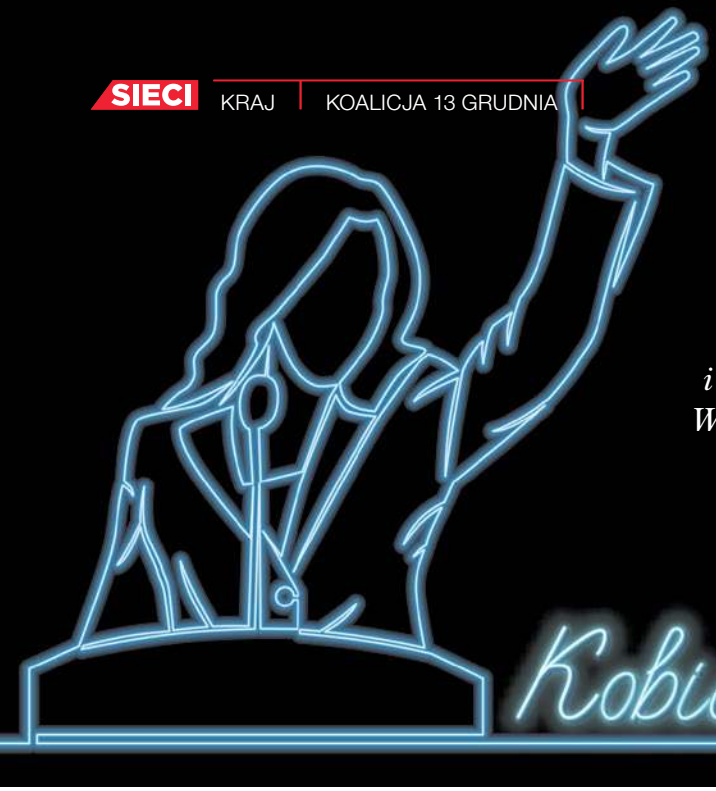

W polskiej polityce od lat powraca hasło większego udziału kobiet w życiu publicznym. Postulat ten, powtarzany jak mantra przez środowiska liberalne i lewicowe, miał być symbolem nowoczesności, jakości i – co szczególnie podkreślano – wyższego poziomu debaty. W teorii kobiety w polityce miały być bardziej merytoryczne i mniej konfliktowe. Rzeczywistość, jak to często bywa, postanowiła brutalnie zweryfikować tę narrację

Kobiety do polityki?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Nie chodzi o to, że kobiety jako takie nie nadają się do polityki – to teza równie absurdalna jak twierdzenie odwrotne. Problem polega na tym, że konkretne osoby, które dziś pełnią ważne funkcje w ramach koalicji rządzącej, stały się nie tyle wizytówką tej idei, ile jej największym obciążeniem. Bo kiedy spojrzeć na praktykę działania części kobiet z koalicji 13 grudnia, trudno się oprzeć wrażeniu, że zamiast jakościowego skoku mamy raczej festiwal wpadek, przejęzyczeń, chaosu komunikacyjnego i – co najgroźniejsze – zaskakującej lekkości w podejściu do poważnych spraw państwa. Albo po prostu zwykłej niekompetencji.

KOBIETA Z RÓŻDŻKĄ

Spójrzmy na nieco już zapomnianą *Izabelę Leszczynę*, która zapowiadała, że problemy w ochronie zdrowia znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a sama dokładnie w ten sposób zniknęła z polskiej polityki. Nim to jednak nastąpiło, jej działalność była strumieniem wygadywanych głupot. W grudniu 2021 r., próbując uderzyć w rządy PiS, stwierdziła: „Ludziom pod rządami PiS już niedługo będzie żyło się niestety gorzej niż w czasach, kiedy rządziła PO". Internauci i komentatorzy szybko wyłapali, że logicznym wnioskiem z tego zdania jest to, że za czasów PO żyło się źle, skoro ma być „jeszcze gorzej". W polityce takie lapsusy są bezlitosne. Nie dlatego, że są wielkie, ale dlatego, że są prawdziwe w swojej niezamierzonej szczerości. Później było już tylko bardziej obrazowo. „Hordy psychiatrów" – sformułowanie, które w jednej chwili zburzyło powagę debaty o zdrowiu psychicznym – pokazało, jak bardzo język może zdradzać sposób myślenia. W momencie, gdy system psychiatrii w Polsce realnie zmaga się z brakami kadrowymi, użycie słowa kojarzącego się z chaosem i dzikością zabrzmiało jak groteskowe odwrócenie problemu. A jeśli dołożyć do tego niemal symboliczny incydent z konferencji, na której wraz z jej wystąpieniem gasną światła i milkną mikrofony, powstaje metafora, której nie wymyśliłby nawet najbardziej złośliwy satyryk. Zgasła także kariera Izabeli Leszczyny.

MATEMATYCZNA PRECYZJA

Podobną skłonność do komunikacyjnych katastrof prezentuje *Katarzyna Lubnauer*. To przypadek szczególnie interesujący, bo przez lata była przedstawiana jako uosobienie racjonalizmu i „twardej merytoryki". Tymczasem praktyka pokazuje coś innego. Weźmy choćby historię z nieistniejącym przepisem prawa. W maju 2025 r. Lubnauer chciała uderzyć w polityka prawicy, cytując na platformie X rzekomy przepis art. 233 par. 6 Kodeksu karnego dotyczący oświadczeń notarialnych. Szybko wytknięto jej, że taki przepis w podanym przez nią brzmieniu nie istnieje, a konstrukcja błędu sugerowała, że posłużyła się niesprawdzonymi informacjami wygenerowanymi przez sztuczną inteligencję. Miało to niewiele wspólnego z rzetelnością i pokazało, że nie tylko dzieci (o czym Lubnauer często mówi) nadużywają AI.

W 2020 r. polityk wywołała burzę stwierdzeniem, że „nie jest rozsądne, że kobieta wychowująca dzieci chce zostać w domu". Internauci i komentatorzy ocenili to jako stygmatyzację kobiet wybierających opiekę nad dziećmi zamiast

21/0426/F

eprasa.pl 15f21a2a10

pracy zawodowej, co uznano za poważny błąd wizerunkowy przed wyborami. To jeden z tych momentów, w których polityka „dla kobiet” nagle rozmija się z ich realnymi wyborami. A gdy dochodzi do tego chaos wokół reform edukacyjnych – najpierw komunikat, potem jego korekta, potem przyznanie, że komunikacja była błędna – trudno mówić o wielkim planie. Raczej o permanentnym gaszeniu pożarów, które samemu się wznieciło. I jeszcze te wypowiedzi o „szurii” w kontekście osób krytykujących edukację zdrowotną. Zostało to odebrane jako lekceważenie obaw części rodziców i zaognianie konfliktu światopoglądowego.

MAGISTRA BEZ MAGISTRA

A *Katarzyna Kotula*? Błędy w biografii są jak fundament – jeśli pojawiają się wątpliwości, cała konstrukcja zaczyna się chwiać w oczach opinii publicznej. W styczniu 2025 r. wybuchł skandal dotyczący wykształcenia minister. Okazało się, że na oficjalnej stronie Sejmu oraz w jej biogramach widniała informacja o ukończeniu studiów magisterskich w 2016 r. na UAM, których pani minister nigdy nie ukończyła. Po nagłośnieniu sprawy przez media Kotula przyznała, że posiada jedynie tytuł licencjata, a brak magisterium tłumaczyła błędem przy wprowadzaniu danych przez pracowników oraz nieukończeniem pracy magisterskiej. Dlaczego jednak wcześniej w mediach kłamała, że pisze doktorat? Kotula jedna wie!

Potem przyszła historia z hymnem narodowym. Brak odpowiedzi na pytanie o jego autora – nawet jeśli wynikał ze stresu – stał się natychmiastowym symbolem. Bo polityk nie jest oceniany za intencje, tylko za momenty. A ten moment był bezlitosny.

I jeszcze to zderzenie jakości z ilością! W 2022 r. podczas debaty w Sejmie posłanka wywołała oburzenie słowami: „Nie sztuka iść w ilość, ale sztuka iść w jakość”. Kontekst wypowiedzi dotyczył polityki prorodzinnej i demograficznej, co przez wielu zostało odebrane jako uderzenie w rodziny wielodzietne i wywołało ostrą polemikę na sali plenarnej.

STOP PCK!

Jeśli jednak ktoś miałby konkurować o tytuł najbardziej „memicznej” postaci tej układanki, to europosłanka *Marta Wcisło* jest w ścisłej czołówce. „Stop PCK” zamiast CPK wykrzyczane z mównicy sejmowej to już klasyka, ale prawdziwy problem polega na tym, że nie jest to przypadek odosobniony. Jest coś charakterystycznego w stylu jej obecności publicznej: intensywność emocji połączona

Fot. EP, Andrzej Wilkotr x2, Ludmyla Skwarczyńska, Shutterstock

REKLAMA

niedziela.pl

katolicki portal,
który niesie INFORMACJĘ I FORMACJĘ

■ ZAWSZE BIEŻĄCE WIADOMOŚCI Z ŻYCIA KOŚCIOŁA, POLSKI I ŚWIATA,
■ MULTIMEDIA ■ KULTURA I PODRÓŻE

www.niedziela.pl

Zeskanuj i sprawdź!

z niedokładnością przekazu. Raz mamy żart o „rządzeniu mężem", który zamiast rozbawić, wywołuje konsternację. Innym razem oskarżenie o kopanie pod stołem – sytuacja, która w normalnych warunkach nie powinna w ogóle zaistnieć w poważnej debacie. Do tego dochodzą momenty dezorientacji – jak w rozmowie z Moniką Olejnik o niesłusznej dymisji Marka Magierowskiego. Zszokowana była nie tylko prowadząca, lecz także gość z obozu przeciwnego. Pani Wcisło po prostu nie wiedziała, o co jest pytana i strzeliła. Wyszło, że trafiła kulą w płot. A jeśli dorzucić do tego lokalne historie, jak „80 lat Bogdanki" oraz zmiany stanowiska w sprawach granicznych, powstaje obraz polityka reagującego bardziej impulsywnie niż strategicznie.

BÓB, HUMUS, WŁOSZCZYZNA

Zupełnie inną, ale równie problematyczną ścieżką podąża *Klaudia Jachira*. Jej działalność to próba przeszczepienia logiki performance'u do polityki parlamentarnej. Problem w tym, że Sejm – mimo wszystkich wad – nadal jest instytucją państwową, a nie sceną teatralną. Konfetti-banknoty, prowokacyjne zdjęcia, happeningi – to wszystko przyciąga uwagę, ale czy buduje powagę? Raczej odwrotnie. Zdjęcie pod pomnikiem AK z napisem „Bób, Hummus, Włoszczyzna", co nawiązywało do hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna" to niewybaczalna profanacja. A gdy do tego dochodzą wypowiedzi o braku sensu wspierania rolników w momencie napięć społecznych, efekt jest jeszcze bardziej alienujący.

„MIREK"

W przypadku *Urszuli Zielińskiej*, wiceminister środowiska, problem przesuwa się z poziomu wizerunkowego na poziom państwowy. Samodzielne deklarowanie celów klimatycznych w imieniu kraju, bez uzgodnienia z rządem, to nie jest już tylko wpadka. To sygnał braku koordynacji. Podobnie jak klasyczna wpadka „internet nie zapomina": najpierw ostre krytykowanie zbiorników retencyjnych, później zaprzeczanie, że było się ich przeciwnikiem. Usunięcie wpisu nie rozwiązuje problemu – przeciwnie, raczej go wzmacnia. Do tego dochodzą uproszczenia, które w polityce środowiskowej są szczególnie niebezpieczne, jak sugestia, że zamknięcie jednej kopalni rozwiąże problem Odry. A „Mirek", czyli program dofinansowania przydomowej retencji, to już niemal symbol epoki: poważna polityka opakowana w nazwę, która brzmi jak żart z internetu.

> Jeśli ktoś miałby konkurować o tytuł najbardziej „memicznej" postaci tej układanki, europosłanka Marta Wcisło jest w ścisłej czołówce. „Stop PCK" zamiast CPK wykrzyczane z mównicy sejmowej to już klasyka

ZMORA SZKOŁY

W przypadku *Barbary Nowackiej* skala problemu rośnie, bo dotyczy edukacji i pamięci historycznej. Wypowiedź o „polskich nazistach" była jednym z tych momentów, które natychmiast przekraczają granice kraju i stają się elementem narracji międzynarodowej. Nawet jeśli była to pomyłka, jej konsekwencje okazały się realne. Do tego dochodzi język konfrontacyjny wobec przeciwników – „hejter w sutannie" o arcybiskupie czy „zmora szkoły" o rodzicach. I wreszcie totalny chaos w edukacji. Do dziś nie wiadomo, czy prace domowe są zakazane, czy trzeba zadawać, ale nie wolno oceniać. Tylko dzieci szkoda.

PODATKI, WYDATKI

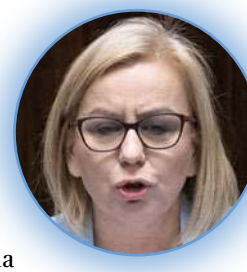

Na koniec *Paulina Hennig-Kloska* – przykład, który pokazuje, jak szybko można przejść od ambitnych planów do serii kryzysów. „Afera wiatrakowa" była pierwszym sygnałem, że coś jest nie tak z procesem legislacyjnym i przyszłą minister. Potem przyszły kolejne: pożyczki dla powodzian zamiast realnej pomocy, pomyłka w głosowaniu nad ustawą dla tych samych powodzian. Były też luki w wiedzy ekonomicznej i przekonywanie, że „odlicza się wydatek od dochodu", a w 2023 r. pani minister nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie o dokładną liczbę parków narodowych w Polsce. I wreszcie chaos wokół systemu kaucyjnego i absurdalne tłumaczenia, że to wina PiS. Toż to obraz permanentnego kryzysu zarządzania i zwykłej głupoty.

Niestety opisane wyżej sytuacje to tylko znikomy fragment popisów wspomnianych kobiet. Także lista bohaterek tego tekstu mogłaby być dłuższa. Jest przecież jeszcze Anna Maria-Żukowska, która przekonywała, że biologiczny mężczyzna może zajść w ciążę, jest Aleksandra Leo, która złapana na sejmowym korytarzu nie wiedziała, ile jest 7 razy 8, jest Żaneta Cwalina-Śliwowska, która nie ma pojęcia, ile jest województw i gdzie na mapie ulokować Luksemburg.

I tak cała opowieść o „nowej jakości" zaczyna brzmieć jak slogan z kampanii reklamowej, który nie przeszedł testu rzeczywistości. Bo polityka – niezależnie od płci – pozostaje brutalnie prosta w swojej logice: albo dowozisz kompetencje, albo dowozisz memy.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Ludmyła Skwarczyńska x2

eprasa.pl 15f21a2a10

Sąd przedłużył areszt dla byłego funkcjonariusza SOP do 25 lipca br. ze względu na zagrożenie wysoką karą, obawę matactwa i próby wpływania na zeznania pokrzywdzonych w tej sprawie członków rodziny

Fot. PAP

Zbrodnia, której można było uniknąć?

Nadmorskie miasto i dramat, który rozegrał się za zamkniętymi drzwiami jednego z mieszkań. Funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa zaatakował własną rodzinę, zabijając czteroletnią córkę i raniąc najbliższych. Reportaż „Zbrodnia i zaniechanie" to historia niewyobrażalnej tragedii oraz – bazująca na nowych ustaleniach telewizji wPolsce24 – ponura opowieść o zaniedbaniach systemu Donalda Tuska, który mógł zareagować wcześniej, ale nie zrobił tego, pochłonięty politycznymi czystkami. W naszym reportażu ujawniamy nowe fakty, dokumenty i stawiamy pytania, które dziś wracają ze zdwojoną siłą: czy tej tragedii można było uniknąć i kto powinien za to odpowiedzieć?

eprasa.pl 15f21a2a10

SAMUEL PEREIRA

Rodzinne ferie zimowe zamieniły się w koszmar. Do Ustki z Warszawy przyjechała rodzina funkcjonariusza Służby Ochrony Państwa. Nie było awantur, kłótni ani żadnego uchwytnego impulsu. Tego wieczoru wstał od stołu, gdzie grali w karty, poszedł do kuchni i wrócił z nożem.

Tym ojcem był mjr SOP Piotr K., funkcjonariusz z ponaddwudziestoletnim stażem, który zamachnął się na własną rodzinę. Zginęła jego czteroletnia córka. Ranne zostały trzy osoby, w tym żona. Sąsiedzi, słysząc krzyki, próbowali interweniować. Mężczyzna zabarykadował się w pokoju z córką, trzeba było użyć paralizatora. Reanimacja dziewczynki okazała się nieskuteczna.

ŚLEDZTWO, KTÓREGO NIE BYŁO

Byliśmy w Ustce. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy pamiętają tamten wieczór. Wszyscy mówią o niedowierzaniu. – Coś mu się odkleiło, to normalny chłopak. Co mu się stało, tego nie wie nikt – słyszymy od sąsiada.

Tu zaczyna się ważny wątek tej historii, który postanowiliśmy rozwikłać naszą dziennikarską pracą, a do którego – z powodu nieprzekazania istotnych informacji przez przełożonych Piotra K. – śledczy jeszcze nie dotarli. Były funkcjonariusz SOP odpowiadał za pirotechnikę i uczestniczył w ochronie najważniejszych osób w państwie w kraju i za granicą. Jak mówi nam jego kolega z SOP: – Oczywiście, że miał dostęp do osób ochranianych, i to bliski.

Piotr K. trafił do służby w 2003 r., jeszcze w czasach Biura Ochrony Rządu. Przez lata przechodził szkolenia: ochrona placówek dyplomatycznych, operacje wysokiego ryzyka, użycie broni, działania na pokładach samolotów i w trakcie ważnych wydarzeń. Pełnił służbę za granicą – w Kabulu,

Piotr K. ochraniał najważniejsze osoby w państwie, był też pirotechnikiem

Fot. Facebook

Bagdadzie i Islamabadzie. W 2012 r. w pałacu prezydenckim został odznaczony Gwiazdą Iraku i Gwiazdą Afganistanu. Po latach znów znalazł się przed kamerami, ale już w całkowicie innych okolicznościach – doprowadzany jako podejrzany o zabójstwo własnego dziecka i usiłowanie zabójstwa czterech członków rodziny. Jak ustaliliśmy, przyznał się do winy, ale odmówił złożenia obszerniejszych wyjaśnień.

Po tragedii Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji przekazało lakoniczną informację o „aktualnych badaniach okresowych". Co się działo przed tragedią? Sprawdzaliśmy ten wątek w Słupsku.

Prokurator okręgowy Patryk Wegner pytany o ustalenia między SOP, MSWiA a prokuraturą i nowe informacje ze służby dotyczące tego, co stało się przed tragedią, przyznaje, że nie ma takich informacji. A z naszych rozmów z funkcjonariuszami SOP i dokumentów, do których dotarła telewizja wPolsce24, wynika, że sygnały były. Jeden z rozmówców, który zgodził się mówić pod warunkiem ochrony wizerunku i głosu, opowiada: – Pracowaliśmy wiele lat razem. Te symptomy od jakiegoś czasu były zauważalne u Piotra. Dziwne zachowanie, zawsze był skryty, ale przez ten ostatni czas wyglądało to tak, jakby był nieobecny w czasie rozmowy. Czasami, zadając mu pytanie, nie potrafił odpowiedzieć albo nie odpowiadał, nie wiadomo, z jakiego powodu. Widać było po nim, że coś się dzieje.

Nasz rozmówca mówi o konkretnym piśmie. – Krążyły takie newsy, że zostało sporządzone jakieś pismo odnośnie do jego stanu psychicznego. Z tym pismem musiał się zapoznać jego bezpośredni przełożony, jak również komendant, wtedy zastępca komendanta Tomasz Jackowicz – słyszymy. I dodaje, że to właśnie on powinien skierować Piotra K. przed komisję lekarską. To prawda, która znajduje potwierdzenie w obowiązujących przepisach (ustawa z dnia 28 listopada 2014 r. o komisjach lekarskich podległych ministrowi właściwemu do spraw wewnętrznych).

UKRYTE DOKUMENTY

Telewizja wPolsce24 dociera do nieznanych dotąd dokumentów i korespondencji między resortem a SOP. 12 lutego, a więc już po tragedii, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA zwróciło się do pełniącego obowiązki komendanta SOP płk. Tomasza Jackowicza o przekazanie dokumentacji dotyczącej czynności podjętych po sporządzeniu notatki służbowej z 29 października 2025 r. Notatki dotyczącej Piotra K. To data kluczowa. Trzy miesiące przed tragedią.

Z tej notatki wynika, że Piotr K. zgłaszał się na zagraniczną placówkę, a do przełożonych trafiły informacje o jego zachowaniu i lękach przed jakąś formą inwigilacji. Jak zapisano w notatce, miał być nerwowy, ręce miały mu się trząść, a jego wzrok był rozbiegany. Według naszych ustaleń pismo trafiło wprost do rąk płk. Jackowicza. Mimo to nie zwołano komisji lekarskiej, choć przepisy obligują do skierowania funkcjonariusza na obserwację lekarską, gdy stan jego zdrowia daje podstawę do przypuszczeń, że dalsze pełnienie służby na zajmowanym stanowisku może być niemożliwe.

wPolsce24

Reportaż „Zbrodnia i zaniechanie" będą mogli państwo obejrzeć dzisiaj, w poniedziałek 11 maja o godz. 20.10 na antenie telewizji wPolsce24

Autopromocja

eprasa.pl 15f21a2a10

Nasz rozmówca z SOP pyta wprost: – Skoro było sporządzone pismo odnośnie do jego stanu zdrowia, to dlaczego nie był wysłany na tę komisję? Dlaczego nikt nie dopilnował tego, żeby go skierować?

Co więcej, według jego relacji po tym incydencie zwolniono dyrektora, a naczelnik będący bezpośrednim przełożonym Piotra K. został awansowany na dyrektora Zarządu XIII. Mowa o płk. Tomaszu Filu, którego wyznaczył na to stanowisko sam Jackowicz.

Ponadto wniosek Piotra K. o wyjazd na zagraniczną placówkę, odrzucony w październiku, w grudniu został odblokowany. Termin jego wyjazdu miał zostać określony. A więc człowiek, u którego rozpoznano sygnały alarmowe, mógł trafić na placówkę ze stałym dostępem do broni. Potencjalne skutki nietrudno przewidzieć.

Jesienią w SOP rozkręciły się polityczne czystki. Zaczęło się od kradzieży samochodu Małgorzaty Tusk, żony premiera. Zdarzenia, które według niektórych z naszych rozmówców mogło być ustawką. Mimo iż jej auto – jako osoby nieochranianej – nie podlega obserwacji, kradzież stała się pretekstem, by wysłać na przymusowy urlop dotychczasowego szefa Służby Ochrony Państwa gen. Radosława Jaworskiego. Zaczęło się polowanie na człowieka, który w SOP ma opinię oddanego swojemu państwu profesjonalisty – tylko dlatego, że nominację odbierał jeszcze z rąk premiera Mateusza Morawieckiego.

PAŃSTWO NIE ZDAŁO EGZAMINU

Kontrolę nad służbą przejęli ludzie związani z obozem władzy. W styczniu na stanowisko „pełniącego obowiązki" wyznaczono Tomasza Jackowicza, a minister Marcin Kierwiński w wywiadach radiowych i podczas konferencji prasowych, nie kryjąc satysfakcji, brał osobistą odpowiedzialność za „sprzątanie" w tej instytucji.

O absurdalności zarzutów stawianych gen. Jaworskiemu najlepiej świadczy to, że Najwyższa Izba Kontroli kontrolowała wykonanie budżetu za 2025 r..., mając wgląd w wystąpienie pokontrolne MSWiA, a mimo to oceniła działalność SOP pozytywnie. Skala czystek robi wrażenie na funkcjonariuszach. –Nie pamiętam dotąd aż tak drastycznych zmian kadrowych. Ludzi kompetentnych, którzy nami dowodzą, jest coraz mniej. Teraz postawili na ludzi niekompetentnych – słyszymy.

> Byliśmy w Ustce. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy pamiętają tamten wieczór. Wszyscy mówią o niedowierzaniu. – Coś mu się odkleiło, to normalny chłopak. Co mu się stało, tego nie wie nikt – słyszymy od sąsiada Piotra K., byłego funkcjonariusza SOP, który zaatakował nożem własną rodzinę

Na ich czele stanął były kierowca Donalda Tuska, więc postać dobrze znana premierowi.

Skutki tego „sprzątania" widzimy dziś również w dramatycznym kontekście. A najwyżsi rangą funkcjonariusze SOP ostrzegali. 12 stycznia 2026 r. do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji wpłynęło pismo podpisane przez 23 dyrektorów Służby Ochrony Państwa i ich zastępców, w którym domagali się powrotu komendanta gen. Radosława Jaworskiego do wykonywania zadań. – Zamiast odpowiedzi podpisanych pod listem dyrektorów albo zwalniano, albo przenoszono do dyspozycji, składając propozycje nie do odrzucenia – relacjonuje nam jeden z wysoko postawionych funkcjonariuszy tej służby. Mowa o praktycznie całym kierownictwie służby, która sprawdziła się w działaniach okołowojennych, w najcięższych czasach w nowożytnej historii Polski. – Po tym, jak nastał Jackowicz, sygnatariuszom wytoczono postępowania dyscyplinarne – mówi nam funkcjonariusz SOP.

Dlaczego płk Jackowicz, który odebrał sygnał alarmowy przed tragedią, mógł i powinien zareagować, nie zrobił tego? „On jest niedecyzyjny, jemu podjęcie decyzji przychodzi bardzo trudno. Po rady jeździ do ministerstwa" – taką ma opinię w SOP. Gorzej, że – jak twierdzi jeden z naszych rozmówców – gdyby w sprawie zbrodni w Ustce „zareagował właściwie, może byłby trochę inny bieg wydarzeń".

Właśnie dlatego tej historii nie wolno sprowadzać wyłącznie do aktu oskarżenia wobec Piotra K. Nie żyje czteroletnia dziewczynka. Jej rodzina została zniszczona. Sprawca powinien odpowiedzieć za swój czyn. Ale państwo ma obowiązek odpowiedzieć na inne pytania: co wiedzieli przełożeni, co wiedziało ministerstwo, dlaczego prokuratura nie dostała kluczowych informacji i dlaczego procedury nie zostały uruchomione wtedy, gdy mogły jeszcze mieć znaczenie. W końcu – dlaczego nie toczy się żadne postępowanie w sprawie niedopełnienia obowiązków z art. 231 Kodeksu karnego?

Dziś wiemy, że były sygnały, została sporządzona notatka, istnieją odpowiednie przepisy i są konkretni ludzie odpowiedzialni za podejmowane decyzje, a raczej ich brak. Widzimy obraz państwa, które, widząc zagrożenie, nie zareagowało i ludzi, którzy zapatrzeni w obsadzane stołki, odwrócili wzrok.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl 15f21a2a10

Większość młodych ludzi oglądających freak fighty powie, że robi to dla żartu. Że to bardzo zabawne, jak młoda pani kopie starszego pana albo znany influencer obrywa po nosie od „aktora w niedużych rolach". I można pokładać się ze śmiechu, gdy wszyscy obrzucają się wulgarnymi wyzwiskami

Igrzyska niesportowe

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Łukasz Mejza nie cieszył się dobrą opinią. Gdy niedawno odchodził z klubu PiS, przeważająca część sympatyków tej partii odetchnęła zapewne z ulgą. Jego zachowania nie będą już bowiem psuły wizerunku całej formacji.

Niewykluczone, że kroplą, która przepełniła czarę goryczy (a może raczej wstydu) w klubie PiS, była decyzja Mejzy o wzięciu udziału w tzw. freak fightach. To – mówiąc bez ogródek – rodzaj mordobicia organizowanego dla pieniędzy, ku uciesze najmniej wy-

Fot. Karol Makurat/REPORTER

eprasa.pl 15f21a2a10

rafinowanej gawiedzi, głównie odbiorców różnego rodzaju patologicznych treści zamieszczanych w mediach społecznościowych.

Chociaż mówi się dziś, że freak fight ma już szczyt popularności za sobą, to organizowane w jego ramach walki i gale wciąż przyciągają dziesiątki tysięcy widzów. Skala zainteresowania tą prymitywną rozrywką (bo ze sportem nie ma to nic wspólnego) jest na tyle duża, że powinna wzbudzać obawy o kondycję polskiego społeczeństwa – zwłaszcza jego młodszej części – i rolę, jaką odegrały tutaj media społecznościowe.

WIĘCEJ KRWI

Popularność freak fightów wywodzi się bezpośrednio z MMA. Tym anglojęzycznym skrótem (*mixed martial arts*) określa się mieszane sztuki walki. Przy czym obu pojęć nie należy ze sobą mylić. MMA są bowiem uważane za dyscyplinę sportową, czego nie da się powiedzieć o freak fightach.

Istotą MMA jest rywalizacja dwóch zawodników przy użyciu różnych sztuk walki. Istnieje tu kilkanaście kategorii wagowych, są określone zasady (fakt, że niewiele), których złamanie grozi dyskwalifikacją, są zawodowcy i amatorzy. Nie zmienia to jednak faktu, że MMA powstało głównie, by zaspokoić popyt na brutalną rozrywkę, gdy widowni – głównie w Ameryce – znudziło się już oglądanie bardziej tradycyjnych sportów, takich jak boks czy wschodnie sztuki walki.

MMA zawdzięcza swoją popularność transmisjom telewizyjnym w amerykańskich kanałach sportowych poszukujących nowych źródeł zysku. Na początku tego stulecia mieszane sztuki walki błyskawicznie podbiły tamtejszą widownię i wkrótce rozpowszechniły się w wielu krajach świata.

W Polsce transmisjami walk MMA organizowanymi przez polską Konfrontację Sztuk Walki (KSW) zajmował się od 2009 r. Polsat, a później Viaplay i Canal+. O skali popularności MMA w naszym kraju może świadczyć to, że w maju 2017 r. gala KSW zgromadziła na Stadionie Narodowym aż 58 tys. publiczności, stając się tym samym jedną z trzech największych pod względem liczby widzów imprez sportowych w historii Polski.

MURAŃSKI I INNI

Freak fight to zupełnie co innego. Niektórzy, szydząc z widowni, nazywają je „sportowym disco polo", ale to złe skojarzenie. Przede wszystkim nie jest to dyscyplina sportowa i nie obowiązują w niej sportowe reguły. Podobieństwo do MMA polega głównie na tym, że we freak fightach stosuje się mieszane sztuki walki. Przy czym jest to pewien eufemizm, bo tak naprawdę każdy może robić na ringu (w tzw. klatce) to, co akurat przyjdzie mu do głowy.

Wynika to stąd, że istotą freak fightów jest brak jakiejkolwiek równowagi pomiędzy zawodnikami. Ich umiejętności, warunki fizyczne czy wiek mogą być całkowicie odmienne. Można więc wyobrazić sobie walkę młodej kobiety z dziadkiem, potężnego zapaśnika z chudzielcem. Mogą być również walki dwóch lub trzech na jednego. Wszystko po to, aby zapewnić widzom dużo rozrywki i wyciągnąć od nich jak najwięcej pieniędzy. Bo – jak się okazuje – widownia bardzo lubi oglądać takie „pojedynki". Zwłaszcza gdy wśród zawodników jest ktoś, kogo dobrze znają. Może niekoniecznie osobiście, ale przynajmniej z mediów społecznościowych. Nic więc dziwnego, że we freak fightach szybko zaroiło się od rozmaitych celebrytów i patocelebrytów.

> O ile walki MMA przybyły do nas z Ameryki, o tyle freak fighty – może niebezpośrednio – docierały do nas również zza wschodniej granicy

Starszej widowni nazwiska tych „celebrytów" niewiele powiedzą. No może poza kilkoma piłkarzami, przedstawiającym się jako poeta Jasiem Kapelą oraz „postacią znaną i aktorem w takich niedużych rolach" Jackiem Murańskim, którego rozpropagował w zeszłym roku Donald Tusk. Większość jest jednak doskonale znana młodej widowni serwisów streamingowych. To rozmaici youtuberzy, influencerzy, raperzy, którzy zdołali zgromadzić – zwykle dzięki mało wyrafinowanym treściom – całkiem pokaźne grono subskrybentów, a zarazem pieniędzy.

Przy czym z popularnością w internecie – zwłaszcza w przypadku szybko nudzącej się młodej widowni – jest tak, że aby ją utrzymać, należy przekraczać kolejne granice – najczęściej kultury i dobrego smaku. Freak fighty stały się odpowiedzią na to wyzwanie. Udział w walkach zapewniał internetowym celebrytom wzrost oglądalności i dochodów. Dokładnie o to samo chodziło organizatorom walk, nic więc dziwnego, że te zbieżne interesy szybko się ze sobą spotkały.

Od tego momentu nastąpił gwałtowny wzrost zainteresowania internetowej widowni freak fightami. W 2018 r. powstała pierwsza polska federacja freak fightowa Fame MMA, która organizowała walki popularnych youtuberów i patostreamerów. Jednym z jej sztandarowych pojedynków była tzw. walka Dawida z Goliatem, gdzie biły się ze sobą osoby o zupełnie różnych warunkach fizycznych, np. karzeł z wysokim, chudy z otyłym itp. Wkrótce na fali szybko rosnącej popularności tego rodzaju „rozrywki" jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać kolejne federacje, a gale zbierające tysiące widzów organizowano w największych obiektach w kraju – na Stadionie Narodowym, Tauron Arenie i innych.

MILION DLA ZWYCIĘZCY

Walki MMA zyskały popularność dzięki telewizji. Początkowo gale były transmitowane w otwartym dostępie, a zyski pochodziły z reklam. Jednak freak fighty to dziecko internetu. Nadal zarabia się na reklamach, ale znacznie ważniejszym źródłem dochodów jest liczna widownia. Publiczność może kupować bilety na gale i oglądać imprezy na żywo, ale

eprasa.pl 15f21a2a10

najwięcej zysku dają płatne transmisje online. Każdy za odpowiednią kwotę może wykupić dostęp do walki (tzw. PPV czyli pay-per-view). Oczywiście im więcej jest takich osób, tym zyski organizatorów i uczestników są wyższe.

Średnio za jedną walkę zawodnik w Polsce otrzymuje do 100 tys. zł – w zależności od jego pozycji. Najbardziej rozpoznawalni influencerzy i celebryci dostają wielokrotnie więcej – nawet do 1 mln zł, bo tu widownia jest największa.

W mediach społecznościowych można niekiedy natrafić na żenujące i wulgarne pyskówki zawodników przed walką, tzw. dymy. Obrzucają się oni nie tylko najgorszymi wyzwiskami, lecz także niekiedy również wyposażeniem studia – krzesłami czy szklankami. To najczęściej ustawki, które mają podgrzać atmosferę przed walką i rozbudzić zainteresowanie widzów. Im bardziej chamsko i wulgarnie, tym większa oglądalność i w efekcie wyższe zarobki.

Mamy tu do czynienia z nieustannym obniżaniem poprzeczki dla osiągnięcia większych zysków. To oczywiście błędne koło, bo przecież chodzi o to, aby nieustannie przekraczać kolejne granice, co zawsze premiuje najbardziej wulgarne i prymitywne zachowania. Żyjemy w czasach, w których naruszanie wszelkich norm stało się atrakcyjnym finansowo sposobem na życie, szeroko promowanym wśród młodych ludzi.

ROSYJSKI TROP

Warto zauważyć, że o ile walki MMA – też przecież skierowane do niewyrafinowanej publiczności – przybyły do nas z Ameryki, o tyle freak fighty – może niebezpośrednio – docierały do nas również zza wschodniej granicy. To właśnie w Rosji działają najpotężniejsze federacje freak fightowe, a organizowane tam walki mają znacznie bardziej barbarzyński charakter niż w Polsce. Bywały już starcia w budce telefonicznej, bijatyki czterech osób z zawiązanymi oczami, pojedynki gwiazdek porno z trzęsącymi się emerytami, dziadka z wnukiem – wszystko, czego prymitywna gawiedź zapragnie.

Nie jest wielką tajemnicą, że rosyjski freak fight ma związki z tamtejszą przestępczością zorganizowaną, która z kolei – co również nie powinno nikogo dziwić – często działa w komitywie z władzą i ze służbami specjalnymi.

Z polskiego punktu widzenia dość pouczająca jest historia High League – jednej z kilku federacji freak fightowych, która pojawiła się u nas w 2021 r., a zatem niespełna rok przed wybuchem wojny na Ukrainie. W maju 2023 r. jej działalność została zawieszona decyzją ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego ze względu na współudziałowców spółki, którzy byli obywatelami Rosji pochodzenia czeczeńskiego. Rodzeństwo Edelbiewów, mających większość udziałów w High League, miało utrzymywać kontakty z czeczeńskim watażką Ramzanem Kadyrowem.

> Mówi się, że popularność freak fightów powoli spada, widownia już się nasyciła i znudziła, więc niewiele może ją jeszcze zaskoczyć. Strach pomyśleć, co będzie następne

Sami zainteresowani zaprzeczali temu. Nie da się jednak ukryć, że Kadyrow kontroluje – za pośrednictwem swoich ludzi – sporą część rynku freak fightów w Rosji, a Czeczeni stanowią w tym środowisku dość wpływową grupę. Nie wiadomo zresztą, czy zawsze chodzi o zyski finansowe lub pranie brudnych pieniędzy. Rosjanie mogą wykorzystywać takie struktury również w innych celach. Ostrożność – nawet jeśli na wyrost – jest tu zatem całkowicie uzasadniona.

WTÓRNA BARBARYZACJA

Ogromna popularność freak fightów w Rosji powinna nas niepokoić również z innego powodu. To społeczeństwo w dużej mierze sterroryzowane i zdeprawowane, które – jak pokazała wojna na Ukrainie – ponownie grzęźnie dziś w barbarzyństwie. Jego zamiłowanie do prostackiej i brutalnej rozrywki może stanowić dobrą miarę upadku cywilizacyjnych norm. „Pokaż mi, co cię bawi, a powiem ci, kim jesteś" – można sparafrazować znane powiedzenie.

Jeżeli w Polsce znajdujemy dziś dziesiątki tysięcy ludzi gotowych płacić spore pieniądze za oglądanie wulgarnych patusów okładających się wzajemnie, oznacza to, że do najgorszych standardów ze wschodu nie jest nam tak daleko, jak mogłoby się wydawać. I że ulegamy barbarzyństwu w niebezpiecznie szybkim tempie.

Oczywiście większość młodych ludzi oglądających freak fighty odpowie nam, że robi to dla żartu. Że to bardzo zabawne, jak młoda pani kopie starszego pana albo znany influencer obrywa po nosie od „aktora w niedużych rolach". I można pokładać się ze śmiechu, gdy wszyscy obrzucają się najbardziej wulgarnymi wyzwiskami.

To zapewne kolejny przejaw infantylizacji kultury masowej (choć w tym przypadku właściwsze byłoby określenie: antykultura). Coraz młodszy odbiorca – głównie dzięki sile mediów społecznościowych – narzuca własne, coraz niższe standardy. Przy czym ta infantylizacja idzie w parze z rosnącą wulgarnością i brutalnością. Niekoniecznie dlatego, że młodzi ludzie są brutalni (wydaje się, że jest przeciwnie), ale z tego powodu, że niczego nie traktują dziś poważnie. Wszystko jest grą i dobrą zabawą. Nawet bijatyka, rozlew krwi czy śmierć, które tyle razy widzieli na ekranach swoich smartfonów, mogą być zabawne. Bo przecież wszystko jest na niby. Tak im się przynajmniej wydaje.

To paradoks, że internet, który miał poszerzać horyzonty, cofa społeczeństwa w rozwoju. Freak fighty to tylko jeden z przejawów tego zjawiska. Mówi się, że ich popularność powoli spada, widownia już się nasyciła i znudziła, więc niewiele może ją jeszcze zaskoczyć.

Strach pomyśleć, co będzie następne. Bo aby interes nadal się kręcił, trzeba przekraczać kolejne granice.

eprasa.pl 15f21a2a10

Wojna, czyli gra niepewnością

Pożar rosyjskiej rafinerii w Tuapse po ataku ukraińskich dronów

Fot. Boris Morozov/Imago/East News

MAREK BUDZISZ

Czy narastające podziały w rosyjskim obozie władzy, pogarszające się nastroje społeczne i słabnąca koniunktura gospodarcza mogą być argumentami za tym, że wojnę trzeba kończyć szybko? Jakie decyzje zapadną na Kremlu, jeszcze nie wiadomo. Być może zdecyduje o tym fala ataków Ukrainy na zaplecze gospodarcze Rosji

Tegoroczne obchody 9 maja w Moskwie z pewnością nie przypominały poprzednich. Nie pojawiły się czołgi ani pojazdy opancerzone, a mieszkańcy rosyjskiej stolicy nie mogli korzystać z mobilnego internetu, który już od pewnego czasu „profilaktycznie" słabo działał. Jak napisał portal Ważne Historie, deputowani do Dumy Państwowej nie zostali zaproszeni na trybunę honorową, bo Putin – i to kolejna ciekawa informacja z rosyjskiej stolicy – obawia się zamachu stanu. O jego obsesji i strachu pisała ostatnio cała europejska prasa, powołująca się na raport wywiadu jednego z państw NATO, którego autorzy sformułowali tezę, że rosnące podziały w rosyjskiej elicie władzy mogą doprowadzić do próby obalenia Putina.

eprasa.pl 15f21a2a10

KTO SKORZYSTA NA POGARSZAJĄCYCH SIĘ NASTROJACH

Ciekawe rzeczy dzieją się też w rosyjskiej polityce. W świetle ostatnich sondaży Putin ma najniższe poparcie od lutego 2022 r., a w rankingu partii na drugie miejsce wysunęła się formacja Nowi Ludzie Aleksieja Nieczajewa. Według badania przeprowadzonego przez WCIOM, oficjalny ośrodek demoskopijny, cieszy się ona poparciem 13,4 proc. wyborców, a Jedna Rosja, główna siła polityczna partii władzy, mająca większość konstytucyjną, może liczyć na 27,7 proc. głosów i od grudnia straciła niemal 10 proc.

Nie oznacza to, że we wrześniu, kiedy zaplanowane są wybory do Dumy, Rosję czeka rewolucja przy urnach. Raczej nic się nie zmieni, ale już sam fakt publikacji takich sondaży świadczy zarówno o pogarszających się nastrojach – zwłaszcza w wielkich miastach – jak i pęknięciach w obozie władzy.

Nowi Ludzie to żadna nowa siła. Została powołana do życia przez kremlowskich technologów władzy, którymi zarządza Jurij Kowalczuk, w 2019 r., kiedy chodziło o osłabienie możliwości wyborczych Jabłoka – liberalnej, zwracającej się do wielkomiejskiego elektoratu formacji Grigorija Jawlińskiego. Dwa lata później z trudem pokonała ona barierę 5 proc., a w wyborach do moskiewskiej Dumy, mimo że wystawiła kandydatów we wszystkich okręgach, zdobyła 1 mandat na 45, o które toczyła się gra. W Dumie Państwowej jest dziś najmniejszą – dysponującą 15 mandatami – siłą polityczną.

Piszący o fenomenie Nowych Ludzi portal Viorstka przywołuje opinie anonimowych ekspertów. Jeden z nich mówi, iż wzrost tej słabo do tej pory widocznej partii wynika z tego, że „w większym stopniu niż inni przypominają oni ludzi", a inny zwraca uwagę, że badania przeprowadzono przede wszystkim w dużych miastach, bo na prowincji sympatie rozkładają się inaczej. Głosy te mogą potwierdzać tezę o pogarszających się nastrojach w miastach, jak i tę, że ktoś w obozie władzy może być zainteresowany tego rodzaju „kontrolowanymi przeciekami", za które można uznać publikację sensacyjnych wyników badań opinii publicznej.

Nastroje chyba rzeczywiście się pogarszają, bo każdy w Rosji już widzi, że wojna nie ma końca, władze majstrują przy internecie, a sytuacja gospodarcza nie wygląda różowo. Ten rok najprawdopodobniej zakończy się recesją, na co zwrócił uwagę sam Putin w trakcie spotkania z liderami biznesu i przedstawicielami rządu, nakazując przedstawienie strategii pobudzenia koniunktury. Co prawda budżet uda się zapewne zrównoważyć, bo po pierwszym kwartale, który zakończył się większym niż planowano deficytem, przyszła wojna z Iranem, oznaczająca dla Rosji większe dochody z eksportu ropy, ale nastroje znacząco się pogorszyły.

ATAK Z MONAKO

Uderzenie w narrację władzy o rychłym zwycięstwie przyszło z najmniej oczekiwanej, niepolitycznej strony. Blogerka modowa, influencenka i gwiazda rosyjskiego Instagramu Wiktoria Bonia nagrała wystąpienie bezpośrednio adresowane do Władimira Putina. Zdobyła ona popularność, biorąc udział w przeszłości w popularnym reality show, a obecnie mieszka w Monako. Ale jej profil śledzi 13 mln Rosjan, co nadało temu wystąpieniu publiczny wymiar. Drugim był wściekły atak propagandystów w rodzaju Władimira Sołowiowa, którym nie przypadło do gustu to, co powiedziała. Jej przesłanie dla Putina było proste – naród się ciebie boi, jesteś okłamywany przez urzędników i w kraju dojrzewa bunt. Biznes umiera, a po tym, jak władze zaczęły blokować internet, ludzie myślą wyłącznie o tym, jak wyjechać z Rosji. Między Putinem a narodem „jest ściana" – stwierdziła. W ciągu tygodnia jej nagranie obejrzano 30 mln razy, a 116 tys. osób zdecydowało się podać je dalej.

Roman Anin, redaktor naczelny portalu Ważne Historie, napisał, iż wszyscy już wiedzą, że wojny nie można wygrać, co wpłynęło na pogorszenie nastrojów, a dodatkowo w elitach władzy „rozpoczęła się walka klanów" na tym tle.

Sprawdzając doniesienia na temat tego, że Putin boi się zamachu, który miałaby przeprowadzić armia – a personalnie były minister obrony Szojgu – dziennikarze tego portalu napisali, że udało im się potwierdzić doniesienia w kilku niezależnych źródłach. Rzeczywiście, została wzmocniona ochrona przestrzeni powietrznej wokół rezydencji Putina, służby zaczęły intensywniej podsłuchiwać i śledzić ludzi z szeroko rozumianego obozu władzy, a stykający się z rosyjskim prezydentem przechodzą bardziej skrupulatne „badania" niż w przeszłości.

ROSJANIE W DEFENSYWIE

W kwietniu Rosjanie po raz pierwszy od trzech lat stracili na Ukrainie więcej terenu, niż byli w stanie zająć. Płk Markus Reisner, wykładowca w austriackiej wyższej szkole wojskowej, mówi o „ukraińskim cudzie" i podkreśla, że „Ukraina znalazła sposób na powstrzymanie rosyjskiego natarcia. Osiąga to poprzez masowe użycie dronów, zdolnych do lokalizacji i neutralizacji nawet najmniejszych grup szturmowych". Doprowadziło to do utworzenia strefy śmierci o szerokości 50 km wzdłuż umownego frontu i zdaniem austriackiego eksperta jest to sytuacja korzystniejsza dla broniących się.

Z tego opisu nie wynika, że Ukraina wygrywa wojnę, tym bardziej że – jak ostrzegł w ubiegłym tygodniu prezydent Zełenski – latem Rosja ma zamiar rozpocząć kolejną dużą ofensywę. Zapewne odpierający ataki są też coraz bardziej zmęczeni. Jednak w tej fazie konfliktu można mówić o „remisie".

Sytuacja na froncie jest stabilna ze wskazaniem na Ukrainę, a dodatkowo już od kilku tygodni zarysowuje się względna równowaga, biorąc pod uwagę ataki rakietowe i przeprowadzane dronami dalekiego zasięgu. Jak obliczyli analitycy fundacji Powróćcie Żywi, od 2024 r. do kwietnia br. siły ukraińskie 65 razy zwiększyły swe zdolności do atakowania celów położonych na rosyjskich tyłach. O ile w styczniu 2024 r. wystrzelono z Ukrainy 110 dronów dalekiego zasięgu, o tyle w minionym miesiącu było ich już 7 tys. i liczba ta stale rośnie. Ukraińcy, którzy ostatnio na większą skalę zaczęli też używać pocisków manewrujących własnej konstrukcji, co pozwoliło im zaatakować rosyjskie firmy zbrojeniowe oddalone o 2 tys. km od granicy, wykorzystali to,

eprasa.pl 15f21a2a10

co do tej pory było uznawane za rosyjski atut, czyli ogromne przestrzenie tego kraju. Nie można bronić nieba nad całą Rosją, tym bardziej jeśli zdolności do zwalczania rakiet i dronów koncentruje się wokół rezydencji Putina i wielkich miast. To dlatego Zełenski, komentując ściąganie do rosyjskiej stolicy przed 9 maja systemów obrony antyrakietowej, powiedział, że „otwiera to dodatkowe możliwości", z których Ukraina zamierza skorzystać. Tym bardziej że w wojnie, która stała się testem odporności i wytrzymałości, Ukraina przeszła zimą najgorsze, a Rosja jeszcze nie.

W ostatnich tygodniach siły ukraińskie kilkakrotnie skutecznie zaatakowały rafinerię w Tuapse na wybrzeżu Morza Czarnego, a koszty odbudowy zniszczonych tylko w kwietniu instalacji do przetwórstwa i eksportu ropy naftowej w całej Rosji są szacowane na 5 mld dol. W wyniku wzrostu cen tego surowca na światowych rynkach wpływy Rosjan z tytułu eksportu węglowodorów w ostatnim miesiącu były wyższe o 10 mld dol., ale Ukraina – jak powiedział Zełenski – nałożyła w wyniku swych ataków „specjalny podatek" na te dochody.

Psychologiczny wymiar tego, co się dzieje po rosyjskiej stronie, jest trudny do oszacowania. Nawet oficjalne media piszą o „katastrofie ekologicznej" w Tuapse, gdzie „ropa naftowa spada niczym deszcz", nie ma czym oddychać, bo wszystko spowija czarny, gęsty dym, a mimo to władze informują, że wszystko jest pod kontrolą. Lokalna Duma zdobyła się nawet na akt odwagi i zaproponowała, aby 1 maja zakończyć rok szkolny lub wywieźć dzieci z zagrożonego rejonu, bo ataki ukraińskie się powtarzają, nie ma żadnej obrony, a schrony zostały przekształcone w sklepy i magazyny.

CZEKAJĄC NA PRZEŁOM

Aleksiej Kopytko, ukraiński analityk wojskowy i były doradca ministra obrony, napisał w „The Moscow Times", że „został miesiąc, aby się porozumieć" i zakończyć wojnę. Jego zdaniem obie strony znajdują się obecnie w strategicznym pacie i nie są w stanie rozstrzygnąć konfliktu na froncie. Późnym latem w Rosji będą już w najlepsze trwały przygotowania do wyborów do Dumy, a Amerykanie zajmą się kampanią do Kongresu. Wówczas ze względów politycznych nie będzie można prowadzić negocjacji pokojowych, co oznacza, że albo przełom osiągnie się teraz, albo wojna jeszcze potrwa. Siły ukraińskie też są już zmęczone i w opinii ukraińskiego eksperta mamy do czynienia z sytuacją „teraz albo nigdy".

W ostatnich tygodniach siły ukraińskie kilkakrotnie skutecznie zaatakowały rafinerię w Tuapse na wybrzeżu Morza Czarnego, a koszty odbudowy zniszczonych tylko w kwietniu instalacji do przetwórstwa i eksportu ropy naftowej w całej Rosji są szacowane na 5 mld dol.

W ocenach pojawiających się na Ukrainie informacje napływające z Rosji mogą świadczyć o tym, że tamtejszy reżim stoi przed podjęciem ważnych decyzji. W grę może wchodzić ogłoszenie kolejnej mobilizacji, za czym przemawiają nasilające się represje, blokady internetu i wprowadzenie kontroli na „wewnętrznej" granicy Rosji z Białorusią. Ale jest też druga linia interpretacji tego, co się dzieje w Moskwie. Narastające podziały w obozie władzy, pogarszające się nastroje społeczne i słabnąca koniunktura gospodarcza mogą być argumentami za tym, że wojnę trzeba kończyć szybko, bo podobnie jak ponad sto lat temu, w 1917 r., sytuacja wewnętrzna w Rosji szybko może się zacząć zmieniać. Już w kwietniu Jurij Uszakow, doradca Putina ds. polityki zagranicznej, powiedział, że „jeśli Zełenski podjąłby decyzję o wycofaniu się z Donbasu", „pozwoliłoby to rozwiązać wiele problemów" i relatywnie szybko zakończyć wojnę. Podobne tezy wygłosił niedawno niemiecki kanclerz, co wydaje się potwierdzać, iż trwające negocjacje doszły do momentu, w którym przełom może nastąpić w każdej chwili.

Tylko że Zełenski nie ma zamiaru z niczego rezygnować i dobrowolnie oddawać ukraińskich ziem. Gra twardo, ale także on musi się liczyć z ograniczeniami. Jak powiedział w rozmowie z portalem NV Bohdan Griszenkow, dowódca 12. Brygady Specjalnego Przeznaczenia Azow, „Ukraina przegrała mobilizację", więc walczący są już tak zmęczeni, że Zełenski pod presją zadeklarował, że jesienią zacznie się rotacja na froncie. Wycofanie najlepszych i najbardziej doświadczonych jednostek raczej nie poprawi sytuacji.

W dłuższej perspektywie, jeśli wojna miałaby potrwać jeszcze kilkanaście miesięcy, sytuacja Ukrainy nie wygląda dobrze. Jak napisał niedawno gen. Załużny, były dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy, „z powodu przesunięcia celów strategicznych na zniszczenie gospodarki, zniszczenie infrastruktury i osłabienie odporności ludności wskutek ataków na obiekty cywilne następuje całkowite zatarcie granic między frontem a tyłami; całe terytorium państwa, a niestety też cała ludność, staje się strefą działań wojennych". Co ciekawe, podobne tezy formułują także rosyjscy eksperci w rodzaju Dmitrija Trenina, piszącego o przesunięciu punktu ciężkości współczesnej wojny z frontu na tyły.

Współczesny konflikt, w tym wojna ukraińsko-rosyjska, staje się „pojedynkiem odporności", testem, ile są w stanie wytrzymać społeczeństwa walczących krajów. Jest też grą niewiadomych czy asymetrii informacyjnej. Po bardzo ciężkiej zimie Zełenski wie, ile znieśli Ukraińcy, ale Putin nie może być pewny postawy Rosjan. I tą niepewnością gra obecnie ukraiński przywódca.

eprasa.pl 15f21a2a10

Berlin z Trumpem i przeciw Trumpowi

Dziwny brak konsekwencji objawiła ostatnio transatlantycka strategia niemieckiego kanclerza

JAN ROKITA

Jeszcze do niedawna wydawało się, że w Europie Zachodniej kto jak kto, ale kanclerz Niemiec Friedrich Merz jest niczym kamień węgielny politycznej i militarnej solidarności z Ameryką.

Ów skrajnie atlantycki sposób myślenia był zresztą zawsze – jeszcze od czasu Adenauera – mocno zakorzeniony w myśli politycznej niemieckiej chadecji, a zwłaszcza jej konserwatywnego skrzydła, które współcześnie ma uosabiać właśnie Merz. To zresztą sprawiało, że konserwatyści z prawego skrzydła CDU byli uważani za ważnych politycznych przyjaciół Polski, tradycyjnie prowadzącej politykę proamerykańską. O ile za rządów Angeli Merkel konflikt Niemiec z Donaldem Trumpem (odkąd po raz pierwszy objął

Fot. White House

Autopromocja

eprasa.pl 15f21a2a10

on prezydenturę USA) był niemal permanentny, to od chwili, gdy w Berlinie nastała era Merza, wszystko zmieniło się niemal z dnia na dzień.

NAJLEPSZY SOJUSZNIK

Merz objął władzę rok temu – w maju 2025 r., a już w czerwcu pielgrzymował do Białego Domu, gdzie Trump publicznie wychwalał go jako świetnego przywódcę całej Europy. A kanclerz obdarowywał go oprawioną w ramki kopią aktu urodzenia dziadka – Friedricha Trumpa w 1869 r. w ówcześnie bawarskim Palatynacie, co miało być oczywistym symbolem organicznej więzi łączącej prezydenta z niemiecką praojczyzną.

Niedługo później w związku z nową doktryną militarną ogłoszoną przez USA w Berlinie i Waszyngtonie coraz częściej spekulowano na temat wspólnych planów takiego przekształcenia sojuszu NATO, aby to Niemcy – najlepiej w porozumieniu z Polską – wzięły na siebie ciężar obrony Europy i tutaj też została skoncentrowana przyszła amerykańska obecność wojskowa. Amerykańska dyplomacja sugerowała nawet publicznie, iż czeka na niemieckiego kandydata na funkcję głównego dowódcy NATO w Europie, stanowiska zarezerwowanego dotąd dla czołowych generałów amerykańskich. Cały ten koncept nazwano (jak ostatnio jest w modzie) „NATO 3,0" albo „doktryną Colby'ego" – od nazwiska amerykańskiego wiceministra wojny. Nawiasem mówiąc, nie tak dawno Jarosław Kaczyński wspominał o tych wspólnych planach Trumpa i Merza, niesłusznie upatrując w nich jakiegoś poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski.

Kiedy w tym roku wybuchła wojna perska, Merz stanął po stronie Ameryki i Izraela wyraźniej niźli którykolwiek z przywódców dużych państw europejskich. Podczas gdy hiszpański premier Sánchez wygrażał Ameryce konsekwencjami z powodu „przestępczej agresji", a prezydent Francji Macron celowo narażał na niebezpieczeństwo startujących z Anglii pilotów US Air Force, zamykając przed nimi francuską przestrzeń powietrzną, Merz bez rozgłosu i bez szemrania uznał bazy NATO w Niemczech z Ramstein na czele za punkty startowe dla amerykańskich samolotów bombardujących Iran. I to mimo że ekonomiczne skutki wojny wypowiedzianej przez Trumpa były mu wyjątkowo nie na rękę, a nagły skok cen energii i paliw walnie przyczynił się do destrukcji i tak już kiepskiej pozycji kanclerza na niemieckiej scenie politycznej.

Idąc do władzy, Merz obiecał Niemcom spadek cen energii i obniżkę podatków energetycznych. Ale za sprawą wojny stało się odwrotnie, nie dziwota więc, że notowania kanclerza w niemieckich sondażach opinii spadły na dno, do poziomu (jak twierdzą tamtejsze media) nienotowanego dotąd w dziejach RFN: 83 proc. przeciwników, 15 proc. zwolenników. To nawet gorzej niż w przypadku Macrona znienawidzonego przez lud francuski.

ATAK MERZA I REAKCJA USA

I nagle 27 kwietnia 2026 r., kiedy kanclerz odwiedzał gimnazjum w miasteczku Marsberg, położonym w Westfalii, stało się coś dziwnego. W Niemczech spore symboliczne znaczenie ma tzw. Ogólnokrajowy Dzień Unii Europejskiej (EU-Projekttag), a czołowi politycy zwykli rozjeżdżać się wówczas do prowincjonalnych miasteczek, aby dyskutować z uczniami na temat Unii Europejskiej i jej rozlicznych dobrodziejstw dla danego regionu.

Tego dnia Merz rozmawiał na te tematy z kilkuset uczniami marsberskiego Gimnazjum im. Karola Wielkiego, kiedy nagle zszedł na bieżącą politykę światową, obwiniając Trumpa za „przystąpienie do wojny bez jakiejkolwiek strategii" i opowiadając uczniom o tym, jak „upokorzony został cały naród amerykański".

Trudno orzec, co strzeliło kanclerzowi do głowy, aby frontalną polemikę z Trumpem rozpocząć akurat w szkole w Marsbergu. To mniej więcej tak jakby Tusk w trakcie wizyty w liceum w Końskich (identyczna liczba ludności) postanowił zmienić polityczny front i oskarżyć – powiedzmy – panią von der Leyen o bezmyślność i o to, że jej polityka prowadzi do upokorzenia całej Europy. Dziwne by to było, nieprawdaż?

W każdym razie reakcja prezydenta USA była gwałtowna: „Merz nie wie, co mówi i nic dziwnego, że Niemcom wszystko idzie tak źle". A zaraz potem przyszła decyzja Pentagonu o ograniczeniu amerykańskiego kontyngentu wojskowego stacjonującego w Niemczech, co wzbudziło publiczny wybuch rozpaczy burmistrza bawarskiego miasteczka Vilseck, skąd ma odejść 5 tys. żyjących tam Amerykanów.

Ta reakcja Ameryki jest tym bardziej zrozumiała, jeśli zważyć, że informację o słowach Merza Trump otrzymał akurat wtedy, gdy kilka godzin wcześniej buńczucznie zapewnił Amerykanów, iż w wojnie z Iranem „USA mają wszystkie karty", a jak Teheran będzie chciał rozmawiać, to „mogą do nas przyjechać albo zadzwonić". A tu nagle słyszy od najlepszego sojusznika o „wojnie prowadzonej bez strategii" i o „upokorzeniu narodu amerykańskiego"!

W niemieckich mediach pojawiły się próby psychologicznego wyjaśnienia zachowania kanclerza, które zbiegły się z tekstami o sylwetce politycznej Merza, przygotowywanymi na pierwszą rocznicę jego urzędowania, przypadającą na 6 maja. Obszerny esej opublikowany przez „Politico" charakteryzuje Merza jako choleryka, który łatwo się wpienia i przeklina, wybucha emocjami i mówi wtedy bez ogródek to, co naprawdę leży mu na wątrobie. Autor dodaje w dość sarkastycznym tonie: „W rzeczywistości za słowami Merza nie kryje się często żaden inny cel poza autosabotażem".

Jest tu coś na rzeczy, bo swoją szczerością Merz czasem naprawdę niszczy efekty własnej pracy. W tym kontekście przypomina się zazwyczaj ubiegłoroczną, daleką podróż kanclerza na szczyt klimatyczny COP w brazylijskim Belém,

NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 15f21a2a10

która wszystkich trochę dziwiła, bo tym razem konferencję tę, z roku na rok tracącą znaczenie, sabotowali główni światowi przywódcy. Wydawało się, że Merz wybrał się tam po to, by nawiązać relacje z lewicowymi władzami Brazylii. Tyle tylko, że wracając do Europy, kanclerz z sarkazmem pytał dziennikarzy, czy ktoś z nich chciałby dłużej zostać w tej koszmarnej brazylijskiej metrpolii, bo chyba wszyscy – tak jak on – są szczęśliwi, że mogą szybko wrócić z okropnej Brazylii do pięknych Niemiec. Lewicowy prezydent Lula dostał szału, jak usłyszał tę opinię. Sytuacja psychologicznie podobna do tej ze szkoły w Marsbergu.

IDEALIZOWANE POLITYCZNE CENTRUM

Przyznam, że nie znam się na psychice niemieckiego kanclerza, a przyczyny konfliktu z Ameryką, który Merz teraz sprowokował, leżą w moim przekonaniu w polityce, a nie w psychologii. Nie tak dawno, podczas lutowej konferencji CDU w Stuttgarcie, kanclerz oznajmił członkom swojej partii, iż podjął „ostateczną decyzję o poszukiwaniu poparcia dla naszej polityki wyłącznie w centrum". Po czym dodał: „W tej chwili ogranicza nas to do koalicji z SPD". A podczas którejś z narad czarno-czerwonej niemieckiej koalicji Merz apelował do swoich partnerów o programowe ustępstwa, argumentując, iż w ten sposób „dadzą ostatnią szansę centrowej polityce".

Owa obsesja „bycia w centrum" odcisnęła piętno na całym roku rządów Merza. Tymczasem wszyscy pamiętają, że objął on przywództwo CDU i został wybrany na kanclerza jako zawzięty krytyk obsesyjnie centrowej polityki Angeli Merkel, której zarzucał pogardę dla idei i brak respektu dla konserwatywnej tradycji niemieckiej chadecji. A potem jako kanclerz stał się bardziej „merkelowski" od swej chadeckiej poprzedniczki.

Merz chciałby, aby jego rząd w każdej sprawie był „pośrodku". A to skazuje go albo na sprzeczne nawzajem deklaracje typu raz to, a raz tamto, albo na ciągłą i rosnącą rozbieżność pomiędzy deklarowanymi celami i realnie prowadzoną polityką.

Werbalnie Merz jest np. twardo antyimigracyjny, co sugerowałoby totalne zaprzeczenie polityki lewicowego rządu Olafa Scholza. Ale zarazem tak bardzo boi się zbliżenia do prawicowej AfD, że na dobrą sprawę niemiecka polityka prawie się nie zmieniła w kwestii imigracji.

Podobnie rzecz się ma z fundamentalnym dla przyszłości Niemiec planem wyrwania z impasu gospodarki przez liberalizację. Jeśli słuchać Merza, to raz brzmi on niemal tak jak odległy historycznie głos lady Thatcher, wzywającej do uwolnienia energii biznesu. Ale kiedy dłużej posiedzi na negocjacjach ze swym lewicowym zastępcą, wicekanclerzem Larsem Klingbeilem, to wychodzi z nich jako socjalista broniący stałego wzrostu płacy minimalnej albo tłumiciel buntu młodych chadeków, którzy nie chcą się godzić na utrzymywanie na długie lata gwarancji i tak wysokiej siły nabywczej niemieckich emerytur.

> Kanclerz chciałby, aby jego rząd w każdej sprawie był „pośrodku". A to skazuje go na sprzeczne nawzajem deklaracje typu raz to, a raz tamto. To zgubi Merza nie tylko jako przywódcę Niemiec, lecz także jako przywódcę Europy

Dokładnie tak samo jest z podejściem kanclerza do zachodniego sojuszu wojskowego i mocarstwowych dążeń Ameryki. W przeciwieństwie do Macrona czy Sáncheza Merz nie chciałby konfliktu z Ameryką, a rola jedynego wiarygodnego „plenipotenta" USA w Unii, dająca mandat do politycznego przywództwa w Europie, bardzo by mu odpowiadała. To zresztą zdumiewające, z jaką determinacją kanclerz wykonuje jedno, najbardziej kategoryczne żądanie Trumpa, którego nie chciała spełnić Angela Merkel: uzbrojenia Niemiec. To zresztą chyba jedyna rzecz, w której faktycznie wykazuje konsekwencję, być może dzięki temu, że dla polityki forsownych zbrojeń, skrajnie niepopularnej na niemieckiej lewicy, zdobył cennego sojusznika – socjalistycznego ministra Borisa Pistoriusa, który jest ideowym odszczepieńcem własnej partii, ale zarazem najpopularniejszym obecnie niemieckim politykiem. Dlatego pozwolił na włączenie niemieckich baz NATO do wojny perskiej, przyłączył się do potępień Trumpa wobec zdradzieckiej polityki lewicowych władz Hiszpanii i gotów był pracować z Amerykanami nad projektem Colby'ego.

Ale jednocześnie Merz najwyraźniej nie ma ochoty, aby zetrzeć się ze swoim koalicyjnym partnerem w obronie amerykańskiej polityki ani tym bardziej perswadować zwykłym Niemcom – nauczonym przez media nienawiści do Trumpa – że egzystencjalnym interesem Republiki Federalnej jest utrzymanie ścisłej więzi transatlantyckiej. Europa jest ogólnie wroga wobec amerykańskiej interwencji w Iranie i ze swoistą Schadenfreude wyczekuje tylko, aby Trumpowi powinęła się noga podczas tej wojny.

Dziś Merz i tak jest na tyle niepopularny w swoim kraju, że mógłby sobie pozwolić na bardziej stanowczą, proamerykańską linię, która na europejskiej scenie uczyniłaby zeń przywódcę wyraźnie alternatywnego wobec lewicowych liberałów, takich jak Macron, Sánchez czy nawet Starmer. Ale kanclerz jest już chyba do tego niezdolny, gdyż jedyny strach, jaki go ciągle ogarnia, to strach przed obsunięciem się z idealizowanego centrum w jakieś wyimaginowane ekstremizmy. Jego polityka nieustannie przybiera więc kształt: raz to, a raz tamto. To oczywiście zgubi Merza nie tylko jako przywódcę Niemiec, lecz także jako przywódcę Europy. I to niestety czyni go także kiepskim partnerem dla Polski, a zwłaszcza dla polskiej prawicy.

eprasa.pl 15f21a2a10

Podstawowym zadaniem naszej organizacji jest pomoc Kościołowi prześladowanemu, aby mógł trwać, prowadzić swoją misję, głosić Ewangelię, aby chrześcijanie mogli swoim życiem przekazać dobrą nowinę

Dramat chrześcijan w zobojętniałym świecie

Z ks. Janem Żelaznym, dyrektorem sekcji polskiej papieskiego stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie, które wspiera chrześcijan na Bliskim Wschodzie i w innych regionach świata, rozmawia Goran Andrijanić

Sytuacja na Bliskim Wschodzie z każdym dniem staje się coraz bardziej dramatyczna. Które obszary kryzysowe są obecnie najtrudniejsze, zarówno dla ogółu społeczeństwa, jak i dla samych chrześcijan?

Ks. Jan Żelazny: Trudno powiedzieć, gdzie jest najtrudniej, bo wszędzie jest źle, czasami nawet tragicznie.

Może zacznijmy od Syrii, o której w ostatnim okresie mało się wspomina.

Dlaczego nie. Syryjscy chrześcijanie coraz głośniej mówią, że następuje „afganizacja" tego kraju. Interesy wielkich mocarstw związane z szansą na budowę ropociągu poprzez terytorium Syrii spowodowały, że zachodnie państwa przymykają oczy na coraz trudniejszą sytuację chrześcijan. Powoli, ale konsekwentnie wprowadzane są prawa ściśle muzułmańskie, dyskryminujące ludność chrześcijańską, począwszy od obowiązkowego islamu i obecności nauczyciela muftiego w szkole po ograniczenia dotyczące różnego typu aktywności chrześcijan. To wszystko pokazuje, że sytuacja wyznawców Chrystusa w tym kraju jest coraz trudniejsza.

A jak jest w Libanie?

Tam jest dramat. Gwałcąc wszystkie możliwe prawa międzynarodowe, Izrael na siłę tworzy strefę buforową. W konsekwencji jej mieszkańcy, w tym chrześcijanie, zostali zmuszeni do jej natychmiastowego opuszczenia. Wioski są niszczone, konwoje humanitarne nie są wpuszczane, a więc *de facto* nastąpiła aneksja tego fragmentu terytorium kraju. Kiedy rozmawiam z Libańczykami, pytają: „Co to za demokratyczne państwo, które wchodzi na nasz teren i niszczy nam wszystko?". To prawda, że Hezbollah z tamtego regionu atakował Izrael, ale warto podkreślić, że obecny rząd w Libanie zrobił wszystko, co możliwe – jak nikt do tej pory – w celu ograniczenia możliwości działania tej organizacji.

Idziemy dalej...

Jeśli chodzi o Ziemię Świętą, sytuacja ekonomiczna jest coraz trudniejsza. Praktycznie rzecz biorąc chrześcijanie mieszkający na Zachodnim Brzegu Jordanu mają bardzo ograniczone możliwości pracy. Dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze,

Fot. Pomoc Kościołowi w Potrzebie

eprasa.pl 15f21a2a10

Izrael na wzór krajów arabskich w dużym stopniu wykorzystuje siłę roboczą z krajów azjatyckich, nie zapewniając jej żadnej opieki socjalnej. To powoduje, że zapotrzebowanie na pracę nie jest specjalnie duże. Jednocześnie ruch turystyczny, z którego przede wszystkim żyli, praktycznie został wstrzymany.

Wróćmy do Libanu. Niedawno byliśmy świadkami zniszczenia figury Jezusa Chrystusa przez żołnierza IDF. Jak ksiądz to komentuje?

Jeżeli wziąć pod uwagę reakcję władz izraelskich i potępienie przez nie tego czynu, można powiedzieć, że normy zostały zachowane. Wszędzie mogą się zdarzyć różnego typu sytuacje, w których władza nie do końca kontroluje swoich żołnierzy podczas konfliktów zbrojnych. To znane zjawisko. Ale chrześcijanie z Libanu mówią raczej o czymś innym. W izraelskim wojsku panuje zakaz używania telefonów komórkowych i publikowania postów w mediach społecznościowych. Wbrew temu pojawiają się tak drastyczne zdjęcia jak to z profanacją figury krzyża Chrystusa, i to kilka dni po tym, gdy został ostrzelany konwój humanitarny jadący na południe Libanu. Pamiętajmy, że w tym ostrzale zginęli także żołnierze francuscy. Ale świat zaczął mówić nie o tym, że blokowana jest pomoc humanitarna, że południe Libanu powoli zaczyna się zmieniać w Strefę Gazy – wszyscy donoszą tylko o zniszczeniu figury. Prawdę mówiąc, w Libanie traktuje się ten akt jako prowokację, która miała na celu przykrycie trudnej sytuacji.

Spójrzmy szerzej. Co jest w tej chwili główną przyczyną niestabilności na Bliskim Wschodzie? Wielu uważa, że wynika ona z agresywnej polityka Izraela, o której ksiądz mówi.

Wydaje mi się, że próba sprowadzenia wszystkiego tylko do jednej rzeczy i mówienia, że przyczyną stało się to czy tamto, jest dość dużym uproszczeniem. Może to wygodne, ma jednak niewiele wspólnego z prawdą. Faktem jest, że polityka – może nie Izraela, ale premiera Binjamina Netanjahu – rzeczywiście jest w tym momencie jednym z głównych czynników destabilizujących. Ale proszę pamiętać, że tak naprawdę kraje Bliskiego Wschodu są uwikłane w rozgrywki mocarstw, także o charakterze ekonomicznym. I są ofiarami tych rozgrywek.

Przyczyna destabilizacji jest zatem związana z dążeniem człowieka do maksymalizacji zysków i osiągnięcia własnych celów, bez zwracania uwagi na koszty innych ludzi. Chodzi o sposób działania, który jest niezgodny z podstawowymi kanonami moralnymi. I to stanowi główną przyczynę kryzysu. Poza tym wydaje mi się, że w dużym stopniu jest to także kwestia pewnego typu zobojętnienia na jawne łamanie podstawowych praw człowieka. Niestety przyzwyczailiśmy się już do tego. A to wszystko powoduje, że kolejne rzeczy niestety nie budzą w nas emocji. Sprawdzają się słynne słowa przypisywane Stalinowi, że śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć dwóch ludzi to wielka tragedia, ale dziesięciu to już tylko statystyka.

> Kiedy rozmawiam z Libańczykami, pytają: „Co to za demokratyczne państwo, które wchodzi na nasz teren i niszczy nam wszystko?”. To prawda, że Hezbollah z tamtego regionu atakował Izrael, ale warto podkreślić, że obecny rząd w Libanie zrobił wszystko, co możliwe – jak nikt do tej pory – w celu ograniczenia możliwości działania tej organizacji

Działa ksiądz również w Nigerii, gdzie Boko Haram prześladuje chrześcijan. Jaka panuje tam sytuacja?

Sytuacja w Nigerii jest szczególnie wielowątkowa i trudna. Spotykamy tam wszystkie formy prześladowania chrześcijan, a jednocześnie na południu tego państwa cieszą się oni jeszcze dość dużą wolnością. W środkowym pasie tego kraju na skutek zmian klimatycznych następuje stepowienie, które powoduje, że muzułmańscy fulani tracą swoje pastwiska. To oni atakują chrześcijan, a powodem ich agresji są kwestie ekonomiczne, walka o nowe tereny wypasu stad. Społeczność muzułmańska na siłę szuka swojego miejsca w tej sytuacji. Kosztem naszych współbraci.

Północny zachód tego kraju jest pełen gangów, które porywają ludzi dla okupów, a najczęściej uprowadzani są wyznawcy Chrystusa. Ale zdarzają się przypadki, że sami chrześcijanie uczestniczą w tych porwaniach, więc sytuacja jest bardzo dziwna.

Proszę pamiętać, że Nigeria to kraj składający się z 19 stanów, które mają autonomię i własne konstytucje, często różniące się zapisami. Stany na północy przyjęły szariat, inne nie.

Ale mamy tam do czynienia z dużą aktywnością organizacji terrorystycznych.

To dotyczy północnego zachodu, gdzie rzeczywiście działa Boko Haram. Celem tej organizacji jest stworzenie kalifatu

Fot. Pomoc Kościołowi w Potrzebie

eprasa.pl 15f21a2a10

islamskiego, jest ona wspomagana przez ośrodki z innych krajów muzułmańskich. Oni prowadzą swoisty dżihad, zmierzający do przemiany tego terenu w kraj czysto muzułmański. Mamy tam do czynienia z aktami wymierzonymi bezpośrednio w ludzi wierzących, bardzo silne ataki w Kościół, a także w infrastrukturę kościelną. W niektórych stanach wprowadzono zakaz studiowania medycyny i prawa przez chrześcijan, który z punktu widzenia współczesnego człowieka wygląda absurdalnie. Jak można mówić o prawach człowieka, kiedy państwo oficjalnie ogranicza możliwość studiowania medycyny? Pokazuje to stopień dyskryminacji naszych współbraci na tamtym terenie.

Czy wasza organizacja skupia się wyłącznie na pomocy charytatywnej chrześcijanom, czy staracie się również udzielać pewnego rodzaju wsparcia duszpasterskiego?

Wspieramy życie Kościoła. Chodzi o to, aby Ewangelia mogła być głoszona, aby ludzie mogli spokojnie żyć, uczyć się i rozwijać. Stąd nasza pomoc ma wymiar charytatywny, ale przede wszystkim zależy nam na tym, aby wspierać istnienie Kościoła i jego wspólnoty. Są to inicjatywy dotyczące np. szkolnictwa, pomocy w przygotowaniu katechetów, a także szpitali. Jest to pomoc w tworzeniu miejsc, w których chrześcijanie mogą się spokojnie gromadzić i działać. I nie chodzi tylko o kwestie dotyczące jakichś działań społecznych, lecz także religijnych.

Proszę pamiętać, że w naszym kraju w każdym kościele wybudowanym po latach 80. znajduje się kilka cegieł, które zostały ufundowane przez Pomoc Kościołowi w Potrzebie. Naszym zadaniem jest przede wszystkim wspieranie życia Kościoła, ale pojętego nie tylko jako budynki i duchowieństwo, lecz przede wszystkim jako wspólnota ludzi, którzy razem idą do Chrystusa. Którzy razem chcą się modlić i pracować, a także normalnie żyć, swoim życiem chcą głosić Ewangelię Chrystusa. I to jest podstawowy cel działalności naszej organizacji. Pomóc w tych miejscach, w których prześladowani lub dyskryminowani chrześcijanie nie mogą sobie zorganizować życia. Takim jakim ono powinno być w pełni. W tym staramy się pomóc.

W Ziemi Świętej to kwestia pomocy w budowaniu szpitali. Na terenach afrykańskich to stawianie domów, w których dziewczęta mogą się nauczyć nie tylko Ewangelii, lecz także zdobyć zawód, by nie zostały zmuszone do pójścia na ulicę czy zawierania niechcianych związków małżeńskich.

Podstawowym zadaniem jest pomoc Kościołowi prześladowanemu, aby mógł trwać, prowadzić swoją misję, głosić Ewangelię, aby chrześcijanie mogli swoim życiem przekazać dobrą nowinę.

A marzeniem wszystkich jest – może zabrzmi to dziwnie – by Polska jako kraj, który otrzymał bardzo dużo pomocy, stała się jednocześnie państwem, które może pomagać innym.

Może warto powiedzieć kilka słów o historii PKWP. To organizacja, która w czasach komunizmu udzieliła Kościołowi w Polsce ogromnego wsparcia.

Organizacja została założona przez holenderskiego norbertanina Werenfrieda van Straatena, który po II wojnie światowej postanowił zorganizować pomoc dla przesiedlonych Niemców, także z terenów dzisiejszej Polski. Zwrócił się z tym przede wszystkim do Holendrów. Wszyscy uważali, że jest to z góry skazane na przegraną, że ludzie, którzy doświadczyli ogromu zbrodni hitlerowskich – także na tym terenie – nie będą chcieli pomagać Niemcom. Okazało się, że odpowiedź ludzi była bardzo duża.

W czasach komunizmu organizacja rzeczywiście zaczęła bardzo mocno pomagać w Polsce. Akcja, którą rozpoczął jeszcze ojciec Werenfried, to pomoc siostrom klauzurowym w Polsce. To trwa do dzisiaj. Pomagali także w powstawaniu parafii i podtrzymywaniu chrześcijańskiego szkolnictwa, po wojnie bardzo nielicznego. Tuż po upadku komunizmu organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie wsparła także odradzający się Kościół w jego inicjatywach duszpasterskich. Bardzo wielu Polaków skorzystało ze stypendiów, które były fundowane przez PKWP, co pozwoliło choć w części na odtwarzanie chrześcijańskiej, katolickiej inteligencji.

Po śmierci o. Werenfrieda papież Benedykt XVI postanowił nieco zmienić charakter tej organizacji. Stała się ona papieską fundacją – choć niezależną – a nadzór nad nią sprawuje Dykasteria do Spraw Duchowieństwa.

Na skutek zaszłości historycznych, a mówiąc dokładnie – pomocy ofiarodawców – nasze centrum znajduje się w Niemczech, ale większość pracowników to przedstawiciele wszystkich narodów świata. Dla mnie wizyta w naszym centrum jest spotkaniem z Kościołem mówiącym wszystkimi językami. Używamy między sobą języka angielskiego, ale mamy tu Wietnamczyków, Libańczyków, Francuzów. Szefem organizacji jest Irlandka Regina Lynch, sekretarzem organizacyjnym prowadzącym bieżącą działalność – Austriak, odpowiedzialnym za przyjmowane projekty jest Włoch, a szefem do spraw mediów – Hiszpanka. To wszystko pokazuje, w jak dużym stopniu PKWP, w której obecni są także Polacy, jest organizacją Kościoła powszechnego.

Fot. Pomoc Kościołowi w Potrzebie

eprasa.pl 15f21a2a10

Pokój Leonowy, czyli Pax Leoniana

Papież Leon XIV wypracowuje własną metodę zaprowadzenia pokoju, czyli zachowania jedności w mocno podzielonym Kościele. Czy mu się uda?

GRZEGORZ GÓRNY

Rok po wyborze Leon XIV dla wielu pozostaje zagadką. Nad jego pontyfikatem wciąż unosi się widmo papieża Franciszka, który pozostawił swemu następcy Kościół niezwykle podzielony, a nawet spolaryzowany. W tym kontekście jedni komentatorzy, np. Paweł Chmielewski z Polonia Christiana, utrzymują, że Robert Prevost jest kontynuatorem papieskiej linii Jorge Maria Bergoglia, natomiast drudzy, choćby Adam Sosnowski z Białego Kruka, głoszą tezy wręcz odwrotne – że Leon XIV konsekwentnie zrywa z dziedzictwem swego poprzednika.

Tak odmienne oceny są efektem tego, że amerykański papież w jednych sprawach podtrzymuje stanowisko Argentyńczyka, a w innych się od niego dystansuje. Wynika to z jego priorytetów, wśród których na pierwsze miejsce wybija się dążenie do zachowania jedności w Kościele. Dlatego stara się dowartościować zarówno zwolenników, jak i przeciwników rewolucji bergogliańskiej.

Kluczowe wydaje się to, jakie stanowisko zajmie w kwestiach pierwszoplanowych, a jakie w drugorzędnych. Jedni twierdzą, że Leon XIV jest ortodoksyjny tylko w zewnętrznej formie (powrót do Pałacu Apostolskiego, noszenie tradycyjnych szat liturgicznych czy brak ekstrawaganckich zachowań), a w rzeczywistości będzie drugim Franciszkiem, tyle że z dobrymi manierami. Inni z kolei wyrażają opinię, że obecny papież dokonuje odwrotu od polityki swego poprzednika, ale czyni to stopniowo, drobnymi krokami. Warto się zatem przyjrzeć decyzjom, które najmocniej podzieliły Kościół w trakcie minionego pontyfikatu, a następnie zobaczyć, jak ustosunkował się do nich Leon XIV.

REINTERPRETUJĄC FRANCISZKA

Najbardziej kontrowersyjnym dokumentem za rządów Franciszka była deklaracja „Fiducia supplicans", zezwalająca księżom na błogosławienie par jednopłciowych poza kontekstem liturgicznym. Leon XIV nie anulował tego dokumentu, jak spodziewało się wielu komentatorów, lecz nadał mu odmienną interpretację. Podczas ostatniej podróży do Afryki stwierdził, że wspomniany akt nie zezwala na udzielanie błogosławieństw parom homoseksualnym, a jedynie poszczególnym osobom, a więc potwierdził tradycyjne nauczanie Kościoła sprzed „Fiducia supplicans". Zdecydowanie sprzeciwił się też projektowi niemieckiego episkopatu, który zakłada uroczyste ceremonie kościelne dla związków jednopłciowych.

Kolejną decyzją Franciszka dzielącą Kościół było ogłoszenie dokumentu „Traditionis custodes", który oznaczał *de facto* stopniową likwidację nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego, zwanej mszą trydencką. I znów Leon XIV nie unieważnił tego aktu, ale wyraził nadzieję, że tradycjonaliści będą hojnie uzyskiwać zgodę na celebracje liturgiczne w języku łacińskim, a więc łatwo obejdą restrykcyjne zapisy „Traditionis custodes".

W ostatnim czasie papież przyjął też kardynałów Raymonda Burke'a i Roberta Saraha oraz bp. Athanasiusa Schneidera, apelujących o przywrócenie mszy trydenckiej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 15f21a2a10

należnego jej miejsca w Kościele. Udzielił także audiencji dwóm socjologom, Stephenowi Bullivantowi i Stephenowi Cranneyowi, autorom badania wykazującego, że zdecydowana większość osób uczęszczających na msze łacińskie w pełni akceptuje nauczanie soboru watykańskiego II, co podczas ostatniego pontyfikatu było w kurii rzymskiej najczęściej podnoszonym przeciwko nim zarzutem.

Leon XIV pozwolił też kard. Burke'owi na odprawienie mszy trydenckiej w bazylice św. Piotra, czego wcześniej stanowczo zakazał Franciszek. Udzielił także dwuletniego przedłużenia na odprawianie mszy łacińskiej dwóm wspólnotom diecezjalnym w Cleveland oraz parafii w Teksasie. Wysłał również list z pozdrowieniami do uczestników pielgrzymki z Paryża do Chartres, w której większość stanowią młodzi tradycjonaliści.

Warto dodać, że dzięki Leonowi XIV miesiąc temu 26 nowych księży wyświęcili Heroldowie Ewangelii. To międzynarodowe stowarzyszenie katolickie na prawie papieskim, działające w 78 krajach świata, od 2019 r. było poddane zarządowi komisarycznemu Watykanu. Jego aktywność została praktycznie sparaliżowana, ponieważ od siedmiu lat nie mogło dokonywać święceń diakonów i kapłanów, otwierać nowych domów ani przyjmować nowych członków. Zdaniem wielu publicystów jedyna wina Heroldów polegała na tym, że byli zbyt tradycjonalistyczni. Teraz ograniczenia nałożone za pontyfikatu Franciszka zostały zniesione, co wielu odczytało jako kolejny gest Leona XIV w stronę środowisk wiernych ortodoksji.

CZEKAJĄC NA NOWĄ WYKŁADNIĘ

Kwestie liturgiczne będą najprawdopodobniej jednym z głównych tematów podczas nadzwyczajnego konsystorza kardynałów zwołanego na 27–28 czerwca w Watykanie. Przedmiotem innego rzymskiego zgromadzenia, które zaplanowano na październik, będzie następny dokument Franciszka, wzbudzający wiele kontrowersji w Kościele, czyli adhortacja apostolska „Amoris laetitia". Na jej podstawie wielu biskupów na świecie usankcjonowało praktykę dopuszczania do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach.

Na zaproszenie Leona XIV do Watykanu zjadą się przewodniczący episkopatów z różnych krajów, by dyskutować o tym akcie. Nic nie wskazuje na to, by Leon XIV anulował ów dokument – czego się spodziewali niektórzy komentatorzy – gdyż wyrażał się o nim w samych superlatywach, ale nie jest wykluczone, iż nada wspomnianej deklaracji tradycyjną interpretację, zgodną z odwiecznym nauczaniem Kościoła. Czas jednak pokaże, jak w postąpi.

Podobne uwagi dotyczą również kwestii synodalności, zaordynowanej przez Franciszka. Leon XIV już zapowiedział, że będzie kontynuował ten proces, ale kwestią otwartą pozostaje to, jaki nada mu kierunek.

OSTRZEGAJĄC PRZED STARYMI BŁĘDAMI

Pewną korektę w porównaniu ze swym poprzednikiem stanowi stosunek Leona XIV do polityki imigracyjnej. Wybrzmiało to szczególnie wyraźnie podczas jego ostatniej wizyty w Afryce. Z jednej strony papież komplementował Franciszka za jego wrażliwość wobec uchodźców, z drugiej ostrzegał tamtejszą młodzież przed fałszywymi oczekiwaniami związanymi z emigracją. Wezwał młodych Afrykanów, by oparli się pokusie wyjazdu na stałe ze swych krajów, a zamiast tego starali się budować dobro wspólne we własnym domu. Zaapelował do ich osobistej odpowiedzialności, poczucia wspólnoty i zakorzenienia. W ten sposób zasadniczo przesunął akcenty w debacie publicznej, odchodząc od idealizowania nielegalnej imigracji. Zauważył, że jest to rodzaj drenażu mózgów, który pozbawia kraje afrykańskie najzdolniejszych ludzi, mogących budować przyszłą pomyślność.

Na Czarnym Lądzie Leon XIV ostrzegł też katolików, by nie mieszali prawdziwej wiary chrześcijańskiej z praktykami magicznymi i przesądami. Papieski apel można także odczytywać jako przestrogę przed pokusą zbyt daleko idącej inkulturacji, która próbuje włączyć do Kościoła elementy sprzeczne z przesłaniem Ewangelii. Widać to choćby w Ameryce Południowej, gdzie trwają starania, by implementować pierwiastki amazońskich kultów indiańskich do liturgii katolickiej. Najgłośniejszym przypadkiem takiego synkretyzmu religijnego było wkroczenie do Kościoła pogańskiego bóstwa andyjskich Inków, czyli Pachamamy. Ostrzeżenie Leona XIV daje nadzieję, iż takie historie się nie powtórzą.

PRZED PRAWDZIWĄ PRÓBĄ

Watykaniści zwracają też uwagę na chrystocentryzm obecnego papieża, czyli stawianie Chrystusa w centrum chrześcijańskiego przepowiadania. To stały motyw jego nauczania, począwszy od mszy inauguracyjnej aż do niedawnej wizyty w Afryce. Podczas swej pierwszej homilii Leon XIV powiedział, że Jezus jest „Mesjaszem, Synem Boga żywego, czyli jedynym Zbawicielem i objawiającym oblicze Ojca". Trudno nie zestawić tych słów ze słynną wypowiedzią Franciszka, który podczas spotkania z młodzieżą w Singapurze stwierdził, iż wszystkie religie są równoległymi drogami do zbawienia i Bóg życzy sobie ich istnienia.

Wygląda więc na to, że Leon XIV wypracowuje własną metodę zachowania jedności w Kościele. W ciągu ostatniego roku nie został on jednak jeszcze poddany prawdziwej próbie ogniowej. Wiele wskazuje na to, że już wkrótce będzie musiał stawić czoło takiemu wyzwaniu w dwóch sprawach. Pierwsza dotyczy Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X, zwanych potocznie lefebrystami, którzy 1 lipca zamierzają wyświęcić nowych biskupów, choć Stolica Apostolska stanowczo im tego zakazuje. Druga to kwestia niemieckich biskupów, którzy zapowiedzieli, że mimo wyraźnego sprzeciwu papieża zamierzają dokonywać uroczystych liturgicznych błogosławieństw par homoseksualnych w kościołach. Oba przypadki są różne, ale to, w jaki sposób zareaguje na nie Leon XIV, powie nam wiele o obliczu jego pontyfikatu.

eprasa.pl 15f21a2a10

Zamach i demokracja

Mija sto lat od przewrotu majowego. W dzisiejszych czasach to wydarzenie jest przedstawiane jako zbrodniczy zamach na demokrację. A w istocie był to moment, który uratował II Rzeczpospolitą. Polska w swym kształcie sprzed maja 1926 r. nie miała szansy funkcjonować jako normalne, stabilne państwo. A jedyną osobą, która miała szansę to naprawić, był marsz. Józef Piłsudski

PIOTR GURSZTYN

Czyn Marszałka ma dzisiaj mało obrońców. Przykładane są doń dzisiejsze miary, całkowicie ahistoryczne, jakby sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa Polski z 1926 r. była porównywalna z naszymi czasami. Oceny także są formułowane w nieco schizofreniczny sposób. Rocznica 12 maja sąsiaduje w polskim kalendarzu ze świętem 3 maja. A tak się składa, że Konstytucji 3 maja można zarzucić to, iż została wprowadzona ze złamaniem ówczesnego prawa. Przegłosowana podczas ferii świątecznych, gdy brakowało większości posłów. I przyjęta przez aklamację oraz bez debaty sejmowej.

Jednak trzeba było tak zrobić, bo ustrój Rzeczypospolitej szlacheckiej był niefunkcjonalny. Ale to jest także kazus II Rzeczypospolitej i jej pierwszej konstytucji. Stworzono system całkowicie niestabilny. Od momentu wejścia w życie konstytucji marcowej, 1 czerwca 1921 r., do przewrotu majowego było dziewięć rządów. Wszystkie posklejane z dziwacznych koalicji i bez mocnego poparcia społecznego. Działo się to w obliczu błyskawicznie narastających zagrożeń zewnętrznych, których symbolem są dwie nazwy – Locarno i Rapallo. Polska była postrzegana jako „państwo sezonowe" nie tylko przez wrogów. W 1925 r. dyplomaci francuscy, czyli przedstawiciele naszego jedynego sojusznika, naciskali, aby Polska dobrowolnie zrewidowała swoje granice na korzyść Niemiec. Czyli oddała Pomorze, będące naszym dostępem do morza, i Górny Śląsk.

Wszyscy wiedzieli, że ten system nie może dłużej działać. Wszyscy chcieli zmiany, wzmocnienia władzy wykonawczej – także ci, którzy w maju 1926 r. walczyli przeciw Piłsudskiemu.

„NIECHŻE MARSZAŁEK WYJDZIE Z UKRYCIA"

Marszałek nie planował zamachu. Jego wystąpienie było reakcją na powołanie trzeciego już rządu Wincentego Witosa. Polityk ten jest dzisiaj przedstawiany pomnikowo, jako chłopski przywódca i modelowy demokrata. Polacy z 1926 r. w większości byliby tym zdziwieni. Oczywiście Witos miał licznych zwolenników, ale *per saldo* był politykiem niepopularnym. Obarczanym za afery, takie jak dojlidzka czy żyrardowska. Jeszcze bardziej był obwiniany za trudną sytuację gospodarczą i wiążące się z tym brutalne tłumienie strajków (szczególnie krwawy wtorek w Krakowie w 1923 r., który jednocześnie stanowił przykład brutalności i nieudolności władz). Nie było wielu

Fot. NAC

eprasa.pl 15f21a2a10

chętnych do współpracy z nim. Reakcją na powołanie jego rządu okazały się masowe protesty pod nieprzypadkowymi hasłami: „Nie damy rozkradać Polski" albo „Precz ze złodziejami grosza publicznego".

W tym świetle należy widzieć żądanie Piłsudskiego, aby Witos podał się do dymisji. Wypadki przyspieszył wywiad z nowym premierem, który ukazał się 9 maja. Witos świadomie prowokował Piłsudskiego: „Niechże wreszcie Marszałek Piłsudski wyjdzie z ukrycia, niechże stworzy rząd, niech weźmie do współpracy wszystkie czynniki twórcze, którym dobro państwa leży na sercu. Jeśli tego nie zrobi, będzie się miało wrażenie, że nie zależy mu naprawdę na uporządkowaniu stosunków w państwie". To ukazało się w druku, po poprawkach współpracowników premiera, ale dziennikarzom Witos powiedział ostrzej – wspominał marszałek Sejmu Maciej Rataj. „Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, to niech bierze władze siłą... ja bym się nie wahał tego zrobić. Jeśli Piłsudski tego nie zrobi, to zdaje się, jednak nie ma tych sił za sobą". Te słowa rozeszły się wtedy po Warszawie oraz dotarły do adresata.

I Piłsudski wystąpił. Witos się tego nie spodziewał. W pierwszym momencie chciał podać się do dymisji. Niestety został od tego odwiedziony przez twardogłową część swojego rządu, a także prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Padły strzały, czego z kolei nie zakładał Marszałek, o czym świadczy wiele jego ówczesnych decyzji. Wiadomo, że ciężko przeżył bratobójczą walkę. Był moment, który niektórzy interpretują jako załamanie psychiczne. Żona Aleksandra wspominała, iż zobaczyła go raptem po paru dniach, jakby postarzał się o kilka lat.

Liczba ok. 370 ofiar szokuje. Ale nie był to wynik strzelania do bezbronnych tłumów – co sugerują bezsensowne porównania ze stanem wojennym. Tak wysoka liczba ofiar jest wynikiem tego, że po obu stronach walczyło regularne wojsko, korzystające z broni maszynowej, artylerii, samochodów pancernych, a nawet lotnictwa. Ofiary cywilne to liczne osoby, które z ciekawości przyglądały się walkom. To akurat potwierdzają relacje o zaskakującej nieostrożności wielu gapiów.

Tuż po zamachu wydawnictwo Melchiora Wańkowicza opublikowało reportaż „Warszawa w ogniu". Czytamy w nim: „Tragedia kilkudniowej walki bratobójczej właśnie w tem tkwiła, że opór istniał – lecz był słaby. Niedołężnie zorganizowany". To obciąża stronę rządową. Jej decyzje były równie niedołężne, co brutalne. Gen. Tadeusz Rozwadowski wydał rozkaz, aby lotnictwo bombardowało Komendę Miasta, gdzie była siedziba sztabu Piłsudskiego. Czyli bomby spadały na ścisłe centrum miasta między Placem Saskim (dziś Piłsudskiego) a Krakowskim Przedmieściem.

Inny rozkaz Rozwadowskiego wpadł w ręce piłsudczyków. Był szokujący: „[...] natrzeć bezwzględnie na tyły zbuntowanych, którzy obsadzili Pałac Mostowskich i głównie komendę miasta i starać się dostać w swe ręce przywódców ruchu, nie oszczędzając ich życia". Jego odbiorcą miał być dowódca stacjonującego na Cytadeli 30. pułku piechoty płk Izydor Modelski. Był zaciekłym antypiłsudczykiem, brutalnym, ale jednocześnie tak gamoniowatym, że przeciwnicy zabrali mu... cały jego pułk. Już po walkach Piłsudski stwierdził: „Wyrzucam Modelskiego z wojska. Nie za to, że był po stronie przeciwnej, lecz tylko za tchórzostwo, bo on ze strachu nie próbował nawet bronić Cytadeli, której był komendantem". Wiadomo, że to nie pretekst, bo większość jego wojskowych przeciwników została, a tacy jak np. płk Władysław Anders, byli przez niego awansowani. Historia z Modelskim pokazuje, jakim fałszem jest twierdzenie, że przeciwnicy sanacji dysponowali lepszymi kadrami. Już w czasie II wojny światowej Modelski odnalazł się jako niezwykle wpływowa postać przy gen. Władysławie Sikorskim. Z opłakanymi skutkami, co jest zgodną opinią wszystkich świadków i historyków.

DYKTATURA NIE BYŁA CELEM MARSZAŁKA

Pytanie, dlaczego ów opór był słaby i niedołężnie zorganizowany. Czy wojsko „rządowe" chciało walczyć za niepopularny gabinet Witosa? Warszawska ulica była przeciw rządowi. Witos wspominał: „Zdawało się, że wszystko, co pozostało w Warszawie żywe, zwróciło się przeciwko nam". Kolejarze zastrajkowali, popierając Marszałka. PPS poparła przewrót. „Rząd reakcyjny Witosa wywołał WOJNĘ DOMOWĄ" – głosiły jej odezwy. Endecja była niezdecydowana, a jej lidera, czyli Romana Dmowskiego, wiadomość o przewrocie zastała w Poznaniu, gdyż wracał z wycieczki do Włoch, gdzie podziwiał efekty rządów silnej ręki Benita Mussoliniego.

Rząd Witosa nie składał się z silnych i zdecydowanych ludzi. „Rządowa" generalicja też była bardziej buńczuczna niż bojowa. Prezydent Wojciechowski szybko to spostrzegł i podjął decyzję o zaprzestaniu oporu. Rozumiał też, do czego może prowadzić eskalacja walk. „Wolę, by Polska była przez dziesięć lat pod rządami Piłsudskiego niż przez sto lat w niewoli sowieckiej" – uzasadniał swoją decyzję.

Ku zaskoczeniu wszystkich Piłsudski, choć wybrany przez Sejm, nie przyjął prezydentury. Wprowadził rządy autorytarne, bo był rozczarowany demokracją, ale dyktatura nie pozostawała jego celem. Przewrót został uprawomocniony przez Sejm i zasiadające w nim stronnictwa. Zebrał się bowiem w tym samym składzie – a przecież zamachowcy i dyktatorzy zawsze rozpędzają parlamenty. I przegłosował tzw. nowelę sierpniową, czyli wzmocnienie władzy prezydenta. Głosowała za tym także endecja, a za wzmocnieniem władzy wykonawczej w zasadzie byli wówczas wszyscy.

To zadaje kłam twierdzeniu, że była to walka między obrońcami demokracji a jej wrogami. Ci, którzy potępiali przewrót, sami nie byli wielkimi zwolennikami demokracji. Niedługo przed nim, w grudniu 1925 r., Roman Dmowski stwierdził: „Gdybyśmy mieli człowieka posiadającego wartość Mussoliniego, gdybyśmy umieli wytworzyć choć połowę organizacji w rodzaju faszystowskiej [...] chętnie bym się zgodził na dyktaturę w Polsce".

Inny z przywódców endecji, Roman Rybarski, pisał w lutym 1926 r.: „Niewątpliwie mamy tu do czynienia z czemś więcej niż kryzys parlamentaryzmy [...].

eprasa.pl 15f21a2a10

Cały nasz ustrój, za obcym przykładem, jest zbudowany na tym gruncie, że należy przede wszystkim zagwarantować człowiekowi jak największą wolność, zabezpieczyć jego indywidualne prawa. A tymczasem cierpimy na nadmiar wolności, na swawolę, na brak stałości rządu i anarchię polityczną".

Ten obcy wpływ to wzorowanie konstytucji marcowej na ustroju III Republiki Francuskiej. Rzecz jednak w tym, że politycy endecji mieli ogromny wpływ na jej kształt i to oni wyrwali zęby konstytucji, celowo osłabiając władzę prezydenta. Obawiali się, że skorzysta z niej przywódca najbardziej popularny, czyli Józef Piłsudski.

Już po zamachu stworzony przez Dmowskiego Obóz Wielkiej Polski postulował rezygnację z ustroju parlamentarnego na rzecz narodowej monopartii, która miałaby rządzić państwem. A później endecja i tak przeżyła wiele rozpadów, zaczęła nawet bić się między sobą, więc trudno ją uznać za spójną alternatywę wobec sanacji. Niezależnie od problemów z jej profilem ideologiczno-mentalnym, gdzie problem żydowski urósł do niebotycznych rozmiarów, przesłaniając realne zagrożenia dla młodej polskiej państwowości. Zresztą sam Dmowski – wbrew temu, co sądzi dzisiaj wielu fascynatów dawnej endecji – był typem bardziej ideologa niż przywódcy. Unikał brania odpowiedzialności. Jedyna funkcja rządowa, jaką sprawował, to stanowisko ministra spraw zagranicznych – przez półtora miesiąca w drugim rządzie Witosa. Między 1920 a 1926 r. miał duże możliwości wpływu na rzeczywistość, łącznie z ubieganiem się o fotel premiera. Nie podejmował się jednak tego. Pisząc o braku w Polsce Mussoliniego, pisał o sobie, że może chciałby być kimś takim, ale wiedział, iż to wbrew jego osobowości.

Tak realistycznej samooceny nie miał gen. Józef Haller, który widział siebie w roli dyktatora. Tuż przed zamachem, 17 kwietnia 1926 r., zgłosił się do jednego z liderów endecji – Juliusza Zdanowskiego, który wspominał: „Uważa, że dziś tylko usunięcie parlamentu, stan wyjątkowy i 3–5 ludzi na czoło to jedyna formuła rządu i ratunku. Zupełnie wyraźnie przyszedł się przypomnieć jako kandydat".

PPS wprawdzie szybko rozczarowała się rządami Piłsudskiego, ale i tak pamiętała o patologiach z czasów przedmajowych. Rok po przewrocie jej wybitny przywódca Ignacy Daszyński pisał o Witosie: „Prawdziwe niebezpieczeństwo dla Polski". Także dla PPS demokracja nie była szczególnym skarbem. Socjaliści co jakiś czas głosili hasło dyktatury proletariatu. Akurat w ich przypadku nie było to tożsame z tym, do czego dążyli komuniści, ale nie było zgodne z prawidłami klasycznej demokracji.

> Demokracja w początkach II RP nie funkcjonowała. Gdyby nie działania podjęte przez Piłsudskiego w 1926 r., mielibyśmy powtórkę wszystkich patologii polskiego XVIII w.

DOROBEK SANACJI

I dochodzimy do punktu, który zazgrzyta w dzisiejszych uszach. Demokracja w początkach II RP nie funkcjonowała. Z jednej strony brak doświadczenia większości wyborców, bo w zaborze rosyjskim nie mieli szansy, by się jej nauczyć. Z drugiej fakt, że jedna trzecia mieszkańców to mniejszości narodowe, z których spora część marzyła jedynie o tym, aby państwo polskie przestało istnieć. Wreszcie szeroka akceptacja przemocy politycznej. Świadectwem tego są okoliczności śmierci prezydenta Narutowicza. A tu przypomnijmy, że pierwotnym celem mordercy był Piłsudski i to jest jedno ze źródeł jego rozczarowania demokracją.

Tak było w całym naszym regionie. We wszystkich krajach wcześniej czy później dochodziło do zamachów. Zwykle bardziej brutalnych niż przewrót majowy. Nawet wskazywana jako pozytywny wyjątek Czechosłowacja nie spełnia kryteriów demokracji. W istocie była to oligarchia złożona z tych samych polityków. Jedyne zmiany to kooptacja kogoś, kto w danym momencie urósł w siłę. Także stara demokracja, Francja, była areną ostrych wewnętrznych walk, takich jak zajścia w 1934 r. Przez to wszystko Francja, wielkie mocarstwo, weszła do II wojny światowej dużo słabsza niż rozbrojone traktatem wersalskim Niemcy.

Dlatego absurdalne jest twierdzenie, że gdyby nie sanacja, Polska byłaby silniejsza w 1939 r. Dlaczego demokratyczna Francja ze swą wielką armią, rozwiniętym przemysłem, bogatą gospodarką, padła pod ciosami Niemiec? Demokracja nie uratowała także Danii, Norwegii, Holandii i Belgii.

Jaka była alternatywa dla Piłsudskiego i sanacji? Kto był lepszy? Otóż nie było nikogo takiego. Jedynie sanacja była w stanie sprawować stabilne rządy. Przetrwała wielki kryzys, który zmiótłby każdą inną władzę. Zresztą najnowsze badania historyków gospodarki (dr Marcin Wroński z SGH) zadają kłam dotychczasowym twierdzeniem, że był to czas stagnacji gospodarczej. W latach 1924–1938 PKB rosło w tempie 2,5 proc. rocznie – szybciej niż średnia dla naszego regionu (2 proc.) i całej Europy (1,7 proc.). To wzrost wyższy niż w czasach zaborów (0,9 proc.) i PRL (2,2 proc.).

Sanacja mogła rządzić, bo cieszyła się poparciem największej grupy polskiego społeczeństwa. Prawdopodobnie nie większościowej, ale większej niż grupy zwolenników endecji, partii chłopskich, nie mówiąc już o socjalistach, którzy mieli stosunkowo skromne poparcie.

Gdyby nie Piłsudski, mielibyśmy powtórkę wszystkich patologii polskiego XVIII w. Wstyd i rozpaczliwe zrywy w obronie państwa rozrywanego przez wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. A tak zyskaliśmy 13 lat dość spokojnego rozwoju. Powszechna edukacja, Gdynia, COP – rzeczy, które procentowały w latach 1939–1989. I dzisiaj korzystamy z tamtego dorobku.

eprasa.pl 15f21a2a10

Przewrót majowy, *czyli powrót Piłsudskiego*

Przygotowując się do przewrotu, Piłsudski łamał prawo. Ale nie można twierdzić, że jedynie on odpowiada za tragiczne konsekwencje tego zamachu. Sytuacja w Polsce była wówczas tak napięta, że mogło dojść do przelewu polskiej krwi w większym stopniu, po prostu do wojny domowej. To nie jest gdybanie, ale wyważona analiza kryzysu, który ogarniał ówczesną II RP

Z prof. Józefem Brynkusem z Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, historykiem, badaczem dziejów tożsamości i świadomości historycznej Polaków, rozmawia Piotr Słabek

Przewrót majowy to z jednej strony reakcja na coraz większy chaos w elicie rządzącej państwem, a z drugiej – tragizm bratobójczej walki. Patrząc na te wydarzenia chłodnym okiem historyka, jaki bilans zysków i strat pan dostrzega?

Józef Brynkus: Z tym chłodnym okiem historyka to bym nie przesadzał. Każdy historyk, w wyniku różnych oko-

Fot. NAC, Adrian Grycuk/CC BY-SA 3.0 pl

eprasa.pl 15f21a2a10

liczności – enkulturacji domowej, środowiskowej, a potem własnej, czyli akceptacji konkretnej aksjologii, prezentuje subiektywne podejście do przeszłości. I ma do tego prawo w zakresie interpretacji faktów, choć nie ich przeinaczania, przemilczania lub fałszowania. Oczywiście są też fakty – nazwijmy je kanoniczne – które interpretuje się jednoznacznie, choćby z perspektywy poszanowania ludzkiego życia. I tu nie jest dopuszczalna jakakolwiek dowolność. Do tych faktów z pewnością nie należy przewrót majowy, który wielu określa mianem zamachu majowego czy wprost – zamachu Józefa Piłsudskiego. Niektórzy wręcz dodają, że autorytarnego na demokrację. Zresztą pan sam, zadając pierwsze pytanie o to wydarzenie, nadał mu określoną konotację, wcale nie tak jednoznacznie pejoratywną.

Zanim jednak ustosunkuję się do pytania – a postaram się to zrobić rzeczowo – pozwolę sobie na osobistą refleksję z czasów studenckich, które sprawiły, że jestem trochę zwichrowanym Polakiem. Z jednej strony jestem wielbicielem Piłsudskiego, a z drugiej historykiem starającym się podejść, nawet nie do niego samego, ale jego personalnego otoczenia, w miarę rzeczowo, na skutek nabytej wiedzy o II RP. A także człowiekiem zakorzenionym i zakochanym w polskości. Jako młodzi ludzie żyjący w zniewolonej Polsce w latach 80. XX w. byliśmy zafascynowani Marszałkiem. Często pieszczotliwie nazywaliśmy go Dziadkiem. Co więcej, ta fascynacja nim była wzmacniana postawą niektórych pracowników naszego Instytutu Historii, którzy przedstawiali go jako jednego z naczelnych wrogów tzw. ludowej Polski. To oczywiste, że wiedzieliśmy, dlaczego tak się dzieje. Choćby ze względu na jego wkład w utrwalenie polskiej niepodległości i pobicie bolszewików, tym bardziej go ceniliśmy. Osobiście, w mojej indywidualnej świadomości, nie jestem w stanie nazbyt odbrązowić Piłsudskiego.

Ale rozumiem tych, którzy widzą jego polityczne błędy, zwłaszcza po tzw. zamachu majowym. Wśród moich studentów są jego zatwardziali przeciwnicy, głównie o orientacji narodowej. By było jasne: mają do tego prawo, ale to nie ma żadnego znaczenia dla naszych relacji. Staram się im jednak wskazać, że Piłsudski zawsze kierował się miłością do Polski, choć swoiście przez niego pojmowaną. Swoiście, to znaczy w sposób bezwzględny i do końca egzekwujący państwowy punkt widzenia na polskość.

Dlatego w sytuacji chaosu wewnętrznego – a dotyczył on zarówno polityki, jak i słabości finansowej państwa, postępującej marginalizacji na arenie międzynarodowej, czego znakami były zacieśniający się sojusz niemiecko-sowiecki z Locarno, towarzyszący mu upadek francuskiego systemu bezpieczeństwa na wschodzie Europy oraz blokada eksportu polskiego węgla do Niemiec – Naczelnik zdecydował się na rozwiązanie siłowe. Piłsudski dostrzegał, że ówczesne polskie elity polityczne nie są w stanie temu zaradzić. A miał przekonanie o swojej wyjątkowej roli dziejowej. Czy można się temu dziwić? To przecież on był głównym ojcem polskiej niepodległości, nie umniejszając przy tym randze pozostałych. Była w tym też pewnie jakaś psychiczna zadra. W końcu został brutalnie i bezwzględnie „ograny" przez polityków, którzy napisali konstytucję marcową w 1921 r. i na jej podstawie stworzyli polski system polityczny.

To jednak była próba sił. Kto rozdawał karty?

Gdyby Naczelnik nie miał przeświadczenia, że ten przewrót mu się powiedzie i że nie zostanie poparty przez wojsko, pewnie by się tego nie podjął. Moim zdaniem, doceniając takie postaci, jak prezydent Stanisław Wojciechowski i premier Wincenty Witos, to jednak w konfrontacji z Piłsudskim wypadli słabo. Nie potrafili zmobilizować sił wiernych rządowi. Niektórzy historycy uważają, że fakt, iż nie zebrali wojsk w Wielkopolsce i przez to zapobiegli wojnie domowej, świadczy o ich odpowiedzialności za państwo. Ale tym samym przyznali rację Piłsudskiemu – uznali, że to on lepiej wie, jak wyprowadzić Polskę z kryzysu.

Zresztą na długo przed przewrotem majowym widoczna była w jakimś stopniu uległość Wojciechowskiego, a nawet akceptacja przez niego presji Piłsudskiego na stworzenie silnego rządu. Taka postawa ośmielała Naczelnika do przejęcia władzy, do czego dość długo się przygotowywał. Nie było tajemnicą, że Piłsudski spotykał się z wiernymi mu legionistami niemal od końca lata 1925 r. A jesienią tego roku te spotkania, w których uczestniczyli m.in. generałowie Gustaw Orlicz-Dreszer i Bolesław Wieniawa-Długoszowski, były coraz częstsze i nabierały konkretnego charakteru. Piłsudskiemu zaczęła też sprzyjać tzw. ulica – w wyniku prowadzonej przez niego systematycznej kampanii propagandowej, której celem było podważenie skuteczności działań rządu w zakresie sposobów wyjścia z kryzysów: społecznego, gospodarczego, politycznego i międzynarodowego. To też trzeba wziąć pod uwagę. Wojciechowski i Witos mieli świadomość braku społecznego poparcia, więc ich kapitulacja nie wynikała tylko z obawy o rozlew bratniej krwi. Piłsudski dostrzegał jednak tragizm ówczesnej sytuacji. Widział go w tym, że jego dawni podwładni z czasów legionowych przestali postrzegać w nim męża opatrznościowego, przestali mu wierzyć. Prawda, że byli w mniejszości – jednak byli.

Wracając do bilansu...

Słowo „bilans" oznacza, że trzeba dokonać wartościowania według jakiegoś kryterium, np. ofiar śmiertelnych. Krótkotrwały bilans przewrotu majowego to prawie 400 zabitych i ok. 1 tys. rannych. Do tego można dodać skutki materialne walk między żołnierzami Piłsudskiego a wiernymi premierowi Witosowi i prezydentowi Wojciechowskiemu.

W nieco dłuższej perspektywie trzeba zauważyć przemodelowanie przez Piłsudskiego polskiej polityki zagranicznej, by zapewnić bezpieczeństwo II RP. Tu Marszałek był wierny deklaracji zawartej w przemówieniu, które wygłosił 10 lutego 1919 r. podczas inauguracji obrad Sejmu Ustawodawczego. Polska nie

eprasa.pl 15f21a2a10

odda „ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo". Co prawda od tamtego momentu sporo się zmieniło. Polska wyszła zwycięsko z wojny z bolszewikami, a Niemcy nie były zdolne do zbrojnego najazdu na nią. II RP uregulowała także relacje z innymi sąsiadami. Choć Polska z nikim wtedy nie walczyła, to jednak zagrożenie zewnętrzne stawało się dla Marszałka oczywiste.

Po przewrocie majowym Piłsudski podjął próbę autonomizacji polskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza wobec mocarstw zachodnich. Wiedział przy tym, że bez współpracy z Francją czy Anglią Polska jest słaba. Ale miał też świadomość, że to ona sama musi uregulować stosunki z największymi wówczas jej wrogami: Niemcami i Sowietami. Nie patrząc na to z perspektywy czasu, tylko sytuacji, w której znajdowała się II RP w drugiej połowie lat 20. XX w., lepiej, że Piłsudski po przewrocie majowym miał większy wpływ na polską politykę zagraniczną niż jego poprzednicy. W praktyce stworzył projekt „polityki równej odległości", czyli balansowania między Republiką Weimarską, później III Rzeszą oraz Związkiem Sowieckim.

Czy sejmowładztwo i partyjniactwo lat 20. doprowadziłyby do całkowitego paraliżu państwa w obliczu rosnących potęg III Rzeszy i ZSRS? Bo w sumie chyba w takiej perspektywie powinniśmy oceniać przewrót majowy.

Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Nie jestem historykiem gdybającym. Jedynym, co można stwierdzić, jest to, że po przewrocie Piłsudskiego Polska – z różnym skutkiem – robiła, co tylko się dało, by nadal być państwem suwerennym. Ale tego też nie można odmówić rządom przed majem 1926 r. Jest natomiast niezaprzeczalne, że po nim wszystko się zmieniło – zarówno w metodach prowadzenia polityki wewnętrznej i zewnętrznej, jak i w gospodarce. Zmienił się ustrój, i to radykalnie. Nie można jednak twierdzić, że w latach 30. XX w. II RP była państwem owładniętym paraliżem sprawczości. Wręcz przeciwnie – ewidentne wzmocnienie władzy wykonawczej kosztem ustawodawczej, co prawda nieprzewidywane na sytuacje kryzysowe, jak np. upadek państwa polskiego, w momencie, gdy to się stało, przyniosło pozytywne skutki w postaci ciągłości władzy na uchodźstwie.

Jeszcze jedna kwestia odnosząca się do owej sprawczości władzy: wprowadzenie zapisu konstytucyjnego, że gdy projekt budżetu nie zostanie przyjęty w ustawowym terminie, to ma obowiązywać w wersji proponowanej przez rząd.

Na ile sukcesy, takie jak budowa Gdyni, Centralnego Okręgu Przemysłowego czy scalenie systemów prawnych po zaborach, były możliwe dzięki stabilizacji władzy, którą przyniósł przewrót? Zwolennicy sanacji wskazują, że dopiero po 1926 r. Polska zyskała niezbędną stabilność do realizacji projektów cywilizacyjnych. Czy można się z tym zgodzić?

Nie można mówić, że dzięki przewrotowi po 1926 r. Polska nabyła zdolność rozwoju gospodarczego. Opisując rządy sanacji, często zwraca się jednak uwagę na kwestie inne niż gospodarcze. Pomijam tu oczywiście opracowania o charakterze naukowym. Jednak to, co dociera do społeczeństwa, nie jest skutkiem lektury publikacji naukowych, ale przede wszystkim publikacji popularnych. A tam kwestie ekonomiczne są spychane na dalszy plan. No i oczywiście zapomina się przy tym o roli samego Piłsudskiego. Tu jeszcze raz wróćmy do jego przywołanego wcześniej przemówienia inaugurującego Sejm Ustawodawczy. Mówił wtedy do posłów, by zwrócili uwagę „na niedomagania naszego życia gospodarczego, upośledzonego przez gospodarkę obcych i zrujnowanego silnie przez wojnę i okupację". Marszałek miał pełną świadomość, że rozwój rolnictwa, przemysłu, oświaty i nauki oraz kultury „stworzy zdrowe podstawy dla siły duchowej narodu i da trwałe podłoże dla budowy jego przyszłości". Tak się akurat złożyło, że Europa dostrzegła w przejęciu władzy przez Piłsudskiego przede wszystkim szansę na inwestycje w Polsce. II RP stała się wiarygodnym partnerem dla bankierów, w tym z USA. Uzyskała od międzynarodowego konsorcjum gwarancje na pożyczkę w niemałej kwocie, bo ponad 62 mln dol. i 2 mln funtów szterlingów. Środki te wykorzystano m.in. na unowocześnienie produkcji (20 proc. pożyczki) i stabilizację waluty (80 proc. pożyczki).

Przed przewrotem rządy upadały co kilka miesięcy, co uniemożliwiało długofalowe planowanie. Po przewrocie mimo ograniczenia demokracji państwo zyskało ciągłość decyzyjną. Mogło więcej?

Częste zmiany rządów faktycznie nie sprzyjają długofalowemu planowaniu, choć do przewrotu majowego pojawiły się co najmniej trzy reformy gospodarcze, które przeczą tej tezie. Pierwsza to reforma pieniężna Władysława Grabskiego. Druga – reforma rolna, którą sanacja, za cenę dogadania się

Fot. NAC

eprasa.pl 15f21a2a10

ze środowiskami ziemiańskimi, zastopowała. Piłsudski osobiście zapewnił konserwatystów, że nie będzie przymusowej parcelacji, gdy jej wielkość – rocznie 200 tys. ha dobrowolnie, za pełnym odszkodowaniem – nie zostanie osiągnięta. Piłsudczycy skorzystali również na programie stabilizacyjnym rządu Aleksandra Skrzyńskiego, w tym przede wszystkim na ustabilizowaniu polskiej waluty. Jej niska wartość sprzyjała eksportowi. Dodatkowo ze względu na strajk górników w Anglii zawaliła się niemiecka koncepcja wojny celnej z Polską, bo polski węgiel chętnie przyjęli Skandynawowie.

Powtarzam – nie można twierdzić, że przewrót majowy był dobroczynną okolicznością, bo przecież takiego sposobu przejmowania władzy nie można akceptować w 100 proc. Jednak faktycznie otworzył on wrota dla pomysłów sanacyjnych ekonomistów, którzy patrzyli na gospodarkę mniej zachowawczo. Położyli oni nacisk na przemysł i finanse. To nie tylko Gdynia czy COP – m.in. elektrownia wodna w Rożnowie, zakłady lotnicze w Mielcu i Rzeszowie, huta w Stalowej Woli, fabryki karabinów w Radomiu i Starachowicach, a także magistrala węglowa łącząca Śląsk z Gdynią, Zakłady Azotowe w Mościskach, zakłady przemysłu spożywczego czy tzw. zbrojeniówka. To również budownictwo mieszkaniowe, zwłaszcza dla urzędników państwowych i wojskowych. Sprzyjało to oczywiście budowaniu zaplecza politycznego, ale niewątpliwie dało bodziec modernizacyjny. Państwo pod rządami piłsudczyków było zabezpieczone przez politykę etatystyczną, zwłaszcza w bankowości. W tym przypadku wystarczy wymienić choćby Bank Gospodarstwa Krajowego, Pocztową Kasę Oszczędności, Powszechną Kasę Opieki lub Państwowy Bank Rolny.

Nie wolno zapominać, że sanacja rządziła w bardzo trudnych czasach dla gospodarki. Po okresie względnej światowej koniunktury w 1929 r. nadszedł potężny kryzys. Zachwiał się liberalizm gospodarczy i zaczęto bazować na interwencjonizmie państwowym. Kapitał zagraniczny wycofywał się zwłaszcza ze słabszych gospodarek, do których z pewnością należała Polska. Pojawiły się bariery celne. W tych warunkach koncepcje gospodarcze sanacji były odmienne niż w wielu znaczących ekonomicznie państwach. Nadal bazowano na wymienialnym złotym, zmniejszano wydatki budżetowe, ograniczając przez to inwestycje, wprowadzono też ceny dumpingowe, by wyeliminować z zagranicznych rynków konkurencję, zwłaszcza w odniesieniu do produktów rolnych. Krajowym producentom np. cukru rekompensowano to wyższymi cenami na rynku wewnętrznym, ewentualnie premiami eksportowymi.

> Sam Piłsudski dostrzegał jednak tragizm ówczesnej sytuacji. Widział go w tym, że jego dawni podwładni z czasów legionowych przestali postrzegać w nim męża opatrznościowego, przestali mu wierzyć

Przewrót majowy i późniejsze rządy sanacji miały tragiczny bilans dla wielu wybitnych dowódców, którzy odegrali kluczowe role w zwycięstwie nad bolszewikami w 1920 r.

Przygotowując się do przewrotu, Piłsudski łamał prawo. Ale nie można twierdzić, że jedynie on odpowiada za tragiczne konsekwencje tego zamachu. Sytuacja w Polsce była wówczas tak napięta, że mogło dojść do przelewu polskiej krwi w większym stopniu, po prostu do wojny domowej. To nie jest gdybanie, ale wyważona analiza kryzysu, który ogarniał II RP.

Jednak liczne jednostkowe przykłady pokazują, że przewrót Piłsudskiego przyniósł tragiczne konsekwencje dla wielu osób. Płk Stanisław Więckowski, choć wysłał podległych mu żołnierzy na pomoc Marszałkowi, sam popełnił samobójstwo. Próbę samobójczą podjął też gen. Kazimierz Sosnkowski. Jak widać, obaj mieli poważny dylemat: komu być wiernym.

Niewątpliwie opisując przewrót majowy, trzeba zwrócić uwagę na represje, które spadły na ludzi lojalnych wobec rządu II RP, a wcześniej bohaterów walk o polską niepodległość. Do rangi symbolu, a także przykładu ich wręcz bestialskiego potraktowania, zaliczyć trzeba gen. Tadeusza Rozwadowskiego – bohatera walk o Lwów i Warszawę. Aresztowano go pod pretekstem, że w czasie przewrotu majowego do zwalczania wojsk wiernych Piłsudskiemu wykorzystał lotnictwo, które zrzuciło – całkiem przypadkowo – parę bomb na cywilów, z których kilku poniosło śmierć. Rozwadowskiego uwięziono w Wilnie i przetrzymywano rok w więzieniu bez wyroku sądowego, bo niczego nie dało mu się udowodnić. Przez to znacznie pogorszyło się jego zdrowie. Gdy generał wyszedł z więzienia, na skutek interwencji zdeklarowanego piłsudczyka, prof. Mariana Zdziechowskiego, niebawem zmarł.

Czy cena za „porządek", czyli uwięzienie oponentów politycznych w Brześciu i Berezie Kartuskiej (Witosa, Korfantego) oraz brutalne tłumienie opozycji, nie była zbyt wysoka?

Piłsudski niewątpliwie uwzględniał w swoich kalkulacjach możliwość stosowania różnych form represji, by zachować porządek społeczny i polityczny. Z perspektywy lat różnie można to oceniać. Trzeba wziąć pod uwagę nie tylko okoliczności wewnętrzne, czyli narastający kryzys gospodarczy, dotkliwszy niż gdzie indziej, lecz także uwarunkowania zewnętrzne, w tym zagrożenie sowiecko-niemieckie. Chyba również sam Piłsudski przestał panować nad swoim personalnym otoczeniem, które wykorzystując jego mit i sprawnie wzmacniając jego kult, przy okazji – a może przede wszystkim – umacniało swoją kierowniczą pozycję w państwie.

eprasa.pl 15f21a2a10

Do trzech razy sztuka

To jej trzecie podejście do międzynarodowego show. 12 maja w 70. Konkursie Piosenki Eurowizji Alicja Szemplińska zaśpiewa utwór „Pray". Pełną emocji balladę o walce o siebie. Teraz też będzie musiała mocno o siebie zawalczyć

Fot. Mateusz Jagielski/East News

eprasa.pl 15f21a2a10

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Spotkanie z Alicją Szemplińską, reprezentantką Polski w tegorocznym Konkursie Piosenki Eurowizji, tuż przed jej wylotem do Wiednia, w hali odlotów lotniska Chopina, 2 maja 2026, Warszawa

„Miałam taki moment, że nie planowałam powrotu na Eurowizję. Myślałam, że może to nie jest mi pisane ze względu na to, że nie udało się w 2020 r. Potem też się nie udało. Teraz wszystko wyszło bardzo naturalnie. Nasz numer »Pray« nie był tworzony pod konkurs, tylko powstał przy pracy nad moim albumem [...]. Stwierdziłyśmy... »Okej!« Skoro od sześciu lat eurowizyjni fani piszą do mnie wiadomości z pytaniem, kiedy wrócę, to może warto wrócić. Ale na swoich zasadach" – wyznała piosenkarka w jednym z wywiadów.

SZANSA NA SUKCES

Pierwszy raz miała reprezentować Polskę na 65. konkursie Eurowizji w Rotterdamie. Zapracowała na ten wyjazd. Parę miesięcy wcześniej w imponujący sposób wygrała 10. edycję „The Voice of Poland". W lutym 2020 r., dwa miesiące przed 18. urodzinami, dzięki utworowi „Empires" zwyciężyła w finale programu „Szansa na sukces. Eurowizja 2020". Wyjazd wydawał się pewny. Niestety imprezę odwołano z powodu pandemii COVID-19. Rok później zamiast dziewczyny o charakterystycznym niskim głosie na europejski konkurs pojechał ówczesny ulubieniec TVP Rafał Brzozowski. Tegoroczna edycja będzie jej trzecim podejściem do Eurowizji.

Mimo notowań bukmacherów jest dobrej myśli. Wydłużony czas wykorzystała, by być lepszą i bardziej świadomą swoich możliwości wokalistką. Liczy, że wśród wielu wykonań tworzonych „pod Eurowizję" jej autorski utwór – „nieoczywisty, rzadko spotykany brzmieniowo w muzie eurowizyjnej" – zostanie zauważony i doceniony.

Malkontentom, którzy europejskie show traktują jak wyreżyserowane do granic możliwości targowisko próżności oraz miałkości, wokalistka odpowiada: „Niektórzy mówią, że Eurowizja to festiwal dziwaków i wariatów, ale według mnie to jest festiwal, gdzie ludzie mogą być w stu procentach sobą i to jest piękne. Chciałabym, aby w innych środowiskach też była taka artystyczna wolność i brak poczucia, że przez swoją artystyczną wizję zostaniesz wyśmiany".

WIARA W MARZENIA

„Pray" to ballada z pogranicza R&B (mieszanka soulu, funku, popu i hip-hopu) oraz gospel. Wbrew tytułowi nie jest utworem religijnym, lecz „metaforą walki o siebie, wewnętrznej siły i wiary w marzenia". Tekst przypomina, jaką drogę przeszła wokalistka po „The Voice of Poland". Mówi o tworzeniu muzyki na własnych zasadach. Alicja robi to od lat.

Pochodzi z Ciechanowa. Tam jako dziecko chodziła na zajęcia wokalne i śpiewała w chórze kościelnym. Stamtąd jeździła na ogólnopolskie konkursy i festiwale, a także na nagrania pierwszego telewizyjnego talent show, który wygrała. Miała 14 lat, program nosił tytuł „Hit, Hit, Hurra!" i otworzył jej medialną drogę do kolejnych muzycznych rywalizacji. Po zwycięstwie w już „dorosłym" „The Voice of Poland" marzenia o studiach medycznych zamieniła na muzyczną drogę.

W 2024 r. wydała debiutancki album studyjny pt. „Nie wracam" i konsekwentnie idzie do przodu. Ostatnio podpisała kontrakt na wydanie płyty w Anglii. Promocyjnie Eurowizja bardzo się tutaj przyda.

POZOSTAĆ W GRZE

Szanse polskiej reprezentantki oceniła ostatnio Dorota Rabczewska (również pochodząca z Ciechanowa). Podkreślając talent i „rewelacyjną barwę głosu" Szemplińskiej, nawiązała do ubiegłorocznej Eurowizji, gdzie mimo spektakularnego wykonania utworu „Gaja" Justyna Steczkowska zajęła dopiero 14. miejsce. Zdaniem Dody „Pray" niestety także „nie wpada w ucho i nie jest łatwe do powtórzenia".

A według bukmacherów? Utwór reprezentujący Polskę w swojej półfinałowej grupie znajdzie się dopiero na 12. pozycji (a awansuje tylko 10 wykonawców z każdego półfinału). W typowaniach najmocniejszą pozycję ma Finlandia. Po niej jest Grecja, a następnie Izrael.

Tu cieniem kładzie się decyzja Europejskiej Unii Nadawców, która dopuściła ten kraj mimo jego udziału w wojnie w Strefie Gazy. Pojawiły się liczne protesty i zarzuty o stosowanie podwójnych standardów (w porównaniu do wykluczenia Rosji). Przypomniano też podejrzenia z poprzednich edycji o zorganizowaną kampanię promocyjną Izraela, która miała zwiększyć skuteczność głosowania na jego reprezentanta. Wspomniane kontrowersje podważają wizerunek konkursu, który według założeń ma być widowiskiem apolitycznym, tymczasem jubileuszową 70. edycję zbojkotowały m.in. Irlandia, Hiszpania, Holandia i Słowenia.

W grze pozostało 35 krajów. Do finału (16 maja) przejdzie 20 reprezentacji. Alicja Szemplińska będzie musiała mocno zawalczyć o swoje miejsce. Oby powiedzenie „do trzech razy sztuka" znalazło szczęśliwe, muzyczne zakończenie również dla niej.

Fot. Andrzej Kulpiła/East News

eprasa.pl 15f21a2a10

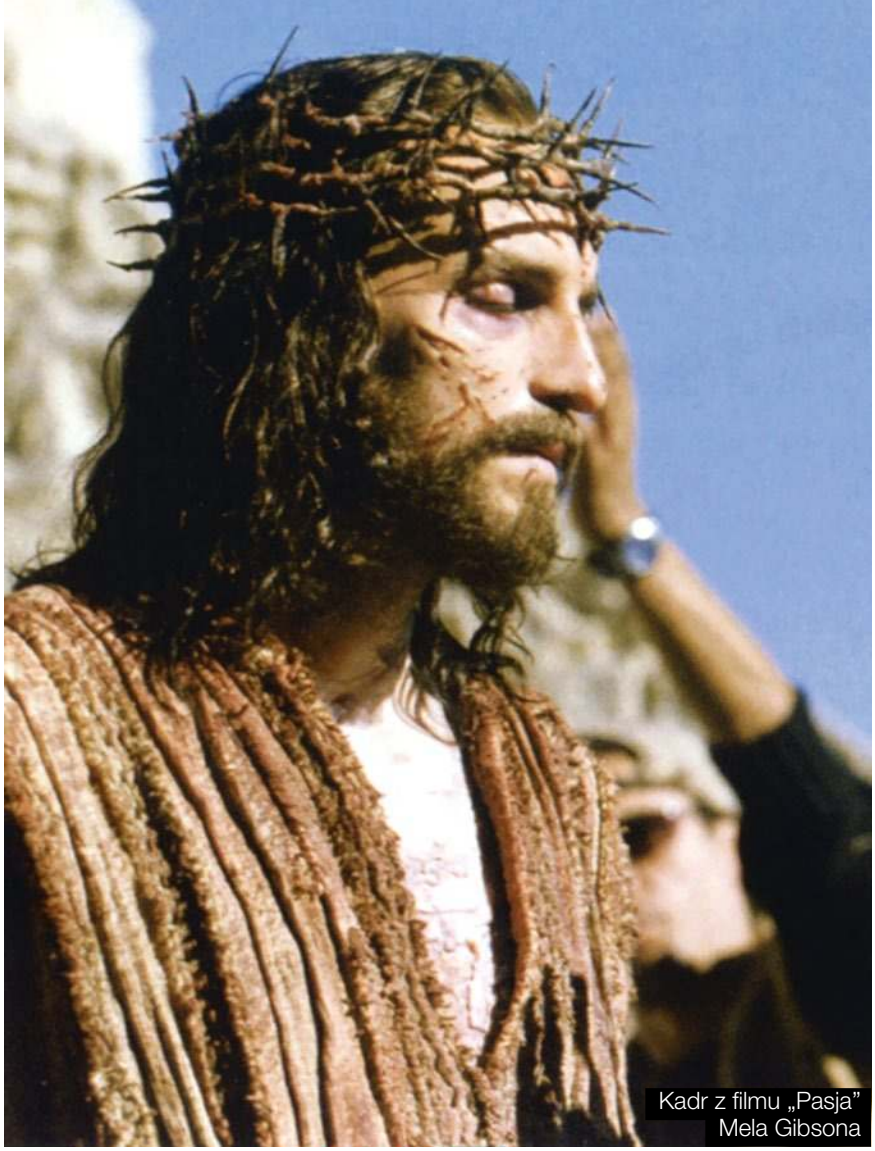

Kadr z filmu „Pasja" Mela Gibsona

czasochłonna, bo aby opowiedzieć tę historię, trzeba będzie jednak zacząć od ukazania biblijnego upadku aniołów i „zejść do Szeolu", a zakończyć na śmierci ostatniego apostoła. To zaś będzie wymagało narracji nieliniowej, wykraczającej poza czas. „Trzeba zestawić centralne wydarzenie, które próbuję opowiedzieć, ze wszystkim, co ogniskowało się wokół niego, zarówno w przeszłości, jak i przyszłości. A to już zaczyna trochę przypominać sci-fi" – wyjaśniał reżyser, podkreślając, że chodzi o znalezienie drogi, która nie będzie „ani tandetna, ani zbyt oczywista".

NIELINIOWA NARRACJA I PSYCHODELICZNA WIZJA

By to opisać, użył sformułowania „trip po kwasie", a więc doświadczenia bardzo mocnej psychodelicznej wizji będącej wynikiem wielogodzinnej zmiany percepcji po zażyciu LSD. Innymi słowy: zanurzenia się w rzeczywistości, która kompletnie różni się od naszej. Dalej wyjaśniał, że pragnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego królestwo dobra i królestwo ciemności rywalizują o duszę niedoskonałego człowieka i ludzkości.

Opowieść spoza czasu

Mel Gibson zakończył zdjęcia do „Pasji 2. Zmartwychwstanie Chrystusa" – najbardziej wyczekiwanej produkcji kinowej ostatnich dekad. Premiery w Wielki Piątek i uroczystość Wniebowstąpienia w 2027 r.

MACIEJ WALASZCZYK

Kontynuację „Pasji" – „Zmartwychwstanie Chrystusa" podzielono na dwie części. Premiera pierwszej odbędzie się w Wielki Piątek 26 marca 2027 r., a drugiej dokładnie 40 dni później, w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, w czwartek 6 maja. Obraz ma być próbą opowiedzenia wydarzeń rozgrywających się w ciągu trzech dni między śmiercią Jezusa na krzyżu a zmartwychwstaniem.

O szczegółach wiadomo niewiele, choć jeszcze w styczniu ub.r. Mel Gibson dał się namówić na rozmowę ze znanym podcasterem Joe Roganem. Zapowiadał wtedy, że produkcja będzie

Nad scenariuszem miał myśleć od wielu lat i ostatecznie powstał on we współpracy z Randallem Wallacem, znanym choćby z pracy przy „Braveheart", czy „Byliśmy żołnierzami". Obraz będzie oczywiście wyprodukowany przez Icon Productions i Bruce'a Daveya, ma być jednym największych projektów w karierze reżysera, z budżetem przekraczającym 200 mln dol. („Pasja" kosztowała niecałe 30 mln). Na tym różnice się nie kończą – film będzie

Fot.: East News/London Feature

eprasa.pl 15f21a2a10

w całości anglojęzyczny, a obsada jest kompletnie zmieniona. Choć tu powód był prozaiczny – po 20 latach chciano uniknąć konieczności komputerowego odmładzania aktorów.

W roli Jezusa zobaczymy fińskiego aktora Jaakko Ohtonena, w roli Maryi – Polkę Katarzynę Smutniak, w roli Magdaleny – kubańską aktorkę Marielę Garrigę. W obsadzie znaleźli się także Pier Luigi Pasino jako św. Piotr oraz Riccardo Scamarcio jako Poncjusz Piłat.

Film był zapowiadany już ponad 20 lat temu, ale zdjęcia rozpoczęły się dopiero na początku października ub.r. Powstaje w Europie, w nowym obiekcie Studio 22 rzymskiego Cinecittà Studios. Kilka miesięcy temu uruchomiło ono nowoczesne hale produkcyjne, m.in. z najnowocześniejszą na świecie ścianą LED. Zdjęcia kręcono m.in. w starożytnym mieście Matera na południu Włoch. To tam w czasie prac nad filmem Gibsona sfotografowano z abp. Carlem Marią Viganò i pewnie nieprzypadkowo umieszczono w jednym z postów w mediach społecznościowych. Także w tym przypadku ustawieni w szeregach policji poprawności politycznej komentatorzy uznali – co nie było prawdą – że „konsultuje" się z ekskomunikowanym dwa lata temu pasterzem, który nazwał zmarłego papieża Franciszka liberalnym „sługą szatana" i „fałszywym prorokiem". Viganò to były nuncjusz apostolski w Stanach Zjednoczonych. Zasłynął też z przychylności wobec prezydenta Donalda Trumpa, krytyki roszczeń lobby LGBT+ i homoseksualnego lobby w Kościele.

WIELKI SUKCES „PASJI"

Wokół „Zmartwychwstania Chrystusa" rośnie ciekawość, ale atmosfera nie przypomina tego, co działo się wokół „Pasji". Nie bez powodu krytycy brytyjskiego magazynu „Total Film" ujęli ją w zestawieniu 50 najbardziej ryzykownych przedsięwzięć w dziejach kina. Ryzykowny był bowiem temat i to, że od pewnego momentu nikt w Hollywood nie chciał go podjąć.

Tymczasem powstał sugestywny obraz Męki Pańskiej, przedstawiający ostatnie 12 godzin z życia Chrystusa, dodatkowo opowiedziany w języku aramejskim i po łacinie, bazujący na mistycznych wizjach

Mel Gibson

Fot. Denis Makarenko/Shutterstock.com

bł. Anny Katarzyny Emmerich i inspirowany malarskimi wizjami Caravaggia. Na planie filmu ekipa codziennie rano uczestniczyła w mszy św., często w rycie klasycznym. Szokujące było też to, czego na planie doświadczył grający rolę Jezusa Jim Caviezel, znosząc cięgi pejczem, kontuzję barku od wiszenia na krzyżu, który później co rusz wyskakiwał mu ze stawu, porażenie piorunem, nieustanne wychłodzenie i znoszenie trwającej osiem godzin charakteryzacji. To, czego doświadczył, opisywał jako rodzaj duchowej próby.

Natomiast Pietro Sarubbi, odgrywający rolę Barabasza, relacjonował, że trwająca dokładanie trzy minuty scena zakończona spojrzeniem w oczy filmowego Jezusa zaowocowała łaską nawrócenia. Gdy zaczął o niej mówić publicznie, zapłacił za to wyrzuceniem ze świata filmu. Kultowy dziś obraz stał się jednym z najbardziej dochodowych niezależnych filmów w historii, zarabiając 610 mln dol w kinach na całym świecie.

ŻYDOWSKIE ATAKI

Film od początku stał się obiektem bezprecedensowej kampanii, której osią było oskarżenie o antysemityzm. Atakowały środowiska Żydów, zarówno z prawicy, jak i lewicy, pobożnych i świeckich. Kluczową rolę odegrał w niej Abe Foxman, szef Ligi Przeciw Zniesławieniu. Richard Cohen z „The Washington Post" uznał film za „faszystowski", Sharon Waxman z „The New York Times" wzywała do zawodowego zniszczenia Gibsona, a znany neokonserwatysta Charles Krauthammer narzekał, że obecność figury szatana ma celowo demonizować rolę Żydów. Najbardziej radykalna Jami Bernard z „New York Daily News" napisała w swojej recenzji, że „Pasja" to „najbardziej zacięty antysemicki film nakręcony od czasów niemieckich filmów propagandowych". W Polsce tylko powielano wypracowane w USA zarzuty, np. Agnieszka Holland zapowiadała nadejście „niewyobrażalnej fali nienawiści".

Oczywiście film ani nie był antysemicki, ani nie sugerował, że wszyscy Żydzi są odpowiedzialni za ukrzyżowanie Jezusa. Ukazał jedynie, że ówczesna żydowska władza kapłańska z powodów doktrynalnych i politycznych, naciskając na Piłata i podburzając tłum, sprawiła, że ugiął się pod ich presją. Co jest nie tylko zgodne z Ewangeliami, lecz także zostało potwierdzone w soborowej konstytucji „Nostra Aetate", choć równocześnie otwierającej tzw. dialog z judaizmem, który potem właśnie starano się przeciwstawiać filmowi Gibsona. Okazało się jednak, że nie da się ustalać konsensusu w konfrontacji z ewangelicznym obrazem męki Zbawiciela. Ks. prof. Waldemar Chrostowski zwracał wówczas uwagę, że film nie tylko respektował wiedzę w zakresie badań nad historyczną wiarygodnością

01/0126/FZAL

eprasa.pl 15f21a2a10

Ewangelii, lecz także robił wrażenie dbałością o szczegóły historyczne.

Dla liberalnego establishmentu i środowisk żydowskich problematyczna była też sama postać Mela Gibsona. Niechęć do reżysera została wywołana nie tylko „Pasją" i jej sukcesem, lecz także okolicznościami jego aresztowania w 2006 r. Prowadził wtedy samochód w stanie nietrzeźwym, a zatrzymany przez policjantów użył wobec nich antysemickich wyzwisk. Po nagłośnionym w mediach incydencie proponowano mu „rozgrzeszenie" w zamian za pomoc w spłacie ponad 1,5 mln kredytu na budowę jednej z kalifornijskich synagog, choć aktor za wszystko przeprosił i udał się na odwyk.

GRZESZNIK I KATOLIK

Zawsze bowiem przyznawał, że jest wielkim grzesznikiem – choćby wtedy, gdy zaraz po nakręceniu „Pasji" rozwiódł się z żoną, pozostawiając ją z siedmiorgiem dzieci. Sama „Pasja" była jego swoistą pielgrzymką do wartości przekazanych mu w rodzinnym domu. Hutton Gibson, ojciec aktora-reżysera i dziesięciorga innych dzieci, w czasie wojny żołnierz marines, był znany ze swojego tradycjonalizmu, który zaprowadził go na pozycje sedewakantystyczne. Mel Gibson nosi więc w sobie formację sprzed reform soborowych. Kilka lat temu skierował list do obrońców księży niegodzących się z decyzjami kard. Blase'a Cupicha, który zezwolił proaborcyjnej burmistrz Chicago Lori Lightfoot, niekatolickiej lesbijce, która zawarła „małżeństwo" jednopłciowe, na przyjęcie komunii podczas mszy pogrzebowej. Wspierał też wspomnianego już ekskomunikowanego abp. Viganò. W tym samym liście wspominał też o swoich osobistych konfliktach z amerykańskimi biskupami. „Pamiętam, że gdy pracowałem nad filmem »Pasja«, zwróciłem się do Konferencji Episkopatu USA o pomoc w realizacji filmu. Ci ludzie uciekali na mój widok i tylko kilku nie odwróciło się do mnie plecami" – pisał wtedy.

INNE HOLLYWOOD

Zrobił oszałamiającą karierę w Hollywood m.in. dzięki grze w kolejnych częściach apokaliptycznego „Mad Maxa" czy „Zabójczej broni". Gdy w 1995 r. na ekrany wszedł film „Braveheart", znakomity, historyczny epos o szkockich zmaganiach przeciwko angielskiej tyranii, Gibson ożywił odmienny, konserwatywny nurt hollywoodzkich produkcji. Tworzą go m.in. „Teoria spisku" (zapowiedź zjawiska Q-Anon), „Patriota", „Byliśmy żołnierzami" czy niesamowite „Apocalypto", przypominające niewygodną prawdę o krwawych, prekolumbijskich kultach, z którymi musieli się mierzyć europejscy zdobywcy i misjonarze. Za każdym razem przekraczał politycznie poprawne tabu, osiągając sukces komercyjny i artystyczny.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

HITY i KITY ZAREMBY

Harce wokół Henryka Sienkiewicza

„Potop" Michała Siegoczyńskiego to spektakl przeniesiony z gdańskiego Teatru Wybrzeże do Teatru Telewizji. Przyjąłem go z mieszanymi uczuciami. Recenzenci ogłaszają: „To teatr, który rozbraja narodową mitologię". Jednak co konkretnie rozbraja? Ciężko się z ich tekstów dowiedzieć

To przedstawienie trudno nazwać adaptacją powieści Henryka Sienkiewicza. Ogarnia nas moda na podobne wariacje wokół sławnych dzieł klasyki. Jan Klata dopiero co pokazał w Olsztynie niby-„Krzyżaków" tego samego autora. A Białorusin Mikita Ilinczyk zamówił całkiem nowy tekst i na potrzeby warszawskiego Teatru Dramatycznego nazwał go „Lalką" Bolesława Prusa, bo występują tam postaci ze sławnej powieści.

Pomieszać realia dawne i współczesne, kazać postaciom mówić językiem zaśmieconym kolokwializmami z dzisiejszych czasów, wrzucić motywy z dzisiejszej popkultury – i uznanie zapewnione. Na facebookowej stronie Teatru Telewizji dostaliśmy fragmenty recenzji wersji teatralnej dzieła Siegoczyńskiego. Zachwytom nad „rozbrajaniem narodowej mitologii" nie ma tam końca.

Określenia „reinterpretacja" czy „dekonstrukcja" padają jako największe pochwały. Rad bym się więc dowiedzieć, co „reinterpretowano". Co „rozbrojono"? I nie ma chętnych, aby to precyzyjnie objaśnić. Ważne, że brzmi „nowocześnie".

Szczątkowa i chaotycznie podawana fabuła jest rozpięta między realiami Polski szlacheckiej a dzisiejszymi. Po scenie biegają szlachciury, sarmaci, ale Zagłoba podchodzi Rocha Kowalskiego w polskim Fiacie, a Oleńka nieustannie rzuca wulgaryzmami. To ma być łącznik pomiędzy tym, co kiedyś, a tym, co teraz. Wplatane są strzępy przebojów z różnych epok – raz jest to kankan, innym razem „Pamiętasz, była jesień" z repertuaru Sławy Przybylskiej.

Bohaterami są też dawni pisarze z Henrykiem Sienkiewiczem na czele, także Daniel Olbrychski z Jerzym Hoffmanem, abyśmy broń Boże nie zapominali o filmie pokazywanym co roku w telewizji.

Szukam śmiałych myśli poddających rewizji sienkiewiczowską mitologię. I proszę mi wybaczyć, ale niespecjalnie znajduję. Nawet zabawa kosztem literackiej konwencji wydała mi się średnia, taka bardziej na uśmiech. Owszem, mamy kpiny ze schematów, owszem, czasem pokazuje nam się nowe wersje różnych sytuacji, bardziej drastyczne. Ale wszystko to jest średnio odkrywcze.

Jeśli zatrzymuję się przed frontalnym atakiem, to z dwóch powodów. Po pierwsze, czym bliżej końca, tym scenarzysta i reżyser w jednej osobie uznaje za stosowne sięgnąć po sentymenty. To jednak nie jest pamflet, bardziej dziwne westchnienie nad polskością, pomieszaną, pogubioną, ale nie wyśmianą totalnie. Robi na mnie wrażenie wystąpienie Sienkiewicza, gdy odbiera Nagrodę Nobla. I mówi przy tej okazji: „Polski, mojej Polski, nie ma" – to 1906 r.

Kmicic pojawia się w dwóch postaciach – niby XVII-wiecznej i współczesnej. W tej drugiej jest straumatyzowanym żołnierzem, kiedy indziej młodym człowiekiem, który chce wyjechać z Polski. A jednak nie wyjeżdża. Sam Siegoczyński mówił w telewizyjnym Postscriptum, że był zaskoczony, jak bardzo publika odbiera spektakl jako traktat o patriotyzmie. Sam w pewnym stopniu przyłożył do tego rękę. Trudno mi go za to potępiać.

Powód drugi to uznanie dla roboty aktorskiej. Nie ma tu żadnej psychologii, przeważają żarty, czasem grube. A jednak mój ulubiony gdański aktor Piotr Witkowski gra obu Kmiciców inteligentnie, na tylu różnych tonach, że przykuwa moją uwagę. Katarzyna Borkowska jest świetna jako Oleńka, prosta dziewczyna o zdrowych odruchach. Reszta zespołu uwija się, grając zwykle po kilka postaci. O tym myślę z uznaniem.

Piotr Zaremba

Fot. TVP

„ZIEMKIEWICZ" – SPOWIEDŹ GWIAZDY

Wydanie wywiadu rzeki z Rafałem Ziemkiewiczem stanowi dowód na to, że mamy do czynienia z publicystą-celebrytą. Wiktor Świetlik, który prowadził rozmowę i wydał książkę, zrobił obie rzeczy umiejętnie. Zarazem te rozważania sławnego komentatora i powieściopisarza wyglądają na próbę rozładowania niewygodnych zarzutów i stereotypów na temat gwiazdy

Książka „Ziemkiewicz" nieprzypadkowo zaczyna się od pytań o jego rozpoznawalność na ulicy. Ta postać to jeden z nie tak wielu dziennikarzy, który powszechnie wywołuje emocje. Skądinąd Rafał nigdy nie zarabiał jako człowiek zbierający informacje. Z autora powieści od razu stał się osobą rozdającą cenzurki, przyznajmy – w błyskotliwym stylu. Co najmniej otarł się też o politykę – jako rzecznik UPR Janusza Korwin-Mikkego.

Napisałem, że wiele razy próbuje coś rozładować. Jest oskarżany o używanie drastycznych epitetów wobec ludzi i środowisk. Opowiada więc, ile razy jego wypowiedzi przekręcano, by organizować nagonki przeciw niemu. To wszystko prawda, ale nie wyczytałem w końcu, czy wstydzi się nazywania konkretnych Żydów „parchami" albo obdarzania poprzedniego papieża określeniem „idiota". Nadal nie wiem, dlaczego tak mu się napisało.

Wielu wypominało mu, że w latach 80. nie działał w opozycji, a potem wyśmiewał ludzi podziemia solidarnościowego. Dostajemy więc opowieść o jego związkach z jakąś konspiracyjną grupą. Choć nie rezygnuje całkiem ze stereotypu: konspiratorzy z tamtych czasów podobno szli najczęściej po 1989 r. do „Wyborczej". Prawda to tylko felietonowa. Większość książki zajmują opowieści Ziemkiewicza o jego życiu prywatnym. Niby nie chce opowiadać o swoim rozwodzie, ale to robi. Niby obwinia siebie, ale nie do końca. Przy okazji dostajemy dywagacje o chorobach, odchudzaniu i sporcie. Jego rozważania o drugim małżeństwie i córkach brzmią za to nie tylko ciepło, lecz także sensownie. Nie jestem entuzjastą takich spowiedzi postaci publicznych, choć uznaje, że jest na nie zapotrzebowanie.

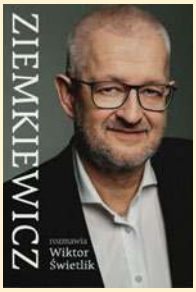

Z uznaniem można odnotować jedno: Ziemkiewicz, opisując mechanizm swojego funkcjonowania na politycznym i intelektualnym rynku, przedstawia się jako niezależny. I to prawda – nie powtarza przekazów dnia, zwykle nie brzmi w chórze, nikomu się nie podlizuje. Właśnie dlatego pisowcy mają go za konfederatę, konfederaci za pisowca. Inna sprawa, że rozbudzając często całkiem oddzielne emocje, budując grono własnych fanów, wsłuchuje się w oklaski za swoimi plecami. Teatralne wystąpienia przyniosły mu realny sukces. Na ile jest to sukces człowieka myśli, a na ile showmana? Na bilans wciąż za wcześnie. Nie powiedział ostatniego słowa.

Kim była Jeanne du Barry?

Film sprzed dwóch lat „Kochanica króla Jeanne du Barry" można obejrzeć na kanale Ale Kino. Ta historia ostatniej faworyty króla Francji Ludwika XV prowokuje pytanie, jak dalece można w kinie zniekształcać historię

W latach 1768–1774 Jeanne Vaubernier, dziewczyna z ludu, była kochanką Ludwika XV, przedostatniego króla Francji przed rewolucją. Wydano ją za szlachcica i uczyniono kimś w rodzaju nieformalnej żony kochliwego wdowca. Kiedy umarł, wygnano ją z dworu, co nie przeszkodziło jakobinom uciąć jej głowy w roku 1793.

Film nakręciła Maïwenn (Le Besco, ale używa tylko imienia), aktorka i była żona Luca Bessona. Może jego największą atrakcją jest obsadzenie w roli króla Johny'ego Deppa, mojego ulubionego aktora, który mówi tu po francusku i po raz pierwszy wygląda staro. Dostajemy kilka sugestywnych, barwnych scen – dwór w Wersalu to wdzięczna materia filmowa. Tyle że reżyserka sama popsuła film.

Obsadziła siebie w tytułowej roli. Na początku romansu z królem Jeanne miała 25 lat. W momencie kręcenia filmu Maïwenn miała lat 47. Zupełnie nie wiadomo, jak ta niemłoda kobieta o końskiej twarzy mogła uzależnić od siebie jednego z potężniejszych ludzi ówczesnego świata. Skądinąd zabawy fizjonomiami stały się regułą kina historycznego. Po raz kolejny następca tronu, a potem król Ludwik XVI nie wygląda – jak w rzeczywistości – na poczciwego grubaska. Wyszlachetniał już w serialu „Maria Antonina". Aktor Diego Le Fur kontynuuje tu tę tradycję.

Ale scenariusz nasunął poważniejsze problemy. Jeanne du Barry została przedstawiona jako wolnomyślicielka i patronka sztuki, czyli jak poprzednia królewska faworyta, Madame de Pompadour. Było całkiem na odwrót. W walce dworskiej koterii „dewotów" z koterią „filozofów" Jeanne postawiła na stronnictwo klerykalne, zapewne z powodu swojej dwuznacznej roli. Pierwszy minister de Choiseul nie był zgorszonym królewskim romansem konserwatystą – był liberałem walczącym z kochanką króla o kierunki polityki zagranicznej.

Czy można nakręcić film ciekawy a prawdziwy? Pewnie tak, ale trzeba by zrezygnować z bez mała ideologicznych klisz. Skądinąd żałuję, że nie pokazano końca Jeanne, skracanej o głowę. Zapewne dorabianie zbiorowych scen podniosłoby koszty. No i rzuciłoby cień na rewolucję, lewica wciąż ją lubi.

Fot. Gutek Film

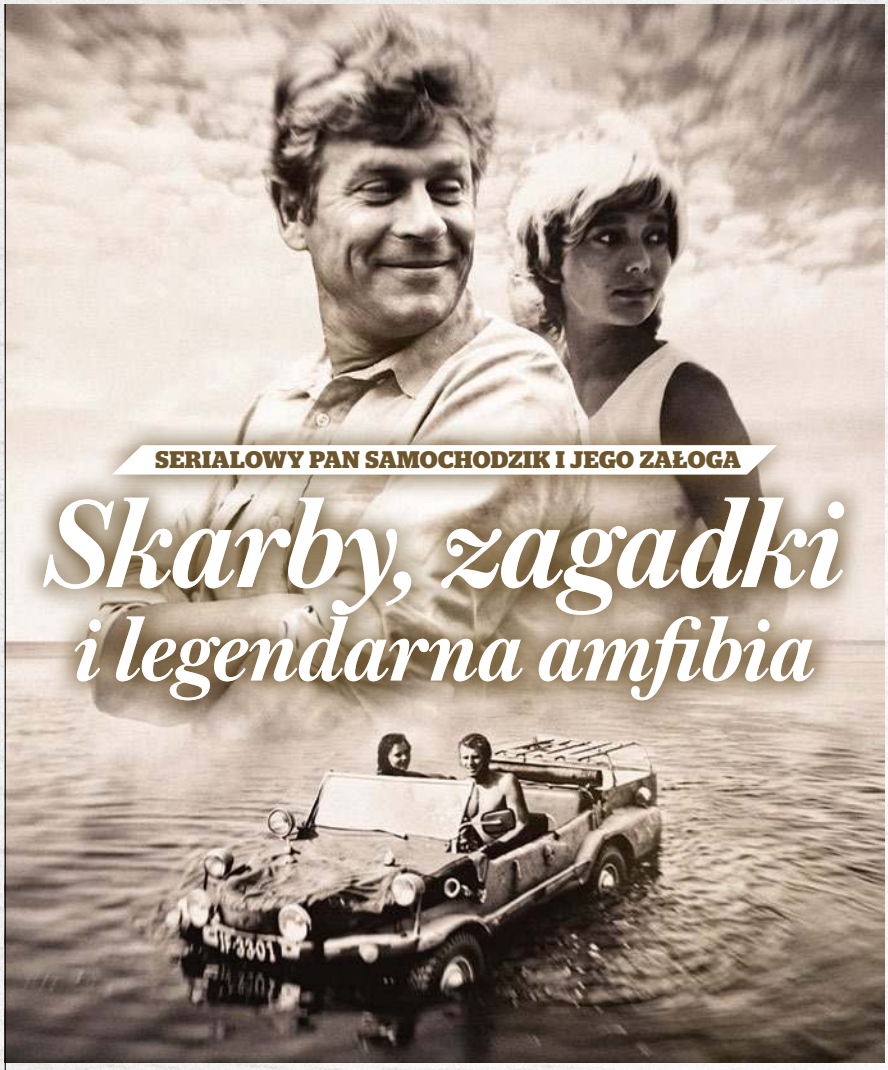

SERIALOWY PAN SAMOCHODZIK I JEGO ZAŁOGA

Skarby, zagadki i legendarna amfibia

Malbork, Radzyń Chełmiński (kościół parafialny św. Anny, ruiny zamku krzyżackiego, cmentarz z kaplicą św. Jerzego), Okonin k. Grudziądza, sekwencje drogowe na drodze nr 22 w okolicach Gnojewa oraz na węźle w Czarlinie, jeziora Wieldządzkie, Mełno, Gawłowickie.

To właśnie w tych miejscach 55 lat temu powstawały zdjęcia do serialu „Samochodzik i templariusze" w reżyserii Huberta Drapelli. I choć w 2023 r. pojawiła się współczesna wersja przygód dociekliwego muzealnika (z Mateuszem Janickim w głównej roli), to jednak nie udało się jej zyskać takiego klimatu (o sukcesie frekwencyjnym nie wspominając) jak pierwszej adaptacji.

Bo dla kilku pokoleń fanów powieści Zbigniewa Nienackiego to czarno-biała produkcja stała się (chętnie przywoływaną przy powtórkowych emisjach) wielobarwną przygodą, kojarzoną z wakacyjnym klimatem. Od niedawna serial jest dostępny w zbiorach TVP VOD. Skarby, zagadki i legendarna amfibia wpłynęły do bezpłatnego serwisu, zachęcając dawnych fanów do wkroczenia na pełne emocji i sentymentów szlaki.

W rolę pana Tomasza – historyka sztuki z detektywistyczną żyłką, właściciela niezwykłego samochodu-amfibii – wcielił się w serialu (wtedy świeżo opromieniony sławą agenta J-23) Stanisław Mikulski. Grany przez niego bohater ruszył na Pojezierze Suwalskie śladem legendarnego skarbu zakonu templariuszy. W wyprawie towarzyszyło mu trzech zaprzyjaźnionych harcerzy – „Sokole Oko", „Wilhelm Tell" i „Wiewiórka". To m.in. dzięki ich obecności pojawiła się w produkcji niejedna wspominana do dziś scena czy cytat. Jak choćby ten: „Bez wyobraźni nie odnajdziemy skarbu", dopełniony kadrami krzyżackiego rycerza, który (w pełnym rynsztunku) najpierw pojawia się w kajaku, a potem wiosłuje w łodzi.

Wystarczyło tylko pięć lat, by niezwykle popularna powieść Nienackiego „Pan Samochodzik i templariusze" (wydana po raz pierwszy w 1966 r.) trafiła na mały ekran (zdjęcia powstawały w 1971 r., premiera odbyła się 20 lutego 1972 r.).

Oczywiście fani wersji książkowej od razu zwrócili uwagę, że akcja pierwszych dwóch odcinków zamiast w powieściowej wiosce Miłkokuk rozgrywa się w pobliżu ruin krzyżackiego zamku (kręconych w Radzyniu Chełmińskim). Z kolei książkowe Kortumowo, a w nim kościółek, w którym rozgrywają się kulminacyjne sceny, został odnaleziony przez dociekliwych widzów w miejscowości Okonin niedaleko Radzynia. W samym Radzyniu znajduje się za to świątynia pod wezwaniem św. Jerzego (to w niej została położona pamiętna koperta – pod świecznikiem, który ponoć nadal jest w tym miejscu, podobnie jak aniołek z pierwszego ujęcia). Serialowa amfibia pływała natomiast po jeziorze Mełno, a także na położonych niedaleko Radzynia Jeziorach Gawłowickich.

Dla chłopców grających harcerzy (równolatków z rocznika 1958) tropienie śladów templariuszy stało się wielką ekranową przygodą. Urodzony we Wrocławiu Romek Mosior („Sokole Oko"), który wcześniej jako „Perełka" pojawił się w „Wakacjach z duchami" (1970) – od lat 80. mieszka poza Polską.

Pochodzący z Łodzi Stefan Niemierowski został zawodowym aktorem (w 1982 r. po studiach w łódzkiej Filmówce). Tomasz Samosionek, również łodzianin, najpierw (w 1981 r.) ukończył Wydział Chemiczny Politechniki Łódzkiej, by osiem lat później odebrać dyplom Wydziału Operatorskiego PWSFTviT w Łodzi, a po dziewięciu świętować tytuł naukowy profesora sztuk filmowych.

Dziś dawni ekranowi harcerze są statecznymi panami, ale za sprawą serialowego wehikułu czasu również oni mogą wrócić do przygody z początku lat 70. ub.w.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe TVP

eprasa.pl 15f21a2a10

SŁODKO-SŁONY

Gulasz z cukinii

ANNA MONICKA

Sama nie wiem, jak mogłam bez niej żyć, bo kiedy byłam dzieckiem, cukinii u nas brakowało. A w każdym razie nie leżała w każdym warzywniaku. Owszem, w ogródkach uprawiało się dynie czy kabaczki, ale ich delikatniejsza, bardziej wszechstronna i łatwiejsza w obsłudze kuzynka stanowiła rzadkość. Pierwszy raz skosztowałam ją na zagranicznych wakacjach u znajomych, którzy pokazali mi, jak szybko przyrządza się z niej kremową zupę i placki. Miałam wtedy dwadzieścia kilka lat. Zanim zrobiła się u nas popularna, minęło jeszcze parę.

Dziś jest podstawą mojego wyżywienia przez wiele miesięcy, chociaż u nas szczyt sezonu to czerwiec, lipiec i sierpień. Oczywiście czekam niecierpliwie, by pojawiła się u moich zaufanych rolników, bo mam gwarancję, że jest prosto z pola i bez chemii, a jeśli wcześniej czuję ssanie, szukam jej na półkach z warzywami i owocami bio. Ostatnio kupiłam sześć pięknych, twardych cukinii z ładną skórką. Wyszorowałam je tylko i zrobiłam wspaniały sos do spaghetti, z parmezanem i tatrą skórką cytrynową. To bardzo prosty i zdrowy przepis na wiosenne danie obiadowe.

Trzy cukrowe cebule trzeba dość drobno pokroić i zeszklić na patelni wraz z dwoma, trzema rozgniecionymi ząbkami czosnku. Gdy są złociste, wsypujemy pokrojoną w kostkę cukinię (młoda jest najlepsza, bo się nie rozsypuje, tylko pozostaje zwięzła, a jej nasiona są miękkie). Podsmażamy kilka minut, mieszając, a potem przez kolejnych kilka minut dusimy pod przykryciem, ale cząstki powinny pozostać al dente. Ja dodaję jeszcze żółtą pastę curry, która podkręca delikatny smak. W międzyczasie gotuję makaron, a na koniec – odrobiną wody po kluskach rozrabiam grecki jogurt i wlewam do sosu. Gdy spaghetti będzie już ułożone na talerzach i bogato polane sosem, posypuję je startym parmezanem i skórką z cytryny.

Gdy przygotowujemy większą ilość cukinii, możemy łatwo za jednym zamachem zrobić kremową zupę. Gdy warzywa są już podsmażone, zalewamy je bulionem z włoszczyzny i gotujemy do miękkości, a potem miksujemy z jogurtem lub śmietaną, doprawiamy solą, pieprzem i cytryną. Podajemy z grzankami.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Mieszkańcy górskiego potoku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Fauna wodna górnego biegu górskich potoków południa Polski to głównie bezkręgowce. Pośród zwierząt żyjących w ciekach, na pierwszy rzut oka skromnych, niewielkich, pozbawionych (pozornie) schronień, można znaleźć nader interesujące stworzenia.

Nieco późniejszą wiosną w spokojniejszych miejscach można zauważyć kilkucentymetrowej długości jaszczurkokształtne istoty. Ich głowy są duże w stosunku do reszty ciała, wyposażone w wyrastające po bokach pierzaste wyrostki skrzeli. Tak wyglądają drapieżne larwy salamandry plamistej, zanim przejdą przeobrażenie i przeniosą się na ląd.

Mieszkańcami górskich potoków należącymi do nielicznej gatunkowo grupy bezżuchwowców są minogi strumieniowe. Przez kilka lat żyją w formie larw. Wyglądają wówczas nieco jak kilkunastocentymetrowe pijawki. Ich rola w środowisku jest jednak odmienna – większość czasu spędzają zagrzebane w osadach dennych, wystawiając otwór gębowy i filtrując przepływającą zawiesinę. Po tym czasie przeobrażają się w dorosłe osobniki z okrągłymi, wyrazistymi oczami i charakterystycznymi otworami skrzelowymi po bokach ciała. Przystępują do tarła i... giną.

Szczytowym drapieżnikiem pośród ryb jest pstrąg potokowy o czerwono-czarno nakrapianych bokach, będący słodkowodną formą troci. Poluje on na owady, a także niewielkie ryby: przede wszystkim przemykające stadkami małe jak przecinki strzeble potokowe, a także wąsate, marmurkowate, trzymające się dna ślizy.

Pośród ryb żyjących w górskich potokach są też dwa gatunki, które wolą skakać, niż pływać. To głowacze: białopłetwy i pręgopłetwy. Spore, kilkunastocentymetrowe ryby o kolczastych płetwach są pozbawione łusek. Mają za to wielkie głowy, maskujący wzór „kamo" i rozłożyste, kolczaste płetwy, wykorzystywane do krótkich skoków po dnie. Bardzo trudno je zauważyć, lecz możemy być pewni, że gdzieś pod kamieniem siedzi głowacz pilnujący terytorium. Dlatego tak ważna jest ochrona integralności koryt i dna potoków – nie powinno się ich wykorzystywać jako dróg dla terenówek ani wybierać z kamieni na materiał budowlany. Obie te rzeczy są zresztą zakazane, choć byłoby idealnie, gdyby ochrona wynikała nie tylko z przepisów, lecz także ze świadomości unikalności delikatnego ekosystemu.

eprasa.pl 15f21a2a10

3 MIŁOŚCI

Źle żyjesz, zawyjesz

ROBERT TEKIELI

Lewica postępem nazywa dążenie do zniesienia małżeństwa, unieważnienia podziału na dwie płci, chce też zniesienia granic. Jednocześnie masowo importuje islamską ideologię udającą religię, która broni małżeństwa, jasnych ról płciowych i religijnej izolacji. To nie jest sprzeczność. To narzędzie. Lewica nienawidzi Zachodu bardziej, niż boi się konsekwencji zwycięstwa islamu. Lewica nienawidzi cywilizacji wywiedzionej z objawienia i bezrozumnie dąży do samozagłady. Bo pierwszą rzeczą, jaką zrobi tryumfujący islam, będzie zniszczenie lewicy i powrót do teokracji. W pierwszej kolejności zostanie bowiem unieważniony oświeceniowy rozdział tronu i ołtarza. Władzy i religii. Teokracja jest systemem totalnym.

Mamy więc do czynienia ze zbiorowym obłędem europejskiego mainstreamu politycznego. Z zaburzeniami kognitywnymi i wolicjonalnymi. Przez ostatnie dekady ten obłęd był instrumentalizowany przez dziesiątki grup wpływu, które pod przykrywką ideologii robią grube interesy. Rewolucja została przejęta przez pieniądz. I dlatego tak trudno ją zatrzymać.

Kolejnym powodem kompletnego oderwania się lewicy od rzeczywistości jest proces przekształcania się ideologii w religię. Już rewolucja francuska zbudowała własne ołtarze. Stawiano pomniki Rozumowi, również człowiek został ubóstwiony. Dziś krwawe ofiary niesie ze sobą kult aborcji. A młodzi ludzie okaleczają się, amputując zdrowe części ciała i ubezpładniają się w imię kultu bogini Gai. Religijne cechy mają też radykalne nurty wegańskie i wegetariańskie. Niedawno na Bali zmarła żywiąca się tylko owocami 27-letnia Polka, która w chwili śmierci ważyła 27 kg.

Ideologie doprowadzają dziś swoje tezy do absurdu. Anna Maria Żukowska mówi: „Zdarzają się takie sytuacje, że biologiczny, podkreślam – biologiczny mężczyzna rodzi dziecko", a jedna z wrocławskich fundacji staje w obronie szczurów – chce poprawić reputację miejskich gryzoni. I w zalewie tego absurdu przestajemy zadawać sobie proste pytania. Dlaczego kościoły w Europie płoną, podczas gdy meczety pozostają nietknięte? Dlaczego Kościół i państwo w Niemczech zamykają usta ludziom takim jak Wolfgang Büscher, rzecznik berlińskiej organizacji charytatywnej „Die Arche", który ostrzega: „Presja, jaką polityczny islam poprzez dzieci muzułmańskiego wyznania wywiera w naszych szkołach na ich kolegów, staje się coraz większa". Muzułmańscy uczniowie bowiem dręczą, zastraszają i wykluczają niemieckich oraz chrześcijańskich rówieśników, a także muzułmanów nieprzestrzegających ścisłych zasad.

Jeśli Zachód nie wróci do swych chrześcijańskich korzeni, jeśli przykazania nie będą fundamentem społeczeństw, nasza cywilizacja zgnije. Nie widzę wielkiej nadziei dla Europy. Trzeba zatroszczyć się o Polaków. Zawalczyć o polską duszę. O pokój w każdej rodzinie, o pojednanie, miłość i przebaczenie

Lewica sądzi, że uda się jej rozwodnić i unieważnić islam, jak udało się z chrześcijaństwem. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że bardzo się myli.

Ideologia podniesiona do rangi religii jest groźna do kwadratu. I jest nie do wyplenienia, ponieważ korzenie nowożytnych ideologii tkwią w niedojrzałości jej twórców.

Postulaty powstałych w czasach nowożytnych liberalnych i lewicowych ideologii wynikają z niezdolności do niesienia odpowiedzialności przez ich twórców. Ideolog chce zmienić świat tak, by ten go nie oskarżał. Skoro człowiek jest miarą wszystkich rzeczy, ideolog nie chce, by cokolwiek go ograniczało. Przykazania rodzą dyskomfort. Istnienie religii mówiącej: to i tamto pragnienie jest złem oraz strzegącej niezmienności zasad stanowi nieustanny wyrzut dla sumień ludzi wyznających ideologię. Rewolucje luterańska, anglikańska i liberalna, a potem kolejne: francuska, narodowosocjalistyczna, masońska, bolszewicka czy współczesna, neomarksistowska, głównego wroga widziały i widzą w Kościele katolickim.

Luter, Henryk VIII, Robespierre, Lenin, Hitler czy Stalin zbudowali systemy oparte na instytucjonalizacji grzechu. Nowożytność to bunt chłopców w krótkich spodenkach przeciw Bogu, przeciwko 10 przykazaniom.

Dziś widzimy, że świat wypadł z torów. Zakurzona czaszka u stóp barokowej rzeźby znacząco się do nas uśmiecha. Ks. Baka ostrzegał: „Źle żyjesz, zawyjesz! Przecieki z chmur, wyciągaj wór, nadciąga mór. Źle żyjesz, zawyjesz! Przecieki z chmur, wyciągaj sznur".

Trwa proces destrukcji liberalno-lewicowej wersji zachodniej cywilizacji.

eprasa.pl 15f21a2a10

Na szczęście już jasno widać kruszenie się ideologicznej podstawy neomarksistowskiej zielonej i tęczowej rewolucji, czyli przekonania o czystej i pierwotnie nieskażonej naturze, której człowiek jest jedynie niszczycielem. Styl życia wypracowany przez środowiska rewolucji kulturowej i lansowany w liberalno-lewicowych mediach okazuje się ułudą. Wojny i pandemie przywracają miarę rzeczy. To wtedy najłatwiej zauważyć lekarzy, pielęgniarki i ratowników poświęcających się, ryzykujących własne życie, by uratować życie bliźniego. Skoro życie ludzkie jest tak ważne, to jak można zgodzić się na eutanazję, in vitro, antykoncepcję i aborcję? Od dziś musimy ratować także życie nienarodzonych, życie staruszków usypianych z powodów ekonomicznych, nie możemy pozwolić na dalsze manipulacje ludzkimi embrionami. Aborcja, eutanazja... Lewica to nowe wcielenie barbarii. A ogłaszana wszem wobec od stu lat śmierć Zachodu to tylko śmierć oświeceniowej herezji. Jedno jest dziś pewne: postęp stanowi przeciwieństwo rozwoju.

XXI w. albo będzie religijny, albo Zachodu nie będzie. Przed nami dekady Realpolitik. Świat lewicowych wartości rozpada się w obliczu tragedii i wyzwań stojących przed całymi narodami. Człowiekowi pozostaje tylko język wartości objawienia. Wybór jest prosty: chaos albo chrześcijaństwo.

Fundamenty świata się odsłoniły. Życie to życie. Śmierć to śmierć. Istotne są fundamentalne odniesienia wiary. Pozostają nimi człowiek, rodzina, naród i państwo.

Jak pisał Prymas Tysiąclecia, mierząc się z czerwoną zarazą: „Bez wiedzy i wiary trudno przebudowywać ustrój". A my musimy przebudować cywilizację. Uratować Zachód. Być iskrą.

Nikt nie wymusił powstania państw. Podobnie jak przywództwa. Każda wspólnota go potrzebuje. Rodzina, naród, Kościół. Przywództwo wiąże się z odpowiedzialnością. Odpowiedzialny człowiek stara się zaspokoić swoją potrzebę bezpieczeństwa duchowego i fizycznego. Tak powstał Kościół i państwa.

Nowożytna agresja wobec autorytetu i wspólnot rodzących więzi wzięła się z niedojrzałości i pychy.

Nasze wspólnoty przegrają, jeśli współczesny człowiek Zachodu nie zrozumie, że istnieje grzech, a karą za grzech jest śmierć, bo sam grzech jest śmiercią; jeśli nie otrzeźwieją pyszniący się zamysłami serc swoich, ci, co patrzą na społeczeństwa jak na bydło, które trzeba zapędzić do obory. Część wysterylizować, część do cna ogłupić. Nawet nie chce mi się myśleć, co tak naprawdę roi się w głowie Gatesa i Sorosa. Jeśli nie otrzeźwiejemy.

Winni tej sytuacji są nie tylko zimni technolodzy cywilizacji śmierci. Krew mają na rękach także ci, którzy ich słuchają. Kolejne pokolenia, których bożkiem jest popkultura. Jeśli Zachód nie wróci do swych chrześcijańskich korzeni, jeśli przykazania nie będą fundamentem społeczeństw, nasza cywilizacja zgnije.

Nie widzę wielkiej nadziei dla Europy. Trzeba zatroszczyć się o Polaków. Zawalczyć o polską duszę. O pokój w każdej rodzinie, o pojednanie, miłość i przebaczenie. Jesteśmy grzesznikami, Bóg mówi nam: kocham cię, jesteś moim synem, jakiekolwiek świństwo popełniłeś, kocham cię nad życie. Wracaj do mnie. Żałuj, przeproś tych, których skrzywdziłeś. Napraw szkody, które da się naprawić, zasyp dobrymi uczynkami lej krzywd nie do naprawienia. Na świecie jest tylu samotnych, bezdomnych, nieszczęśliwych.

Módlmy się więc dziś, aby mieszkańcy postchrześcijańskiego świata zobaczyli, że żywią się strąkami. Że ich głodu, który starają się zaspokoić przyjemnością i perwersją, nie da się zaspokoić w ten sposób. Że samotność to konsekwencja egoizmu, że kręcą się w kieracie.

Dziś zło zasiadło na katedrze. Na tronie świata siedzi grzech i każe na siebie mówić: miłosierny. Usypiają staruszków w Kanadzie, aby zaoszczędzić środki budżetowe na ochronę zdrowia. Wsadzają do więzień za mówienie prawdy. Tak może być w Polsce za kilka lat, za kilkanaście miesięcy.

Jesteśmy sercem Zachodu. Dużym, starym narodem. Przy nas Amerykanie czy Włosi to zasmarkane dzieci rewolucji. Rozbicie dzielnicowe Niemiec skończyło się ledwo 150 lat temu.

Musimy walczyć nie tylko o Polskę. Musimy uratować Europę, bo zostaniemy już nie przedmurzem, lecz samotną wyspą w oceanie rewolucyjnej i totalistycznej islamskiej barbarii. Barbarzyńcy ze wschodu, barbarzyńcy z południa, barbarzyńcy z zachodu. Neomarksizm w sojuszu z postliberalizmem. Do tego islam, totalniacki, nieuznający istnienia sfery prywatnej.

Cywilizacje buduje się od dymu z komina, od nieba. Od czasów wieków ciemnych oświecenia wyprasza się Boga z Europy. Dziś głosi się miłość do zwierząt ponad miłość bliźniego. To świat wywrócony na nice. Rzeczy stanęły wyżej ludzi, zwierzęta wyżej Boga. Ziemię można nazwać boginią, ale przecież dalej będzie rzeczą.

To my jesteśmy Europą, a nie bękarty oświecenia. W Polsce bije serce Zachodu. Musimy go obronić. Gdzie szukać siły? Miłość Boga i bliźniego. Wiara i dobre uczynki, czyli chrześcijaństwo.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 15f21a2a10

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przyszła konstytucja

Wywiad z prof. Ryszardem Piotrowskim w „Gościu Niedzielnym" stał się dla kilku liberalnych dziennikarzy okazją do żartów i kpin. No bo jak to – profesor został powołany przez prezydenta Karola Nawrockiego do Rady Nowej Konstytucji, a twierdzi, że nie jest nam potrzebna nowa ustawa zasadnicza, bo to ludzie powinni zmienić swoje nastawienie do państwa i prawa? Rzecz w tym, że profesor ma rację.

Jeśli bowiem będziemy już mieć nową konstytucję, do pracy nad którą zobowiązał się prof. Piotrowski, to także może być stosowana na rympał – jak ta obecna – zgodnie z prymitywną wykładnią prawa („prawo tak jak my je rozumiemy") prezentowaną przez Donalda Tuska i jego koalicję 13 grudnia. To dlatego profesor słusznie zauważył, że najważniejsze jest poważne traktowanie państwa i prawa, a szczególnie konstytucji. Jeżeli ustawa zasadnicza odsyła nas do ustawy – a robi to bardzo często – to obojętne, jaką materię prawa ma regulować ustawa sejmowa, nie może jej zastąpić rozporządzenie jakiegoś ministra.

Ostatnio rozporządzeniem, a nie ustawą, wprowadza się nowy podatek, tzw. opłatę reprograficzną od zakupu wszystkich urządzeń elektronicznych (telefony, tablety i inne), a powodem jest konieczność dofinansowania środowisk autorskich, które czują się pokrzywdzone swobodnym powielaniem ich twórczości. Nie wchodząc w szczegóły tej skandalicznej decyzji, a tym bardziej jej meritum, sprawa, którą poruszył prof. Piotrowski, nie może być obiektem kpin, bo dotyka najważniejszej materii ustrojowej, szacunku obywatela do własnego państwa i prawa. To ludzie, a szczególnie politycy, powinni przyjąć do wiadomości, że ustawa zasadnicza nie wymaga szczegółowych uregulowań, lecz ustala podstawowe zasady stosowania prawa, w tym hierarchę przepisów, tzw. porządek prawny. W obecnej konstytucji mówi o tym art. 7.: „Organy władzy publicznej działają na podstawie prawa i w granicach prawa". Taki sam przepis powinien się znaleźć w przyszłej konstytucji, co nie znaczy, że przyszła władza będzie go uznawała. Wszystko zależy od ludzi – od tego, czy chcą zadbać o własny kraj, co wyraża inny konstytucyjny zapis w art. 1.: „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli".

Widzieliśmy tych „obywateli" z transparentami „Konstytucja" na wiecach i ulicznych manifestacjach. Wśród nich liczne „autorytety", celebryci i zwykli zmanipulowani ludzie, przekonani, iż rząd PiS łamie ustawę zasadniczą, co nie odpowiadało prawdzie. Teraz, kiedy konstytucja to widzimisię rządu Tuska, nikt nie protestuje, co potwierdza, że tamte protesty były wyłącznie elementem kampanii wyborczej sił liberalnych i lewicowych.

Dlatego powołanie przez prezydenta Rady Nowej Konstytucji zostało natychmiast zbojkotowane przez koalicję 13 grudnia, tak jak wcześniej referendum w sprawie migracji, a w związku z nominacją do Rady sędzi, byłej prezes Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, Tusk w swoim chamskim stylu pozwolił sobie na komentarz: „Ja nie będę udawał, że to jest poważna inicjatywa i ja z panią Przyłębską nie będę dyskutował na temat ładu konstytucyjnego". Już sama ta wypowiedź dowodzi, gdzie Tusk ma prawo i jak traktuje ludzi, bo przecież Rada została powołana zgodnie z prawem przez urzędującego prezydenta RP, a w jej składzie znalazły się osoby cieszące się poważaniem, także pani prezes Przyłębska. Ale jeśli nie szanuje się prezydenckiego urzędu tylko dlatego, że nie szanuje się człowieka, który stoi na jego czele, to mamy kolejny dowód na stosunek premiera do całości prawa w Polsce. Ze strony Tuska to niby nic nowego – przypomnę, że już za prezydentury Lecha Kaczyńskiego mówił: „Mnie prezydent do niczego nie jest potrzebny". Słowa te budzą oburzenie, a dziś nawet lęk przed absolutną władzą Tuska, która jest już nie tylko „kryptodyktaturą", jak nazwał ją sędzia Dariusz Łubowski, lecz opresyjną, pełnoskalową dyktaturą, rządami bezprawia.

Donald Tusk (absolwent historii) swoją ignorancją w sprawie konieczności tworzenia nowej konstytucji sprzeniewierzył się równocześnie mądrym postanowieniom Konstytucji 3 maja 1791 r. Jej twórcy zapisali: „Zapobiegając z jednej strony gwałtownym i częstym odmianom Konstytucyi narodowej, z drugiej uznając potrzebę wydoskonalenia onej po doświadczeniach jej skutków co do pomyślności publicznej, porę i czas rewizyi i poprawy Konstytucyi co lat dwadzieścia pięć naznaczamy".

Obecna konstytucja w przyszłym roku będzie miała 30 lat. Jest pilna potrzeba jej „rewizji i poprawy", dobrze o tym wiedzą wszyscy konstytucjonaliści zaproszeni do pracy nad nią przez prezydenta. I choćby była bardziej kazuistyczna od obecnej – np. doprecyzowała wprost, że ślubowanie wobec prezydenta RP oznacza konieczność fizycznej obecności prezydenta przy składaniu roty ślubowania przez sędziego – to przy złej woli polityków zawsze znajdzie się powód do kwestionowania konstytucyjnych uprawnień tego organu państwa, który jest dla polityków niewygodny, czytaj – jeszcze nieopanowany przez swoich. To od ludzi, od ich dobrej woli, szacunku dla własnej ojczyzny zależy, czy konstytucja będzie służyła dobru wspólnemu.

eprasa.pl 15f21a2a10

OGNIEM NA WPROST

Rozwalić Kreml

Andrzej Rafał Potocki

Kacap w strachu przed paradą w Moskwie. Jeszcze nie wiadomo, jak będzie przebiegała defilada z okazji 9 maja (u Ruskich to tzw. Dzień Zwycięstwa). Ma być ponoć skromnie, ponieważ Tryzuby szykują się już do ataku powietrznego. W najważniejszej paradzie Władimira Putina nie wezmą udziału żadne pojazdy wojskowe: czołgi, wozy bojowe czy wyrzutnie rakiet. Rzecznik prasowy Kremla Dmitrij Pieskow wyjaśnił, że uroczystość odbędzie się w „okrojonym formacie" ze względu na „sytuację operacyjną" i „zagrożenie terrorystyczne" ze strony Kijowa. „Widzimy, że w ostatnich tygodniach wokół Moskwy dodatkowo wzmacniane są kręgi obrony przeciwlotniczej poprzez przenoszenie na dużą skalę środków obrony przeciwlotniczej z innych regionów Federacji. Świadczy to o tym, że władze na Kremlu nie przygotowują się do zawieszenia broni, o którym tak wiele razy mówiono, i bardziej martwią się o swoją paradę w Moskwie niż o resztę Rosji" – napisał prezydent Wołodymyr Zełenski na platformie X. Ponadto Putin w rozmowie z prezydentem USA Donaldem Trumpem zaproponował ogłoszenie rozejmu z Ukrainą na 9 maja. W odpowiedzi na to Zełenski oświadczył, że Kijów chce długoterminowego zawieszenia broni, a nie „na kilka godzin", aby zorganizować paradę wojskową w Moskwie. Miał być kilkudniowy blitzkrieg, a po czterech latach pełnoskalowej wojny Kacap nawet nie może przeprowadzić swoich ulubionych jasełek z okazji Dnia Pabiedy.

Jak dobrze pójdzie, być może 9 maja Kijów użyje najnowszego systemu skierowanego ostatnio do produkcji seryjnej, czyli taktyczno-operacyjnego zestawu rakietowego 1KR1 Sapsan. Sapsan to opracowana na Ukrainie rakieta balistyczna nowej generacji na paliwo stałe. Przy zasięgu 500 km i wadze głowicy bojowej równej 500 kg pocisk rozwija prędkość blisko 7 Ma (8,4 tys. km/h na poziomie morza). Inercyjno-satelitarny system naprowadzania zapewnia trafienia z dokładnością do 10 m, a istnieją także głowice samonaprowadzające. Technologia jest w pełni ukraińska, a więc jej użycie nie wymaga zgody zagranicznych dostawców. „Żadnych zgód od partnerów, żadnych ograniczeń MTCR dla wewnętrznego użytku. Ukraina sama decyduje, kiedy i gdzie uderzy jej rakieta" – zaznaczył były zastępca kierownika departamentu zakupów państwowych w resorcie obrony Ukrainy Ołeksand Lijew. Pożyjemy, zobaczymy, ale mam cichą nadzieję, że 9 maja Sapsan trafi w jedną z kremlowskich wież. W ten sposób Ukraińcy mają szansę powtórzyć polską robotę z 1812 r.

Ostatni raz Kreml wyleciał bowiem właśnie w powietrze w 1812 r. podczas odwrotu wojsk napoleońskich z Moskwy. Zespół fortyfikacyjny moskiewskiego Kremla składa się z nieregularnego pięcioboku obwodowych murów obronnych, 3 głównych baszt narożnych o przekroju kołowym, 4 kwadratowych baszt bramnych, 12 baszt pośrednich i barbakanu. Linia umocnień kremlowskich otacza obszar o powierzchni ok. 275 tys. m². Długość murów wynosi 2235 m. Wchodzące w skład fortyfikacji wieże i baszty zostały zaprojektowane jako samodzielne punkty oporu i połączone sekretnymi tunelami. Ostatni raz zespół kremlowski został zniszczony przez wojska napoleońskie w 1812 r. Odpowiedzialnym za odpalenie ładunków był Polak – kpt. Franciszek Koss z korpusu inżynierów, dowodzący jedną z pięciu kompanii batalionu saperów. 20-letni wówczas kpt. Koss z pewnością nie spodziewał się tego zadania. Gdy wezwano go do gen. François Kirgenera, liczył, że pojedzie z raportem do kwatery Napoleona, a zamiast tego dowiedział się, że ma zniszczyć Kreml. Rankiem 23 października 1812 r. odeszły ostatnie oddziały straży tylnej, na Kremlu pozostał batalion portugalskiej piechoty mający dopilnować odpalenia ładunków przez saperów kpt. Kossa. Mimo krążących po ulicach oddziałów kozackich i chłopskich band, oficer zgodnie z otrzymanymi rozkazami cały dzień utrzymywał fortecę, czekając, aż zapadnie zmrok. Pół godziny przed północą zapalono hubki opóźniające, od których miały się zająć lonty, po czym Portugalczycy otworzyli jedną z bram i oddział saperów podążył w ślad za armią. Kreml wyleciał w powietrze jak wieża ruskiego czołgu po eksplozji magazynu amunicji. Pierwsza eksplozja nastąpiła o godz. 2.00, a zaraz po niej cztery następne. Spowodowały one znaczne zniszczenia – w gruzach legła Wieża Wodna i dzwonnica Iwana Groźnego, zrujnowana została baszta Nikolska, część Arsenału i Dom Komendanta. Czekamy na powtórkę z rozrywki. Ukraińcy mają szansę powtórzyć wyczyn kpt. Franciszka Kossa, kawalera Orderu Virtuti Militari, tylko czy wystarczy im determinacji?

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 15f21a2a10

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Drobna odwaga

Aleksander Nalaskowski

W polskiej debacie publicznej często słyszymy wielkie słowa: walka o wolność, obrona demokracji, rozprawa z „postkomuną", niepodległość. Brzmi to dumnie, patetycznie, niemal historycznie. Problem w tym, że za tymi deklaracjami rzadko idzie coś więcej niż internetowy komentarz albo emocjonalny wpis w mediach społecznościowych. Tymczasem prawdziwy bunt – ten, który zmienia rzeczywistość – zaczyna się znacznie bliżej niż na poziomie wielkiej polityki. Zaczyna się w codzienności. I właśnie tam najczęściej go po prostu nie ma.

Bo jak mamy wygrać z postkomuną, lewactwem, tuskizmem, skoro nie potrafimy zbuntować się przeciwko absurdowi w urzędzie, bezsensownemu przepisowi czy niesprawiedliwości w pracy? Jak mamy obalać systemy, skoro godzimy się na ich miniaturowe wersje w naszym najbliższym otoczeniu? Jak robić rewolucję, gdy brakuje nam woli i odwagi do przeciwstawienia się manipulacjom i krętactwu? Jak uprawiać naukę i poszukiwać prawdy, jeśli na co dzień tolerujemy poprawność polityczną, fałsz i manipulację? Jak skończyć z brutalną dyktaturą Tuska, jeśli po cichu myślimy, że „tak widocznie ma być"?

Postkomunizm nie polega dziś na czołgach na ulicach ani na jednym partyjnym sekretarzu rządzącym krajem. Jego istotą jest mentalność

Postkomunizm nie polega dziś na czołgach na ulicach ani na jednym partyjnym sekretarzu rządzącym krajem. Jego istotą jest mentalność. To przekonanie, że „tak już jest", że „nic się nie da zrobić", że we własnym interesie „lepiej się nie wychylać". To kultura biernej zgody na absurd, a często na idiotyzm.

Najbardziej paradoksalne jest to, że wielu ludzi deklarujących walkę z postkomuną w praktyce funkcjonuje dokładnie według tej logiki. Narzekają na państwo, ale kiedy urzędnik żąda kolejnego bezsensownego papierka – wzruszają ramionami. Krytykują system, ale kiedy w pracy pojawia się jawna niesprawiedliwość – milczą. Oburzają się na patologie, lecz gdy trzeba powiedzieć „nie" w konkretnej sytuacji, nagle się okazuje, że ważniejsze są święty spokój i własny komfort. Ten komfort to urządzanie się w dojmującej patologii drobiazgów.

A przecież każda zmiana systemowa zaczyna się od małych aktów sprzeciwu. Historia nie składa się wyłącznie z wielkich demonstracji i spektakularnych rewolucji. Składa się także – a może przede wszystkim – z tysięcy drobnych momentów, w których ktoś mówi: „To nie ma sensu, nie zgadzam się".

Problem w tym, że bunt wobec codziennych nonsensów wymaga odwagi bardziej niewygodnej niż wielkie deklaracje ideologiczne. Bo łatwo jest walczyć z abstrakcyjnym „systemem". Trudniej sprzeciwić się konkretnemu przełożonemu, urzędnikowi czy lokalnemu układowi, bo to może się okazać niebezpieczne.

Sam tego doświadczyłem, gdy publicznie skrytykowałem tzw. tęczowe marsze. Wylała się na mnie fala nienawiści i konsekwencji.

Właśnie z tego powodu postkomunistyczna mentalność trwa tak długo. Nie dlatego, że jest szczególnie silna, lecz dlatego, że napotyka na zbyt mały opór. Systemy nie trwają dzięki swojej doskonałości – trwają tylko dzięki naszej obojętności. Nieważne, że obejście jest zaśmiecone i niechlujne – ważne, że w domu jest czysto. Tak jest również z nami. Sądzę, że wykazywane w niemal wszystkich badaniach przywiązanie do rodziny stanowi jakąś formę eskapizmu, niejako deklaracji: „Ważna jest tylko moja rodzina, a reszta mnie nie obchodzi". Dotyczy to również szkoły, która ciągle poszukuje własnej tożsamości, co przekłada się na brak selekcji do zawodu nauczycielskiego i jej dysfunkcjonalność. Ale ktoś rozdaje ludziom nienadającym się do zawodu dyplomy, ktoś ich zatrudnia, ktoś przymyka oko na ich brak talentu pedagogicznego.

Jeśli więc naprawdę chcemy wygrać z postkomuną, musimy zacząć od rzeczy znacznie mniej efektownych niż wielkie polityczne hasła. Od odrzucenia szkodliwej kultury biernej zgody. Od odwagi w drobnych sprawach. Od gotowości do powiedzenia „to jest absurd" nawet wtedy, gdy nie jest to wygodne. Do tego trzeba minimum odwagi i poświęcenia, a nawet zgody na chwilowy dyskomfort.

Znajomy sztygar z Mikołowa, którego tu niejednokrotnie cytowałem, powiedział mi kiedyś, że aby stała się jakaś wielka rzecz, musi się wydarzyć mnóstwo małych. Trudno się z nim nie zgodzić.

Tylko że my wolimy myśleć, że źle dzieje się gdzieś wysoko oraz że nic od nas nie zależy. Tym samym dajemy przyzwolenie na uprzykrzające życie drobiazgi.

Ale społeczeństwo, które nie potrafi buntować się przeciwko codziennym nonsensom, nie obali żadnego systemu. Może jedynie zmienić jego nazwę. A to – jak pokazuje historia – nie zmienia zupełnie nic.

eprasa.pl 15f21a2a10

Michał Korsun prezentuje:* *Ministra edukacji narodowej Barbara Nowacka pluje jadem

Wycinki z przeszłości

Bycie „rozjemcą" potrafi wymknąć się spod kontroli. W 1933 r. „Express Zagłębia" opisywał sprawę Józefa Klekowskiego, który regularnie kłócił się z żoną i ją bił. Gdy po kolejnej bójce teść i szwagier postanowili „ukarać niesfornego zięcia", uzbrojeni w kij i pałkę pobili go tak dotkliwie, że trafił do szpitala. Za „interwencję" każdy z nich został skazany na pół roku więzienia. „Oskarżeni przyjęli wyrok z pokorą".

(sp)

EXPRES ZAGŁĘBIA

SEJM OBRADOWAŁ NAD POPRAWKAMI SENATU

Rozwiązanie Stahlhelmu w Brunszwiku

Obsuwająca się góra

Dwa zamachy na po

OHYDNA ZBRODNIA

Teść i syn w roli rozjemców.

DOSTALI ZA „INTERWENJĘ" PO 6 MIESIĘCY WIĘZIENIA.

Krwawy finał niesnasek familijnych rozegrał się przy ul. Ludnej w Zawierciu.

W domu pod nr. 8 mieszkało od niedawna małżeństwo, **20-letni Józef** i o trzy lata od niego młodsza **Helena Klekowscy**. W sąsiedzwie mówiono, że Klekowscy nie żyją z sobą w zgodzie, zdradzały to zresztą ustawiczne krzyki, dochodzące z ich mieszkania. **Klekowski bił żonę** — Klekowska uciekała do mieszkania teściów, mieszkających w tym samym domu. Z drugiej strony mówiono, że ziarno niezgody między małżonkami siał teść.

Ostatnio Klekowski z nieustalonych bliżej przyczyn **wyprawił żonie generalną awanturę i zbił ją.** — **Klekowska znowu uciekła pod opiekuńcze skrzydła teściów i tu odbyła się narada, na której postanowiono należycie ukarać niesfornego zięcia.**

W roli wykonawcy familijnego wyroku wystąpił sam teść, **55-letni Jan Sierda**, który uzbrojony w sękaty kij, wyruszył na spotkanie zięcia, — za nim pod szwagrowskie drzwi skradał się uzbrojony w pałkę syn Sierdy, a Szwagier Klekowskiego, **21-letni Lucjan.**

Wymiar doraźnej kary nastąpił na środku podwórza. **Klekowski otrzymawszy cios między oczy, padł zalany krwią ze zgruchotanym nosem.**

Ofiarę rodzinnego wyroku odwieziono do szpitala, gdzie Klekowski przeleżał kilka tygodni, ostatni natomiast akt nieporozumień w młodem małżeństwie rozegrał się wczoraj w sądzie okręgowym w Sosnowcu.

Po długim przewodzie sądowym zapadł wyrok, skazujący wściekłych w niesnoje sprawy teścia i szwagra na sześć miesięcy bezwzględnego więzienia. Oskarżeni przyjęli wyrok z pokorą.

Z WOLEJA

Romantyzm à la Fidżi

Ryszard Czarnecki

Lubię takie historie: 73-letni (!) tenisista stołowy zadebiutował w zakończonych w niedzielę w Wielkiej Brytanii mistrzostwach świata. Odbyły się one w Londynie, w 100-lecie pierwszych mistrzostw globu w tej dyscyplinie, które także miały miejsce w stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. Ów senior-debiutant reprezentował Fidżi, które jest bardziej znane z rugby niż ping-ponga (byłem, to wiem). Osiłki z tegoż kraju w Oceanii szczególnie dobrze sobie radzą w siedmioosobowej odmianie owego sportu. Mam do niego szczególny sentyment, bo trenował go jeden z moich synów, nawet z pewnymi sukcesami w kategorii nastolatków. To jednak dyscyplina kontuzjogenna i do dziś pamiętam, gdy odwiedziłem go w szpitalu po jednym z treningów: wyglądał, jakby został obity przez zbirów, a tymczasem jakiś napakowany zawodnik z tzw. młyna wskoczył na moje dziecko w czasie treningu, pozostawiając niezapomniane dotąd ślady.

Wróćmy jednak do ping-ponga – przepraszam, tak nazywaliśmy tenis stołowy w dobrych czasach przed, mój Boże, blisko półwieczem, gdy wygrałem cztery szkolne turnieje w tejże dyscyplinie. Dziarski, choć wiekowy debiutant z Fidżi nie zawojował Londynu, ale pewnie uznał, że pasuje do niego powiedzenie „ojca chrzestnego" nowożytnych igrzysk olimpijskich Francuza Pierre'a de Coubertina, który mówił, że „najważniejszy jest udział, a nie zwycięstwo". Pewnie w to wierzył, ale ja jednak nie zachęcam polskich sportowców do takiego fatalnego minimalizmu. A ów sędziwy debiutant z Oceanii jest... Chińczykiem, na wyspę Fidżi przeprowadził się zaś na początku tego wieku. Był zawodnikiem za młodu, ale karierę przerwała mu „rewolucja kulturalna" Mao-Tse Tunga (używam starej pisowni, bom konserwatysta). Potem trenował m.in. trzykrotnego mistrza olimpijskiego – reprezentanci Państwa Środka dominują w tym sporcie od lat.

W tej historii jest sporo romantyzmu. Tak jak w występach brytyjskiego skoczka narciarskiego sprzed lat, który lądował „na buli", zawsze był ostatni, ale wnosił do tego sportu powiew cudownego, niespotykanego już amatorstwa. Tak jak bobsleiści z Jamajki, którzy pojechali na igrzyska olimpijskie i byli jedynymi „czarnymi" w stawce, choć oczywiście „czarnym koniem" nie zostali.

Wszyscy piszą o Górniku Zabrze, który po ponad pół wieku znów wygrał piłkarski Puchar Polski, a ja na przekór napisałem o pingpongiście, o którym pies z kulawą nogą nie słyszał. Nie lubię śpiewać w chórze...

eprasa.pl 15f21a2a10

OD A DO ZYBERTOWICZ

Godność poza pracą?

Wielką, głoszoną dziś obietnicą jest sztuczna inteligencja, zdejmująca z naszych ramion mozół prac ciężkich i nużących. Ale istnieje ryzyko

W Kalifornii 1 maja 2026 r. odbyły się zorganizowane protesty pracownicze, a jednym z ich haseł był sprzeciw wobec big techu i zastępowania pracowników przez AI. W tle protestów przeciwko big techowi pojawił się inny, mniej widoczny sygnał: dane Gallupa pokazujące, jak bardzo praca traci dla nas znaczenie.

Kwietniowy raport Gallupa „Stan globalnego rynku pracy w 2026" (*State of the Global Workplace 2026*) powstał na podstawie badań zaangażowania pracowników w ich pracę zawodową. Okazało się, że w Polsce spośród tysiąca przebadanych osób tylko 7 proc. pracowników deklaruje wysokie zaangażowanie w pracę. To jeden z dwóch – obok Chorwacji – najniższych wyników w Europie.

Średnia europejska wynosi 12 proc., a globalna – 20 proc. Jednocześnie jednak aż 43 proc. Polaków deklaruje ogólną satysfakcję z życia. W Europie ten odsetek wynosi 49 proc., a globalnie – 34 proc.

W badaniach Gallupa z lat 2013 i 2014 ten wskaźnik zaangażowania wynosił 18 proc. Także badania innych firm pokazują trend spadkowy: zaangażowanie pracowników w Polsce jest niskie na tle Europy i od kilku lat maleje.

W ogłoszonej w 1981 r. encyklice „*Laborem exercens*" św. Jan Paweł II podkreślał, że praca ma przede wszystkim wymiar osobowy: człowiek jest jej podmiotem, a z pracy rodzi się solidarność ludzi pracy i ważny wymiar społeczny.

Czy z badań wynika, że ten wymiar pracy zanika?

PARADOKS?

Jeśli praca przestaje być miejscem, w którym człowiek czuje się podmiotem, to czemu służy cały ten postęp? Co o współczesnej cywilizacji mówi to, że choć praca przestaje być dla ludzi źródłem sensu, więzi i tożsamości, wydaje się, że ich ogólne zadowolenie z życia wcale na tym nie cierpi?

Czyżby dziś praca przestała nam mówić, „kim jesteśmy", a po prostu ma nie przeszkadzać nam w „byciu sobą"?

DOBRE ŻYCIE

Czy to znaczy, że mamy już wystarczająco dobre życie? Że nie szukamy jakiegoś głębokiego sensu, bo komfort i przyjemności są na pierwszym planie? Możliwe. Ale może jest tak, że to zadowolenie jest płytsze, niż chcielibyśmy przyznać.

Współczesność oferuje bowiem coś, czego wcześniej nie było na taką skalę: nieustanny dostęp do atrakcyjnych i wyglądających na bezpieczne bodźców, strumieni treści, obrazów i dźwięków.

Żyjemy coraz bardziej *online*, zanurzeni w cyfrowym środowisku, które skutecznie wypełnia każdą wolną chwilę.

Niegdyś dla wielu osób to właśnie środowisko dobrze wykonywanej pracy i koleżeństwa było źródłem godności.

Nuda, kiedyś przestrzeń refleksji, dziś stała się stanem niemal niedopuszczalnym. Najmniejszy dyskomfort jest czymś, co trzeba natychmiast zagłuszyć.

Być może to deklarowane zadowolenie z życia wcale nie jest pełnią, lecz stanem, w którym nauczyliśmy się optymalizować swoje samopoczucie.

NIE W PRACY, TO GDZIE?

Gdzie zatem kształtuje się nasza tożsamość? Gdzie jest miejsce, które „formuje" człowieka?

W najnowszym numerze miesięcznika „Wszystko co Najważniejsze" (75/2026) współpracujący ze Stolicą Apostolską Matthew Sanders rozważa wizję świata po „erze pracy" – zabranej przez AI. Wtedy Kościół katolicki miałby stać się nową „arką". Przestrzenią przechowującą doświadczenie człowieczeństwa w epoce cyfrowej transformacji.

Wielką, głoszoną dziś obietnicą jest sztuczna inteligencja zdejmująca z naszych ramion mozół prac ciężkich i nużących. Ale istnieje ryzyko, że AI tworzy coś bardziej subtelnego: złudnie wygodną rzeczywistość.

Jednak człowiek nie rozwija się w świecie pozbawionym oporu. Rozwija się tam, gdzie musi się zmierzyć z jakimś zadaniem, z drugim człowiekiem, z samym sobą. Jeśli więc praca przestaje wymagać zaangażowania, a technologia przejmuje kolejne, także poznawcze kompetencje, ryzykujemy utratę zdolności do głębokiego uczestnictwa w rzeczywistości.

A MOŻE PROBLEM JEST GŁĘBSZY?

Może to nie praca straciła znaczenie, tylko my przestaliśmy umieć przeżywać swoje życie. Żyjemy szybciej, więc czujemy płycej. AI tylko dopina ten proces: podsuwa gotowe odpowiedzi, zanim zdążymy zadać pytania.

Dlatego prawdziwy problem nie tkwi już w pytaniu, czy praca daje godność. Spytajmy, czy jeszcze potrafimy szukać godności.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 15f21a2a10

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	YouTube TelewizjaWPolsce24
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	

eprasa.pl 15f21a2a10

wPolsce 24

Kiedy dzień nabiera rozpędu

Popek Stanisławski do południa

Anna Popek i Damian Stanisławski

zapraszają

od poniedziałku do piątku o 11:00

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjaPolsce24

eprasa.pl 15f21a2a10